

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(53) 2008

Miasto jak brylant – cytujemy cytaty ♦ O grupie literackiej „Żagiew” po raz drugi ♦ Rozmowa z prof. J. Węgierskim ♦ O Grzymałowie i Radziechowie ♦ Wojenne wspomnienia z Wołynia ♦ O pewnej cegle z Nawarii ♦ Jak płynie Peltew ♦ O Iwowskiej Strzelnicy ♦ 140-lecie „Sokoła” ♦ Sylwetki ♦ Słownik

APEL DO HISTORYKÓW

Przed dwudziestu laty (1988) został zalegalizowany i zaktywizował się ruch społeczno-kulturalny środowiska ekspatriantów z utraconych Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej. Załączki oficjalnych od tego czasu organizacji istniały już kilka, a nawet kilkanaście lat wcześniej w wielu większych i mniejszych miastach RP.

Ruch „kresowy” stanowi bogatą kartę w naszej historii. Zgromadził wiele tysięcy uczestników, z którymi poszczycić się może wieloma doniosłymi dokonaniem na rzecz pozostałych na Wschodzie Rodaków i polskości (przykłady: „sieć pomocy” dla Polaków, ratowanie Cmentarza Łyczakowskiego, organizacja letnich obozów dla „kresowej” młodzieży), przyczynił się walcnie do powstania ogromnej ilości literatury i dokumentów wspomnieniowych z lat 1939–45 i lat powojennych, a także wcześniejszych, podjął wydawanie kilkudziesięciu periodyków, zainspirował wielu historyków do zajęcia się przebogą spuścizną historii i kultury wschodniej połowy podzielonego Kraju.

Ruch kresowy doprowadził do powstania licznych towarzystw, które utworzyły swoje oddziały w większości miast powojennej Polski, a które w większości działają po dziś dzień, choć ubyto już wielu ludzi pamiętających osobiście czasy powstania i największej aktywności tych organizacji. Wydaje się przeto uzasadnione, by ktoś z historyków (lub grono historyków) czasów współczesnych podjął temat dziejów ruchu „kresowego” w powojennej Polsce. Istnieją dotąd zbiory dokumentów, a przede wszystkim żyje jeszcze – choć coraz bardziej ograniczone – grono działaczy, które może udzielić podstawowych informacji. Rzecz dotyczy oczywiście wszystkich większych i mniejszych towarzystw skupiających ekspatriantów z całych Ziemi Wschodnich II RP. Tu pragniemy zwrócić uwagę, że chodzi nie tyle o opisywanie podstawowych działań na szczeblu głównych zarządów organizacji (np. wystąpień do władz państwowych – bo te są zawsze dostępne w archiwach), ale przede wszystkim – szerokiej i owocnej działalności poszczególnych terenowych komórek organizacji. W tych sprawach niezbędny jest pośpiech, bo czas upływa bezlitośnie.

Może ktoś już podjął taki trud? Dobrą formą byłoby przygotowanie serii prac magisterskich na uczelniach krajowych, potem powstałoby opracowanie całości. Niestety nie mamy żadnych wiadomości, czy ktoś podobne tematy bierze pod uwagę.

Równoległym, niezwykle bogatym tematem byłaby historia organizacji Polaków poza jałtańskim kordonem oraz poza wschodnią granicą II RP. Ale i poza zachodnią granicą, przede wszystkim w Londynie, w Ameryce... Wymieniona problematyka byłaby ważnym przedmiotem studiów i opisu dla Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich, nie jest jednak dotąd wiadome, kiedy taka placówka rozpocznie działalność.

Gożąco namawiamy do podjęcia wymienionej tematyki, ważnej dla całokształtu wiedzy o Polakach na Wschodzie. Bylibyśmy wdzięczni za informacje o podjętych planowych pracach badawczo-historycznych.

Redakcja

Przeczytane

MIASTO JAK BRYLANT

... autorka zebrała ponad 1000 wypowiedzi z prozy, poezji, wspomnień, pamiętników, listów, publicystyki, tekstów politycznych, piosenek dotyczących Lwowa. Antologia jest niezaprzeczalnym dowodem na obecność Lwowa w kulturze i świadomości Polaków.

„Rzeczpospolita” 1–2 grudnia 2007; dodatek *Rzecz o książkach*: Karolina Grodziska „Miasto jak brylant. Księga cytatów o Lwowie” (Universitas)

MIASTO JAK BRYLANT...

Za łaskawym przyzwoleniem p. dr Karoliny Grodzkiej, autorki „Księgi cytatów o Lwowie – MIASTO JAK BRYLANT...”, przedstawiamy kilka wybranych cytatów z literatury o Lwowie z wieków XIV–XVI. Księgę tę omawiamy w dziale *NOWE KSIĄŻKI* w tym numerze *CL*.

MWy Kazimierz, z Bożej łaski król Polski oraz ziem Krakowa, Sandomierza, Sieradza, Kujaw, Pomorza i Rusi pan i dziedzic, wszystkim czynimy wiadomym, że troskliwie zwracając uwagę przez sumienne rozważanie i gorliwość królewskiego majestatu na liczne bardzo nieszczęścia i szkody, których nasze miasto Lwów doznaje od rozmaitych zuchwałych wrogów i aby to miasto w korzyściach, dochodach, pożytkach i powodzeniach jak najbardziej móc powiększyć i dla pociechy wspomnianego miasta i dla pomnożenia jego wiernych mieszkańców dajemy i na wieczne czasy przydzielamy rzeczonemu miastu prawo niemieckie, które zwie się pospolicie magdeburskim, uchylając tamże wszystkie prawa ruskie i powszechne zwyczaje jakkolwiek by się zwały, które zwykły temuż prawu niemieckiemu w jakikolwiek sposób przeszkadzać i naruszać je.

Dokument Kazimierza Wielkiego nadający miastu Lwów prawo magdeburskie, 17 czerwca 1356.
Tłum. Krzysztof Ożóg

Wysłał król Jana Śledzia doktora i swego kapłana nadwornego z listami i prośbą do Jana XXIII papieża: który przychylając się do żądania króla, gdy zwłaszcza nikt w tej mierze nie stawiał oporu, w Rzymie, kędy pod ów czas przebywał, dnia czwartego sierpnia, Mikołaja arcybiskupa Halickiego przeniósł na stolicę Gnieźnieńską; Jana zaś Rzeszowskiego, proboszcza Ś. Michała na zamku i kanonika Krakowskiego, szlachcica herbu Półkozy, stosownie do życzenia i prośby królewskiej, osadził na arcybiskupstwie Halickiem, zostawiwszy przy nim obadwa wprzód posiadane beneficja. Późniejszym czasem, na prośbę tegoż Władysława króla, metropolię z Halicza przeniósł do Lwowa, i miasto Lwów podwójną, to jest arcybiskupią i metropolitalną zaszczycił godnością.

Jan Długosz, *Roczniki czyli Kroniki*, o wydarzeniach 1411.
Tłum. Karol Mecherzyński

W r. 1527 w miesiącu czerwcu okropny i straszny pożar niemal całe miasto w perzynę obrócił. Ogień zajęty w browarze blisko klasztoru XX Franciszkanów szybko rozszedł się na dwie strony, i z jednej ulicę Piekarską, Krakowską i Ormiańską, z drugiej zaś Zamkową, Halicką i Szewską, płomieniami swemi ogarnął; skąd potem gdy się obrócił na Rynek wielkim popędem i resztę budynków tamże będących z ziemią porównał. Co zaś gorsze, iż nie przepuszczając mieszkaniom Boga i ludzi, oprócz kościoła z klasztorem XX Bernardynów, wieży ratuszowej i pokojów radzieckich, wszystkie inne przybytki boskie i ludzkie do szczętu zniszczył [...]. Tak znaczną klęskę dotknięte miasto, chciało na koniec trwalsze i bezpieczniejsze, na wszelki przypadek ognia, mieć w pośród siebie budynki; przeto sprowadzeni ze Szląska mistrzowie budownictwa miasto Lwów znowu z rozwalin jego podnieśli i wiele zabudowań z kamieni lub cegieł w nim wystawili.

Ks. Ignacy Chodynicki, *Historia...*, o wydarzeniach z 1527

Polacy mają tylko trzy twierdze, we Lwowie i w Kamieńcu na Rusi, tudzież w Malborgu w Prusiech, która dawniej należała do Krzyżaków. Zresztą kraj cały zewsząd otwarty, po którym wzdłuż i wszerz bez żadnej przeszkody grasować można. Za największą jego obronę poczytują to, że wsi, miasta i zamki są drewniane, które w czasie najazdu wraz z żywnością spalić łatwo, i schronić się w niedostępne lasy, które zalegają całą prawie powierzchnią Polski.

Nuncjusz Alojzy Lippomano, relacja o Polsce, 1557,
cyt. za Erazmem Rykaczewskim

Leszek Goliński

Nad zagasłą „Żagwią”

Prezentujemy drugi już tekst o legendarnej „Żagwi” – pierwszy znalazł się w poprzednim numerze CL (3/07), pióra krakowskiego historyka literatury, prof. S. Sierotwińskiego. Traf chciał, że już po wydrukowaniu tamtego natknęliśmy się (w materiałach śp. dra Tadeusza Krzyżewskiego) na stary numer „Nowych Sygnałów” (Wrocław, nr 12 z 1956 r.), a w nim wspomnienie napisane przez jednego z członków „Żagwi”, późniejszego polonistę i dziennikarza (w tamtych latach miał niewiele ponad 20 lat).

Oba teksty wykazują drobne różnice, trudno jednak mieć o to pretensję do któregoś z autorów. „Żagiew” działała w wyjątkowo dramatycznych warunkach we Lwowie, potem była ekspatriacja, nic więc dziwnego, że materiały nie zachowały się w pełni. Wielu świadków od dawna nie żyje. Odręczne dopiski dra T. Krzyżewskiego na kartce gazety wykorzystujemy, oznaczając kwadratowymi nawiasami.

Mija właśnie 91 lat od urodzenia Henryka Greba – Jana Obucha i 51 lat od Jego śmierci.

Uliczka św. Anny skręcała tuż koło kościoła w prawo. Była to bardzo smutna i niepiękna uliczka; brudne, czynszowe kamieniczki, trochę nieba nad nimi albo – bywało – niewiele deszczu. Naprzeciw wznosiły się ponure mury jakiegoś szpitala czy czegoś w tym rodzaju. Henryk mieszkał na parterze, w mieszkaniu zagraconym po uszy. Zresztą nie pamiętam ani mieszkania, ani uliczki.

Czas był niewygodny dla poezji. Pisał w tym czasie Baumgarten w konspiracyjnie odbitym tomiku poezji:

*Przed Buckinghamem karety.
Chorażew płynie nad królem,
A nam jest gorzko od wiosny
i ciasno od nienawiści.*

Poznałem Henryka Greba na jakichś imieninach „cioci”. Bywały takie imieniny w czasie okupacji: zachowane cudem mieszkanie, zrudziały patefon w kącie, płyty pamiętające Piasta i Własta, obowiązkowo wódka, wreszcie tańce. Trwały owe „imieniny” zwykle przez całą noc z racji godziny policyjnej. Czasami grywano na nich w brydża, a młodzi bohaterowie deklamowali z ogniem w oczach „Odeę do młodości”

Owego wieczoru krąg gości był szczególnie liczny. Ba, same obce twarze. Gospodyni, krąglutka szatynka o artystycznych aspiracjach, sprzątnęła ze środka pokoju stół i zaczęła się sjeść. Ktoś coś deklamował, ktoś grał na fortepianie. Oczy zachodziły patriotyczną mgłą. Na zakończenie części artystycznej gospodyni chowała nie lada niespodziankę. Wskazując na wysokiego, kędzierzawego młodzieńca w kącie, przedstawiła:

– A to jest Jan Obuch.

Był to Henryk Greb. Właśnie Obuch: taki miał pseudonim. Obuch, to mówiło wszystko: codzienne satyry, które znało na pamięć całe miasto, dzieci i starzy, Polacy i Ukraińcy, komuniści i akowcy. Prawie co dzień Obuch drukował swoje satyry i prawie co dzień otrzymywał setki i tysiące listów. Była to najdziwniejsza korespondencja czytelników, którzy nie wiedzieli nic o autorze, i autora, który nie wiedział nic o czytelnikach. Bo Obuch nie chodził do redakcji. Była to niedobra redakcja: gadzinówka. Redaktorem naczelnym był bojkotowany później i sądzony w Polsce Ludowej, głośny przed wojną pisarz Stanisław Wasylewski. Nie znalazł się jednak jeszcze monografista okupacyjnego Lwowa. Tam wszelkie sprawy miały inne proporcje: rzeczy uważane w krakowskim czy warszawskim za drobnostkę nabierały we Lwowie monstrualnych rozmiarów zbrodni – i na odwrót.

Piszę o tym, bo Obuchowi wyrządono po wojnie krzywdę. W tamtych latach, gdy polscy mieszkańcy Lwowa mieli wroga nie tylko w postaci umundurowanego gestapowca, ale także sąsiada – ukraińskiego szowinisty, codzienne satyry Obucha odgrywały nie lada rolę. Ludzie czytali je między wierszami, odpisywali, uczyli się ich na pamięć. Obuch nigdy nie zaglądał do redakcji, nigdy nie brał za swoje satyry honorarium. Żył psim śwędem jak miliony

Polaków, przyczepił się do jakiejś spółdzielni rzemieślniczej, handlował jakąś skórą czy zelówkami i pisał. Gotowe satyry rzucał do skrzynki redakcyjnej na Sokoła wprost z ulicy. Przez pośredników odsyłano mu sterty listów od czytelników. Gromadził owe listy w osobnej skrzyni, pokazywał je czasem przyjaciółom, ale najczęściej się nimi nie chwalił. Była to jego wewnętrzna, osobista sprawa – rozmowa ze społeczeństwem, któremu zabroniono żyć, choć nie zabroniono marzyć.

Czas był dla satyry niewygodny. Nasi satyrycy piszący i drukujący w okresie „kultu jednostki” mogli czuć się ptakami wolnego lotu w porównaniu z dołą ówczesnego satyryka. Każde słowo brano przeciw pod lupę, w każdym dopatrywali się trzech znaczeń nie tylko cenzorzy, ale całe społeczeństwo, tysiące czytelników. Może Obuch źle robił, drukując w tamtym czasie swoje satyry. Może powinien był milczeć. Nie wiem. Mimo wszystko, dwanaście lat* – to za mały dystans, aby sądzić epokę i na jej tle człowieka. Zresztą wkrót-



Henryk Greb – Jan Obuch

ce Obuch zerwał i ten luźny kontakt z redakcją – przeszedł do pracy konspiracyjnej, całkowicie odsuwając od siebie możliwość zarzutu kolaboracji.

Nic dziwnego, iż na owym spotkaniu imię Obucha zrobiło należyte wrażenie. Henryk uśmiechał się, błyskał swoim złotym zębem, wyglądał wcale niepoetycko. Któż zresztą w tym gronie chadzał w pelerynie poety? Był tam aptekarz, pisujący dziś udane wiersze [Mieczysław Miszewski]**. Był gadatliwy hodowca żółwi, chodzący dziś w poetyckiej aureoli [Jerzy Hordyński]. Był przyszły autor żołnierskich piosenek [Bronisław Król], przyszły inżynier-chemik [Henryk Gruszkowski?], przyszły lekarz [Leszek Majerski] – wszyscy próbujący poetyckich strof. Deklamowaliśmy na zmianę swoje wiersze: któż z nas nie popełnił w młodości tego grzechu? Noc zesłała prędzej niż myśl.

Potem zaczęły się już normalne, coraz częstsze spotkania. Raz w pokoiku przy ulicy

św. Anny, raz u aptekarza na dalekim przedmieściu, raz u przyszłego dziennikarza. Na stole zazwyczaj leżała paczka „Lewiatanów”, mocnych jak śmierć, rzadziej – nieco alkoholu, zresztą poezja szumiała mocniej niż alkohol. Za oknami, zasłoniętymi nieszczelnie kocem, stała noc ciemniejsza od czasów i stuknęły po bruku kroki żandarmskich patroli. Front toczył się już wówczas na zachód, nadchodziła wiosna czterdzieści trzy, potem czterdzieści cztery. Było nam gorzko od wiosny i ciasno od nienawiści. Co dzień mętny ranek znajdował na ulicy wystygłe zwłoki spóźnionych przechodniów. Dokoła miasta płonęły struchlałe, choć częściej broniące się bohatersko wsie.

Czas był nieprzychylny poezji, ale to nieprawda, że pośród walki milkną muzy: czasami bywają one samą walką i samą pieśnią. Założyliśmy grupę poetycką „Zagiew”. Była to grupa bez politycznych manifestów, jedynym jej manifestem była chęć walki z okupantem. Tą chęcią walki przepojone były wszystkie wiersze. Jeżeli szukaliśmy nowych form poetyckich, to tylko takich,

które potrafią rozpalać najsukuteczniej i ranić najboleśniej, trafiać najcelniej. Europa była na dnie upadku i u progu wolności. Umarł Jan Obuch, narodził się wtedy Kajetan Szalej. Pozostał wierny swojemu poetyckiemu rodzajowi, ale ostrzył satyrę coraz bardziej, uczył się nią władać coraz doskonalej. Z naiwnych, może akademickich sympozjów poezji, z wieczorów przetykanych strzałami na ulicy, ukrzyżowanych widmem godziny policyjnej, rodziły się strofy, które zaczęły przenikać poza ściany, poza okna, krążyć w odpisach. Powstała potrzeba znalezienia takich środków publikacji, któreby umożliwiły narodziny poezji prawdziwie społecznej, prawdziwie narodowej, prawdziwie przydatnej. Chodziło nam przy tym o oddziaływanie nie tylko słowa, ale i o szatę graficzną, o zespolenie plastyki i poezji, treści i formy, grafiki i słowa. Z tych wspólnych marzeń, poszukiwań i prób narodziły się wreszcie trzy tomiki poezji. Drukowane na maszynie,

pieczołowicie i z dużym wyczuciem piękna ozdobione, zaczęły krążyć po mieście.

Nie o to nam jednak chodziło. Mimo wszystko „Żagiew” była wciąż kameralna, nieco snobistyczna, odrobinę wysublimowana. Stawała się dla szybko rosnącego grona współpracowników zbyt często ucieczką od smutnego świata poza granice twórczości. A przecież w pierwszym tomiku na czolowych stronach, pisaliśmy w formie litanii oddziałów powstańczych.

*Przez bohaterstwo Armii Polskiej,
walczącej na wszystkich lądach i morzach
za Wiarę i Wolność wybaw nas, Panie!*

*Przez heroizm żołnierzy Polski Podziemnej
wybaw nas, Panie!*

*O sztandary i Orły Narodowe
prosimy cię, Panie!*

*O zwycięstwa na polach bitew
prosimy cię, Panie!*

Ktoś rzucił wtedy pomysł najdziwniejszy i jedyny w swoim rodzaju: fotograficznych odbitek. Były one co prawda tylko dwubarwne, dosyć kosztowne i mało czytelne, ale dawały gwarancję znacznego rozszerzenia grona czytelników, a nade wszystko przechowania najlepszych, najcenniejszych utworów. Nie pamiętam już, ile takich odbitek sfabrykowano, wiem, że nasze „poligraficzne” możliwości nie stały w żadnym stosunku do zapotrzebowania.

Wiosna stała już w pełni nad pięknym Lwowem. Od wschodu toczyły się po bardzo błękitnym niebie echa armatnich salw. Ulicami ciągnęły w popłochu resztki wielkich armii Hitlera. „Żagiew”, która w tym czasie okrzepła już organizacyjnie, która miała już swój „hymn” i legitymowała się okazałym poetyckim dorobkiem, wkraczając przez niektórych swoich członków do podziemnego Związku Literatów Polskich – przestała istnieć. Wielu jej członków zamieniło pióro na karabin. Sztandary i Orły Narodowe ruszyły w zwycięskim pochodzie na zachód.

Na parę długich i gorących miesięcy straciłem Greba z oczu. Odnalazł się najnie spodziewaniej w Zielonej Górze. W małym parterowym domku na cichej ulicy, mając już rodzinę, zrekonstruował swój warsztat literacki. Zaczął pisywać – przeważnie do prasy wrocławskiej, choć nieraz pojawiał się Kajetan Szalej w „Szpilkach”. Widywaliśmy się teraz rzadko, choć w czasie kilkakrotnych

odwiedzin zadziwiał Henryk swoją energią, humorem, żywotnością.

I wtedy przyszedł nań chyba najdotkliwszy, najprzykrejszy okres w jego życiu. Z wykształcenia magister prawa – poszedł drogą prawniczą. Aplikował w sądzie. W latach wzajemnych podejrzeń i oskarżeń, gładyszaltowania wymiarów sprawiedliwości, a najczęściej po prostu łamania praworządności – ktoś rzucił na Greba naiwne oskarżenia o współpracę z prasą gadzinową. I choć został uniewinniony, musiał na długi okres pożegnać się nie tylko ze swoim zawodem, ale i odłożyć pióro. Nie złamał go jednak nigdy. Pisał dla siebie, gromadził swoje wiersze. Ostatnie lata spędził w Legnicy: stąd zaczął znowu pisać do paru pism, znowu drukować swoje satyry i fraszki, gdy przyszedł czas uchylecia bezsensownej kondemnaty.

Mając zaledwie 39 lat, przed paru tygodniami umarł***

O „Żagwi” nikt zapewne nigdy nie napisał monografii. Wiele było takich „Żagwi” w czasach okupacji. Pozostanie ona epizodem, utkwii w sercach ciepłym, choć coraz już bardziej mglistym wspomnieniem. I skąrzy się na trwałe z sylwetką dobrodusznego kpiarza, nieznanego przyjaciela wielu smutnych ludzi – Jana Obucha, Kajetana Szaleja, Henryka Greba.

* Pisane zapewne w r. 1956.

** To i następne nazwiska – patrz notka biogr. L. Golińskiego.

*** Patrz odsyłacz pierwszy.

HENRYK GREB, ur. 11 XI 1916 we Lwowie, zmarł 13 XI 1956 w Legnicy. Studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W 1944 rozpoczął działalność literacką pisząc fraszki i utwory satyryczne pod pseudonimem Jan Obuch. Równocześnie prowadził konspiracyjną grupę poetycką *Żagiew*, do której należeli: Maria Bielecka-Kasprowiczowa, Leszek Goliński, Henryk Gruszkowski, Tadeusz Forowicz, Bronisław Król, Mieczysław Miszewski, Leszek Majewski i Jerzy Hordyński. *Żagiew* wydała trzy tomiki wierszy: *A imię jego jest 44*, *Przekroje*, i *Werble Lwowa*. Kolportaż ich odbywał się przy pomocy odbitek fotograficznych. Po emigracji na Ziemię Zachodnie zamieszkał Greb najpierw w Zielonej Górze, potem w Legnicy. Pracował w redakcjach „Głosu Wielkopolskiego” i „Słowa

Polskiego” (mutacja dla Ziemi Lubuskiej), gdzie drukował szereg artykułów i esejów. Współpracował z pismami satyrycznymi („Szpilki”, „Różgi”, „Mucha”, „Kocynder”), zamieszczając w nich swe fraszki i satyry pod pseudonimem Kajetan Szalej. Współpracował również – już pod własnym nazwiskiem – z „Sygnałami”.

LESZEK GOLIŃSKI – zmarł w 1967 roku w wieku 47 lat. Kto mógłby o nim więcej powiedzieć?

DOPISEK REDAKTORA CL

Pozwalam sobie opisać niezwykle dla mnie zbieg okoliczności, jaki miał miejsce we Lwowie w 1944 roku. Oto przed kilkunastu laty krakowski antykwariat „Rara Avis” urządził aukcję, na której znalazła się księga pamiątkowa pracowni arch. Janusza Witwickiego, gdzie wykonywano „panoramę plastyczną dawnego Lwowa” (z XVIII w.), mieszczącą się dziś – po dramatycznych wydarzeniach końca II wojny – we wrocławskim Ossolineum. Nie wiem skąd znalazła się ta księga w posiadaniu antykwariatu ani kto ją nabył.

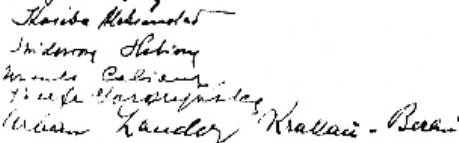
W marcu 1944 – jako niespełna 13-letni chłopiec – udałem się na ulicę Krakowską (?), by zobaczyć wykonywany model historycznego Lwowa, i oczywiście wpisałem się do księgi. W kilkadziesiąt lat później w Krakowie poszedłem obejrzeć aukcję (ktoś mnie o tym powiadomił) i w wyłożonej do sprzedaży księdze pamiątkowej inż. Witwickiego znalazłem swój podpis. Najciekawsze jednak to, że jako następny wpisał się... Jan Obuch. To jeszcze nie wszystko: obok widnieje podpis p. Tadeusza Krzyżewskiego.

Przecież nie znałem tych panów (dra T. Krzyżewskiego poznałem po kilkadziesiąciu latach w Krakowie), nie wiem, czy znali się między sobą, nie ma już kogo zapytać. W każdym razie dla mnie to niezwykła pamiątka. Poprosiłem właścicieli antykwariatu o skserowanie odnośnej strony księgi, a jej fragment przedstawiam Czytelnikom.

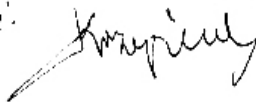
Andrzej Chłipalski

4. III. 1944. M. Bonawentura

5. III. 1944. J. Janusz



15. III. 1944. Chłipalski Andrzej
Jan Obuch



WYSIEDLENIA

Warto odnotować, że od pewnego czasu czytamy i oglądamy w mediach wiadomości o tworzeniu w Niemczech ośrodka dokumentacyjnego, poświęconego Niemcom przymusowo wysiedlonym po II wojnie światowej z Europy Środkowej i Wschodniej. Sprawie patronuje premier Angela Merkel, a przygotowania są jakoby bardzo zaawansowane. Placówka ma być „niesamodzielną fundacją” podporządkowaną Niemieckiemu Muzeum Historii w Berlinie, finansowaną z budżetu centralnego (na 2008 r. – 1,2 mln euro). Ośrodek ma zajmować powierzchnię 18 tys. metrów kwadratowych. Kierowany przez Erikę Steinbach Związek Wypędzonych ma uczestniczyć w realizacji rządowego projektu, ale zgodnie z ustaleniami niemieccy wypędzeni będą reprezentowani w najważniejszych gremiach tego rządowego ośrodka dokumentacyjnego.

Oczywiście w podawanych informacjach nie znajdujemy ani słowa w kwestiach analogii między projektem niemieckim a problemem polskim. Sprawy są bowiem podobne: co prawda państwo niemieckie zapłaciło utratą swych ziem wschodnich za wszczętą wojnę i niezwykle straty zadane głównie Polsce, to jednak trudno obciążać winą zwykłych ludzi z tych ziem pochodzących. Natomiast Polska utraciła swe wschodnie ziemie tylko dla zaspokojenia rosyjskiego imperializmu, a w dodatku poniosła podobne straty materialne i moralne ze strony sowieckiej, w sumie nawet większe niż ze strony niemieckiej.

Kiedy więc i jak zostaną upamiętnione te kwestie? Kiedy powstanie odpolityczniony ośrodek dokumentacyjny, ustanowiony i sponsorowany przez Państwo Polskie? Ośrodek, który oficjalnie zajmie się zbrodniami nie tylko niemieckimi, lecz i sowieckimi oraz ukraińskimi, nie patrząc na doraźne i krótkowzroczne interesy polityczne?

Zwracamy uwagę, że czynniki nie tylko rosyjskie, ale również ukraińskie wymyślają coraz to nowe argumenty przeciw Polsce, sięgając nawet w głąb wieków i jednostronnie naświetlając związki swoich obecnych ziem i ludności z Polską. Nonsensy tam głoszone trafiają nawet do niektórych sfer (niekonięcznie polskich) w naszym kraju nie napotykając żadnego przeciwstawienia. Ignorancja historyczna staje się u nas wszechogarniająca.

Może nowo tworzony ośrodek w Berlinie nas obudzi i pokieruje także w stronę wschodu?

Z prof. JERZYM WĘGIERSKIM

rozmawia Janusz M. Paluch



Panie profesorze, jest pan autorem biograficznej książki *Bardzo różne życie: we Lwowie, w sowieckich łagrach, na Śląsku*. Podejrzewam, że tam zawarte jest wszystko, co chciał pan nam, czytelnikom, przekazać. Proszę jednak opowiedzieć o swych dramatycznych przecięt losach. A ten wywiad potraktujmy jako zachętę dla tych, którzy po pana książkę sięgną. Do rozmowy tej zainspirowały mnie książki, które pan poświęcił działalności Armii Krajowej we Lwowie i okolicach. Materiały do tych książek zbierał pan w czasach, kiedy ludzie zaczęli na ten temat rozmawiać. Poza tym, działając w podziemiu, znał pan zaledwie najbliższy sobie krąg osób i to często tylko z widzenia i pseudonimu... Jakim cudem udało się panu do tylu ludzi rozproszonych przecięt po Polsce dotrzeć!

Mija już 40 lat, jak zacząłem się zajmować historią Armii Krajowej. Właściwie nie zajmuję się już tym od 10 lat, ponieważ powymierali ludzie, którzy dostarczali mi podstawowych informacji. Archiwalne źródła, wtedy już dostępne, też już właściwie wyczerpałem. Odnalazłem około 2000 osób z całego ZWZ AK Okręgu Lwowskie-

go! Jak do nich docierałem? Często były to przypadki, ale zazwyczaj jedno spotkanie owocowało kilkoma następnymi. I nie spotkałem się nigdy, żeby któryś z moich rozmówców nie chciał przekazać mi swych wspomnień z pracy konspiracyjnej w AK. Potem, kiedy wiedzieli, że zbieram te wiadomości, sami do mnie przyjeżdżali, między innymi po to, by pomóc mi w udokumentowaniu ich działalności w niepodległościowym podziemiu. A od 10 lat zajmuję się głównie historią Lwowa i nie będę ukrywał, iż jako historyk, czuję się zawiedziony, że redakcja „Cracovia–Leopolis” nigdy nie przesała mi okazowego egzemplarza ani nie zaprosiła mnie do współpracy.

Proszę powiedzieć, jak udało się panu połączyć pasję historyka z zawodem ścisłym – jest pan przecięt inżynierem, a do tego naukowcem – wszak tytuł profesora obliował też do prac teoretycznych...

W pewnym momencie po prostu mój zawód zszedł na drugi plan, a moje życie zdominowała historia AK. Aczkolwiek jeszcze do tej pory czasem zwracają się do mnie w sprawach konsultacyjnych, kolejowych – bo to była moja główna dziedzina... Do 1968 r. i jeszcze przez następne lata byłem całkowicie oddany sprawom kolejowym i jestem już chyba jednym z nielicznych inżynierów, którzy przed wojną pracowali na PKP. W latach 1938–1939 przebudowywałem stację kolejową w Zakopanem na FIS. Jak pogodziłem te dwie dziedziny?... Cha, cha!... Tego nie trzeba było godzić. Przecież działalność w Armii Krajowej była częścią mojego życia. Właściwie to nie miałem przygotowania wojskowego, poza zajęciami jakie wszyscy w szkołach i na uczelni przechodzili.

Może takie oficerskie ostrogi zdobył pan w lwowskim harcerstwie?

Nie należałem do harcerstwa. Do szkoły podstawowej nie chodziłem, matka mnie uczyła. Zacząłem chodzić dopiero do gimnazjum. Było to IV Gimnazjum we Lwowie. Ale miałem przygotowanie konspiracyjne. Nie wiem, czy pan wie, ale przed wojną w gimnazjach istniały tajne organizacje, jak NOGA – endecka, Młodzieży Wszechpolskiej itd. Ale ja należałem do „Odrodzenia”, katolickiej społecznej organizacji, którą kierował Jerzy Turowicz. Z mojej klasy – z trzema kolegami tam należałem. Mieliśmy zebrania raz na miesiąc. Potem jeździ-

łem na Tygodnie Społeczne „Odrodzenia”. Ale musiałem z „Odrodzeniem” zerwać, ponieważ należałem równolegle do Sodalicii Mariańskiej, a nasz moderator nie uznawał „Odrodzenia”, gdyż tam należeli i kobiety, i mężczyźni. Pozostawił nam wybór. Skoro złożyłem ślubowanie w Sodalicii Mariańskiej, musiałem zrezygnować z „Odrodzenia”. Dyrektorem mojego gimnazjum był pan Wincenty Śmiałek, zaprzyjaźniony z moją krakowską rodziną. Przed wojną mieszkało tam 50 osób z najbliższej rodziny! Estreicherowie przede wszystkim, babka była Estreicherówna z domu. Ambroży Grabowski był moim pradziadkiem. A teraz już nie ma nikogo. Wszyscy poumierali.

Wracając do głównego wątku naszej rozmowy... Umiejętności przywódcze daje nie tylko wojsko, ale normalna praca z ludźmi, choćby ta w Zakopanem, o której pan wspominał...

Rzeczywiście, miałem jednak duże doświadczenie organizacyjne, a do tego moim przyjacielem był – wówczas sobie z tego nie zdawałem sprawy – komendant AK dzielnicy północnej we Lwowie, a nawet przez jakiś czas komendant na cały Lwów. I to właśnie on, Jędrzejewski, wciągnął mnie do organizacji, głównie z tego względu, że w 1942 r. zaczęto organizować AK w okolicach Lwowa. ŻWZ działające za czasów okupacji sowieckiej zostało całkowicie rozbite, tak więc całą pracę organizacyjną należało zacząć od nowa. A ja w 1942 r. pracowałem pod Lwowem. Jak weszli do Polski sowieci, znalazłem pracę przy budowie drogi – jako młynarczy, potem majster i technik... Kiedy przyszli Niemcy, to ogłosili, że jeśli ktoś pracował za czasów sowieckich, to musi się też zgłosić do pracy, na poprzednie miejsce, do Niemców. Ja zgłosiłem się do takiej instytucji, która nazywała się Strassen Bauamt. Okazało się, że szefem tego urzędu jest mój starszy kolega z politechniki, który był oficerem rezerwy WP, ale jak się okazało już przed wojną był członkiem NSDAP. Czyli był szpiegiem niemieckim i jak tylko wojna się zaczęła, przeszedł na stronę niemiecką i wrócił do Lwowa jako dyrektor tej instytucji. Trzeba przyznać, iż człowiek ten w stosunku do Polaków, ale głównie swoich kolegów, odnosił się lojalnie. Jak rozmawiał w cztery oczy, mówił po polsku, jeśli przy świadkach – oczywiście po niemiec-

ku. I to on wyznaczył mnie na stanowisko inspektora nadzoru przy budowie tej samej drogi, przy której pracowałem za sowieków – w Winnikach pod Lwowem. Tam miałem do dyspozycji motocykl niemiecki z napisem „Organisation Todt”. Miałem też zatrudnić sobie techników. Ponieważ Niemcy nie byli podejrzliwi, byli naiwni politycznie, to ja sobie na technika zatrudniłem oficera rezerwy – Rudka Kozłowskiego. Przed wojną pracował jako kiper w zakładach produkujących papierosy. Inni też nie byli specjalistami, nikt na to nie patrzył. Trzeba było jakoś ludziom pomagać.

Z poręczenia Jędrzejewskiego zostałem szefem łączności w Winnikach i zacząłem ściągać ludzi. W końcu zostałem komendantem tego rejonu, a Rudek Kozłowski moim zastępcą. W tym rejonie było sześć wsi czysto polskich, i to właśnie głównie w oparciu o tamtejszych mieszkańców organizowałem AK. Ten motocykl niesamowicie mi pomógł w pracy organizacyjnej. Nikt mnie nie zaczepiał. Ukraińcy myśleli, że ja jestem Niemcem, a Niemcy nie kontrolowali mnie. Do jesieni 1943 r. zaangażowaliśmy do pracy w organizacji blisko 400 osób. Zaczęliśmy odbierać zrzuć. Było ich 5–6. Tą drogą dostawaliśmy broń, która w większości szła do Lwowa na uzbrojenie oddziałów konspiracyjnych. Ja czułem u siebie braki w wyszkoleniu. Upominałem się u swojego dowódcy mjr Białoszewicza, żeby skierował mnie na jakieś szkolenie do konspiracyjnej podchorążówki. Ale on zrobił coś zupełnie innego. 11 listopada 1943 r. otrzymałem awans do stopnia podporucznika czasu wojny. Byłem wówczas chyba jedynym, który nie miał przygotowania merytorycznego do pełnienia tej funkcji. Ponieważ mieliśmy broń, na wiosnę 1944 r. na moim terenie przystąpiliśmy do organizacji oddziałów leśnych, partyzanckich. Te oddziały dostawały numer pułku wojskowych oddziałów, które stacjonowały na tym terenie przed wybuchem wojny. My byliśmy bardzo dumni, bo granicząc z górnym Łyczakowem, gdzie stacjonował 14. pułk Ułanów Jałowieckich, otrzymaliśmy ich nazwę. Do dzisiaj wraz z żyjącymi jeszcze kolegami należymy do Klubu Żółtego Proporczyka. W moim szwadronie był tylko jeden koń, który używany był przez gońca, będącego z zawodu kierowcą. A nasze oddziały po zwycięskiej z Niemcami

wojnie, w wolnej Polsce, miały zostać szwadronami zmotoryzowanymi. Tak więc cały szereg moich chłopaków wysłanych zostało na kursy szoferskie.

Jaką rolę pański oddział odegrał podczas wyzwolenia Lwowa spod niemieckiej okupacji?

W lipcu 1944 roku do Lwowa wdarli się Rosjanie. Były to oddziały pancerne, bez piechoty. Sami Rosjanie przyznawali się potem do tego, że ich oddziały nie były przystosowane do walki w mieście. Nasze oddziały konspiracyjne i leśne zastąpiły piechotę. Do 27 lipca walczyliśmy wspólnie z Rosjanami przeciwko Niemcom. Rejon, w którym działaliśmy, był lesisty i górzysty. Niemcy w 1944 r. zaczęli tam budować umocnienia, rowy strzeleckie i pozycje dla karabinów maszynowych do obrony Lwowa przed Rosjanami. Ale nie zdążyli ich nawet obsadzić, bo oddziały pancerne przeszły przez te linie i wdarły się do miasta. Natomiast w podlwowskich miejscowościach stały niemieckie oddziały pancerne, ale z powodu braku paliwa były unieruchomione. Na polecenie naszego dowództwa zajęliśmy te umocnienia niemieckie. Niemcy byli przed nami – na wschód od Lwowa, a w mieście toczyły się walki z Niemcami, w których brali udział Rosjanie i Polacy z AK. Naszym zadaniem była osłona oddziałów walczących we Lwowie. Kiedy staliśmy na tych pozycjach, zgłosił się do nas oficer niemiecki ze 140. Infanterie Regiment, prosząc o rozmowę z dowódcą polskim. Poszedłem i rozpoczęliśmy rozmowę. Kiedy się zgłaszał, informował, że oni chcą się nam poddać. Kiedy doszło do rozmów, okazało się na odwrót. Dostali polecenie, żeby próbować przeciągać AK na swoją stronę. Zażądał ode mnie, żebyśmy ich przepuścili. Oczywiście odmówiłem. I ta rozmowa zakończyła się bardzo elegancko, wyciągnął do mnie rękę. – *Jesteśmy wrogami* – powiedziałem. – *Aber wir sind beide Offiziere* – odpowiedział. To było akurat po zamachu na Hitlera i mam wrażenie, że on już bez przekonania brał udział w tej wojnie, aczkolwiek spełniał swój obowiązek.

27 lipca Lwów został całkowicie wyzwolony od Niemców. Doszły też oddziały piechoty i my staliśmy się Rosjanom niepożrebni. Początkowo obiecywali, że nas przezbroyą, że wejdziemy jako osobna jednostka do Wojska Polskiego, tego berlingowskiego.

Oczywiście do tego nie doszło. Zaczęli nas aresztować. Najpierw naszych dowódców. Najważniejszych zapakowano do samolotu i zabrano na spotkanie z Żymierskim do Żytomierza. Na tym spotkaniu zażądano żeby wejść do armii Berlinga. Nasz dowódca płk Filipkowski odpowiedział, że się zgadza, ale pod warunkiem, że wejdziemy w stopniu szeregowców. Któryś z generałów pochwalił, że to bardzo piękne stanowisko, ale na tym rozmowy się skończyły. W nocy do ich kwater przyszło NKWD i wszyscy zostali aresztowani. Potem we Lwowie zaczęto aresztować także nas. AK przekształciło się w Nie-Niepodległość*, ja już w Winnikach przebywać nie mogłem, bo byłem spalony. Zostałem wyznaczony na oficera informacyjnego we wschodniej dzielnicy, której podlegałem poprzednio jako komendant rejonu. Dostałem pracę przy odbudowie mostów na drogach wylotowych ze Lwowa.

Pan także nie uniknął aresztowania...

13 lutego 1945 r., w dzień moich urodzin, aresztowano mnie. Trafiłem do więzienia na Łąckiego. Ja byłem dobrym konspiratorem. Nawet moja matka nie wiedziała, jaką funkcję pełnię w AK. Wiedział o tym tylko mój przełożony. Moja łączniczka była nieodświadczona. Przynosiła do mnie pocztę w niewielkich zwitkach. Któregoś dnia podała mi taki zwitek przy Rosjaninie... Śledczy miał ciężkie zadanie, bo wiedział tylko tyle, że ja byłem w AK. Początkowo się do niczego nie przyznawałem. On chciał się dowiedzieć, kim ja jestem, a ja usiłowałem od śledczego wyciągnąć, co on o mnie wie. U mnie w domu zrobiono kocioł, złapano jedną z kurierek, przy której znaleziono pocztę. To wszystko potwierdzało moją podziemną działalność. Któregoś dnia śledczy się bardzo zirytował i powiedział: *Ty nie chcesz nic mówić, ale twój kolega – oficer AK – wszystko nam powiedział!* Przedstawił mi jego zeznania, a ja już wiedziałem, że są zmyślane, fałszywe. Wtedy wpadłem na pomysł, że będę się przyznawał do tworzenia struktury organizacyjnej, której nigdy nie było! Ponieważ śledczy żądał bardzo szczegółowych informacji, kazał opisywać ludzi, więc jako swego przełożonego wymyśliłem oficera, który nigdy nie istniał! Tak więc, gdyby teraz protokoły z przesłuchań wypłynęły, ktoś niezorientowany mógłby nagle poczuć się odkrywcą podziemnej organizacji, która po-

wstała tylko w mojej wyobraźni! Potem były dalsze aresztowania ludzi z mojego terenu. Już po moim aresztowaniu działała tam radiostacja, którą zdekonspirowano. A aresztowanych tam konfrontowano ze mną. Jedna łączniczka, dzielna dziewczyna, podczas konfrontacji dała mi znak – wiedziałem, że ona się do niczego nie przyzna. I tak się stało, oboje wyparliśmy się znajomości. Natomiast druga, mniej doświadczona i pewnie przerażona, jak tylko ją wprowadzili, o mało się nie rzuciła na mnie, żeby mnie całować na powitanie. A poza tym wszystko powiedziała o tym oddziale leśnym... No więc musiałem się do tego oddziału przyznać. Ale śledczemu i tak było to nie w smak, bo musiałem się też przyznać do współdziałania z Armią Czerwoną podczas wyzwania Lwowa. Zostałem skazany na 10 lat, które niemal w całości odsiedziałem! Niemal w całości, bo po śmierci Stalina weszło takie prawo, które za dobre sprawowanie i wysokie procenty w pracy umożliwiało skrócenie odsiadki. A w obozach obowiązywało też wewnętrzne prawo, że im dłuższa odsiadka, tym wyższa pozycja wśród „arystokracji obozowej”. Pod koniec zostałem pomocnikiem brygadzysty, którym był Polak z Rygi, w brygadzie Łotyszy. A Łotysze nie potrafili porozumiewać się ani po rosyjsku, ani tym bardziej po polsku. Ja pracowałem przy dokumentacji brygady i to ode mnie zależało, jak powpisuję te wypracowane procenty. Odpowiednio trzeba było fałszować te niby wykonane prace. A Łotysze, którzy byli żołnierzami niemieckimi, dostali wyroki po 25 lat! Dla nich skrócenie terminu nie miało żadnego znaczenia, wszak i tak wiedzieli, że takiego wyroku w obozie nie przeżyją. I oni tymi procentami, pochodzącymi z moich fałszerstw, dzielili się ze mną. W rezultacie ja miałem tych „zaczotów” parę miesięcy i zamiast wyjść w lutym 1955 roku, byłem na wolności w sierpniu 1954 r.

Tak spokojnie mówi pan o swoim pobycie w więzieniu na Łąckiego, o tej grze z prowadzącym śledztwo, jakby to była rozgrywka w szachy między dżentelmenami...

Proszę pana, na Łąckiego było bardzo ciężko. Ten śledczy nie mógł dojść, kim ja jestem, dlatego przeszedłem bardzo ciężkie przesłuchania. Byłem przesłuchiwany sześćdziesiąt nocy, prawie bez przerwy! Bił mnie czym popadło. Ale bili umiejętnie, tak

Agnieszka Madej

I ZNOWU NA KRESACH

Pierwsze dwie wypowiedzi w tym cyklu (pod nieco innym tytułem: „Młodzi krakowianie poznają Lwów”) zamieściliśmy w CL 3/07. Autorka poniższego wspomnienia jest już też krakowianką, ale pochodzi – po kądzieli – z rodziny podolsko-tarnopolskiej. We wszystkich jednak tekstach powtarza się to samo: zaurocznie Ziemią nam zabraną.

Czekamy na następne wrażenia młodych ludzi z podróży po wschodniomałopolskich ziemiach!

W piątkowe sierpniowe przedpołudnie w grupie 42 osób z różnych stron Polski wyruszam na Kresy Południowo-Wschodnie na dziesięciodniową wycieczkę, zorganizowaną przez Klub Tarnopolan z Krakowa. Jestem osobą młodą, ale nie jest to moja pierwsza wyprawa na tamte tereny. Po raz pierwszy zabrała mnie tam moja mama, gdy kończyłam podstawówkę – wtedy był to tylko Czortków (bo stamtąd moi dziadkowie) i Lwów. To było pierwsze oczarowanie Czortkowem – pięknie położonym w jarze Seretu, z nowo oddanym i jeszcze bardzo zrujnowanym kościołem, cmentarzem, na którym leżą moi pradziadkowie; ludźmi, którzy pamiętali moją babcię i dziadka. I oczarowanie drugie – Lwów. Nie bardzo może wtedy jako czternastolatka wszystko rozumiałam, ale pamiętam całodniowy pobyt na cmentarzu Łyczakowskim, kwaterę Powstańców Styczniowych i zrównany z ziemią, zarośnięty trawą Cmentarz Orłąt, a także spacer po parku Stryjskim i pomnik Jana Kilińskiego. Następnie była jeszcze wycieczka w 1996 roku, a potem już jako studentka namówiłam moje koleżanki na kolejne dwie wyprawy.

I znowu po siedmioletniej przerwie jadę na Kresy! Pełna ciekawości, co się zmieniło, jak tam jest teraz.

Trasa wycieczki to bagatela – 2300 km; miejsca, które już widziałam, i te, w których jeszcze nie byłam: Stare Sioło, Świrz, Rohatyn, Brzeżany, Tarnopol, Mikulińce, Strusów, Trembowla, Zbaraż, Skalał, Okno, Kręciłów, Husiatyn, Czortków, Liczkowce, Sidorów,

żeby nie uszkodzić niczego wewnątrz, bo ja byłem przecież potrzebny jako robotnik w obozach. Początkowo prowadzono mnie do wspólnej łaźni, ale potem przestano, bo miałem plecy czarne od bicia. Miał też taką wyrafinowaną torturę – sadzał mnie na stołku w taki sposób, bym kością ogonową opierał się o kant siedziska. Stawiał swoją nogę tak, bym nie miał szans poprawienia się, i mówił: *wot tiebia polskaja terytorial!* A to powiedzenie brało się stąd, że ja mu powtarzałem, że my nie walczyliśmy przeciwko sowietom, tylko po to, żeby Lwów należał do Polski! Był wściekły, kiedy się zorientował, że ja już z bólu miałem tak znieczulone to miejsce, że właściwie już niczego nie odczuwałem. Podejrzewam, że moje kłopoty z kręgosłupem właśnie stąd się biorą. Druga dolegliwość, którą i pan odczuwa rozmawiając ze mną, to moje niedosłyszenie. Któregoś dnia uderzył mnie w ucho z taką siłą, że przestałem słyszeć. I dzisiaj mam poważne problemy ze słuchem w ogóle. Ale w obozach, w czasach kiedy ja tam przebywałem, nie było już tak strasznie jak za pierwszych sowietów. Tam już o nas jako o robotników jednak dbano. Jakkolwiek jedzenie nie było wystarczające, to jakoś można było przeżyć. I pewnie nie byłoby tak źle, gdyby kucharze nie musieli z naszych porcji wykarmić swoich przyjaciół i do tego tych strażników pilnujących nas w obozach. Tak więc byliśmy cały czas niedożywieni, a do tego praca była ciężka. Ja byłem inżynierem i komuniści to wiedzieli, więc wykorzystywali moje umiejętności, dzięki temu nie byłem eksploatowany przy ciężkich pracach fizycznych. Pierwsza moja praca była bardzo interesująca, bo budowaliśmy przegrodę doliny, tej wielkości jak w Rożnowie. Tam pracowałem jako technik geodeta, wytyczałem wszystko na tej budowie. Miałem dobre kontakty z więzionymi inżynierami rosyjskimi. Dostałem się do brygady „pryduków”, która nie pracowała fizycznie. Kiedy ta budowa się skończyła, zabrano mnie do budowy fabryk w Saratowie. Tam trafiłem do brygady byłego więźnia inż. Gorłowa, który doceniał moją fachowość i bardzo dobrze mnie traktował. A jego żona, która też była więźniarką – miała tatuaż na całym ciele – któregoś dnia przyszła do naszego biura z jakąś torbą. Z nami był jeden z enkawudzistów. Ona powiedziała mu, że na drugim końcu budowy ktoś go wzywa.

Kiedy poszedł, wyciąga z tej torby bochenek chleba, kawał słoniny, butelkę „braszki” – pan pewnie nie wie, co to jest – surowiec wódki. Kazała nam to schować do kasy pancерnej i życzyła smacznego. Do nas, więźniów, należało się zwracać per „zek”. Jeden z wolnych inżynierów pracujących z nami, Kanunnikow, który bardzo mnie szanował, mówił do mnie Jurij Jurijewiczu – *po imieni i otczestwie*. Wielokrotnie zwracano mu na to uwagę, ale on do końca traktował mnie jak wolnego człowieka, nie jak więźnia. Jak się opowiada o obozach, to mówi się o braku żywności... Może nie powinno się aż takiej wagi do tego przykładac, bo tam, w Związku Radzieckim, na wolności, bywało czasem gorzej... Jakiś czas pracowała ze mną wolna Rosjanka, ekonomistka czy inżynier, już nie pamiętam. Miałem wtedy dobre układy w kuchni i zazwyczaj nieco większą porcję. W którymś roku przyszła wymiana pieniędzy, zlikwidowano kartki żywnościowe i ci wolni mieli większe możliwości kupna żywności, bo i zaopatrzenie było już niezłe. I ona nam kiedyś mówi: – *Słuchajcie, ja z taką zazdrością patrzyłam, jak jedliście tę miskę kaszy, bo ja tego często w domu nie miałam*. Tak więc, o to, że nas kłopsko karmili, a do tego jeszcze okradali, to nie bardzo można mieć pretensje.

Muszę zapytać pana o Sołżenicyna, który przebywał w tym samym obozie co pan. Zresztą w swej książce „Archipeląg Gulag” wspomina pana....

Rzeczywiście był taki incydent... To było w następnym obozie Ekibastaz – kopalnia miedzi. Mówiąc szczerze ja tego spotkania za bardzo nie pamiętałem. To był incydent jak wiele innych w moim życiu. Byłem tam chyba majstrem na budowie osiedla, a Sołżenicyn był jeszcze szeregowym więźniem. I jak napisał w swych wspomnieniach, przyszedł do mnie, żeby pożyczyć mu metr składany, który ja miałem. I ja mu dałem ten metr bez żadnego zbędnego gadania. Jemu tak zaimponowało to, że ja obdarzyłem go takim zaufaniem, że potem, jak został brygadzystą, to mnie do swojej brygady i biura ściągnął. Był to obóz specjalny, gdzie nie wolno było korespondować. Po pracy wszystkich zamykano w barakach. Pewnego dnia obóz się zbuntował. Ogłoszono głodówkę. Zresztą, ta głodówka taka straszna też nie była, dlatego że więźniowie

jednak jakieś paczki dostawali – mimo że nie wolno było korespondować – i dzieliłi się między sobą. Toczyły się pertraktacje, żeby tę głodówkę przerwać. Kto ją organizował – nie wiadomo, nawet Solżenicyn tego nie wiedział, tak było to zakonspirowane. Któregoś dnia doszli do porozumienia i dali się skusić na specjalnie dobrą kolację. Ja byłem jedynym, który się sprzeciwił. Leżałem na górnych narach. Solżenicyn wyrzucał wszystkich na kolację, a ja mu powiedziałem: – *Brygadzisto, ja na kolację nie pójdę!* To musiało zostać zauważone przez donosicieli, bo potem, jak się zaczął etap karny, to mnie nim zabrano. Siedziałem wtedy w ciężkim więzieniu. Rozchorowałem się poważnie, współwięźniowie mnie ratowali. Z zamkniętej celi zabrano mnie do jakiegoś punktu sanitarnego. Tym szpitalikiem kierował felczer Ukrainiec. Wypytywał mnie, skąd ja jestem, i prosił siebie wyobrazić, że on pochodził z Lwowa i mieszkał na tej samej ulicy co ja, czyli na Potockiego! Sfałszował wyniki badań, zgłosił, że mam zakaźną czerwonkę, i zabrali mnie do porządnego szpitala, którego ordynatorem był także więzień, prof. Opiel z Leningradu. On się mną bardzo serdecznie zaopiekował. Miałem zresztą taką anemię z tego niejedzenia, że byłem na granicy śmierci. Ale jakoś mnie z tego wyciągnął. Kiedy wróciłem do obozu, w krótkim czasie po aresztowaniu i zamordowaniu Berii i śmierci Stalina, zlikwidowano „specobozy”. A o śmierci Stalina dowiedzieliśmy się też w specyficzny sposób. Któregoś dnia po otwarciu *karmuszki* – okienek, przez które dawali nam jedzenie – strażnik powiedział: – *A teraz na znak gwizdkiem wszyscy stanicie na baczność!* Przez jakieś dziesięć minut trzymali nas w pozycji na baczność. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. I dopiero potem, w latrynie, znalazłem kawałek gazety, z którego dowiedziałem się, że Stalin umarł. Jak już z tego obozu wyszedłem, to stałem się „arystokratą” obozowym, którym należało się opiekować. Jeszcze jakiś czas pracowałem, ale byłem już słaby. Znowu trafiłem do szpitala, gdzie okazało się, że nabawiłem się gruźlicy. Tym razem trafiłem na lekarza, którym był Żyd polski, Markowicz, ochotnik z wojny z 1920 r., podchorąży ówczesnego Wojska Polskiego. Wyciągnął mnie z tej choroby i wtedy wyszedłem z obozu – na

Kamieniec Podolski, Chocim, Wysuczka, Holihrady, Czerwonogród, Jazłowiec, Buczacz, Potok Złoty, Stanisławów, Jaremcze, Worochta, Kuty, Kołomyja, Drohobycz. Od przybytku ponoć głowa nie boli! Ale gdyby nie „Podole” – przewodnik Grzegorza Rąkowskiego i fakt, że zrobiłam podczas wycieczki ponad 800 zdjęć, które natychmiast opisałam, to nie bardzo bym wiedziała, gdzie co było.

Zamysłem organizatorów było pokazanie nam takich miejsc, do których dociera większość wycieczek, ale też i takich, których nazwy z niczym się nie kojarzą. Oglądaliśmy więc małe podolskie miasteczka i wsie przepięknie położone, podziwialiśmy malownicze jary, wijące się rzeki, bezkresne przestrzenie, dziką jeszcze miejscami przyrodę, zamki, kościoły. Rzucały się w oczy nowo wybudowane cerkwie i kaplice przydrożne. W typowym wiejskim pejzażu zawsze były stada gęsi, niebieskie płoty i rosnące przy nich właśnie dojrzewające kaliny. To wszystko zachwycało. Wiejski pejzaż to również szaro i raczej ubogo odziani ludzie i bardzo kiepskie drogi. Miasta (np. Stanisławów czy Kołomyja) niewiele różnią się od polskich. Są odnawiane i zadbane.

Dla mnie ciekawe było porównanie obecnego stanu zamku w Trembowli (mocno zarośnięty krzakami) z tym sprzed 10 lat, gdy trawa była wykoszona i mury widoczne, czy też zrujnowanych wtedy kościołów w Czortkowie, Mikulińcach i Buczaczu – teraz pięknie odrestaurowanych. Podobnie jak baszty zamku w Skalacie, pokryte nowymi dachami. Pamiętam też sprzed 10 lat klasztor sióstr Niepokalanek w Jazłowcu. Mieściło się tam wtedy sanatorium przeciwgruźlicze, a ściany budynku do wysokości pierwszego piętra toczył grzyb. Pacjenci mogli chyba być leczeni tylko zdrowym powietrzem rozległego, ale mocno zaniedbanego parku. Dzisiaj, gdy siostry odzyskały większą część zabudowań, miejsce to odzyskuje dawny wygląd. Cieszyć może fakt, że zabezpieczają się przed dalszą dewastacją np. kaplicę zamkową w Brzeżanach czy odnawia zamek zbaraski. Niestety większość zamków i kościołów to już tylko ruiny.

Chyba dla większości uczestników największą atrakcją z tych mało uczęszczanych

zesłanie. Czyli nie byłem już więźniem, ale musiałem przebywać w określonej miejscowości i pracować. Wówczas korespondencyjnie poznaliśmy się z żoną.

A pani też ze Lwowa pochodzi? – zwracam się do małżonki Profesora, pani Józefy Węgierskiej.

Nie, ja spod Brześcia. Mój ojciec był też w więzieniu, w którym przebywał kolega męża. Oni, żeby nie tracić ze sobą łączności, pisali do mnie, a ja pośredniczyłam w kontaktach z nimi. No i w taki sposób poznałam się z mężem!

Niesamowite i jakże romantyczne!

Żona, jeśli można tak powiedzieć, uciekła do mnie z domu. To było możliwe, bo mieszkali po sowieckiej stronie. Rodzina nie chciała jej wypuścić! A ponieważ jej ciotka była niedaleko mnie w Kazachstanie, to powiedziała, że jedzie do niej, a przyjechała do mnie i zaraz wzięliśmy ślub!

W Kazachstanie?!

Tak, w Kazachstanie. Ten ślub odbył się w zaimprovizowanej kaplicy – w prywatnym domu – w Karagandzie. Ślubu udzielał nam obecny Sługa Boży ks. Władysław Bukowiński.

Czy Państwa ślub też był utajniony?

Nasz ślub był już całkiem oficjalny. Było kilkaset osób. To był czas, kiedy zwolnieni Polacy wyjeżdżali do kraju. Zupełnie nieznanymi nam ludziom razem z nami cieszyli się z naszego szczęścia. Pamiętam, że podszedł do nas mężczyzna i składając nam życzenia przedstawił się nazwiskiem Plater. Zapamiętałismy go, bo to nazwisko ze stron mojej żony!

Czy to był pierwszy kontakt z księdzem Bukowińskim?

Pierwszy raz spotkałem się z nim, kiedy przebywałem w obozowym szpitalu. Najpierw drzwi mojej celi były zamknięte, okno zakratowane i kontakt ze światem był tylko przez tę kratę. Kiedy połapali się, że nie jestem jakimś niebezpiecznym więźniem, pozwolili mi wychodzić. Odwiedzali mnie ks. Bukowiński i jeszcze jeden wilniuk. Przewadziliśmy dysputy teologiczne pod szpitalem. Ks. Bukowiński był wtedy w więzieniu. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Potem z nim korespondowałem, gdy był na zesłaniu, ale w innym miejscu. No i tak się złożyło, że spotkaliśmy się w Karagandzie. Ponieważ ja wcześniej zawiadomiłem go, że się za-

ręczyliśmy, więc poprosiliśmy, by udzielił nam ślubu. Świadczenie ślubu wyglądało tak, że na odwrocie swojej fotografii napisał: *+ Matężństwo sakramentem wielkim jest w Chrystusie i Kościele. Jerzemu i Józefie Węgierskim w dzień ślubu 26 XI 1955 r. Karaganda [podpis] XWBukowiński.* I tu, na Śląsku, ksiądz nie wiedział, czy może nam uznać tego dokument. Powiedział, że słyszał, że na dzikich wyspach ludzie się tak zachowują. Nam było wtedy bardzo przykro... No to zaproponował, że nam jeszcze raz udzieli ślubu. Wtedy zmytygował się, napisał do biskupa, który okazał się mądrzejszy. Musieliśmy dać świadectwo dwóch świadków. I na tym się skończyło.

Jak pamięta pan pracę ks. Bukowińskiego w więzieniu?

Pamiętam wielu księży, którzy byli w obozach. Oni się bali. A ks. Bukowiński był jedynym, który cały czas spowiadał, rozmawiał, pocieszał. Był niezwykle odważnym księdzem. Przesyłałi mu opłatki i coś zamiast wina, chyba suszone winogrona... Wszystko było w wielkiej konspiracji. Znałem też księdza grekokatolickiego, który odprawiał nam msze. Bardzo skarżył się na swych rodaków, bo na jego msze przychodzili Polacy, Niemcy, a Ukraińcy nie przychodzili.

Jak wyglądała taka utajniona msza?

Bardzo zwyczajnie. Siadaliśmy grupą w kącie baraku na narach. Ksiądz odprawiał Ofiarę, a my siedzieliśmy w milczeniu, modląc się. Miał jakąś szklaneczkę, zamiast kielicha; jak nie było opłatka, to kruszyny chleba. Ale to było możliwe po likwidacji specobozów i kiedy ten reżim znacznie zelżał.

Jak wyglądał wasz powrót do Polski?

Trzeba powiedzieć, że był luksusowy. Podstawili nam sypialne wagony. Jechało blisko tysiąc Polaków! I tylko jeden oficer sowiecki jako komendant transportu. Ze mną wracała moja mama, która też przeszła obóz. Dostała 10 lat za to, że *znała, a nie skazała!* Oczywiście nic nie wiedziała o mojej działalności. I proszę sobie wyobrazić, że ona dłużej siedziała w łagrze niż ja. Ja już byłem na zesłaniu, kiedy ją zwolnili z obozu. Wtedy przyjechała do mnie znad Morza Czarnego. A żona nie mogła z nami wracać, bo powiedzieli, że ona jest obywatelką sowiecką. Tak więc ona musiała

najpierw pod Brześć pojechać i tam podjąć starania wyjazdu do Polski.

Jak się pan znalazł w całkiem nowej rzeczywistości?

W tym czasie AK było jeszcze potężne. AK-owców ze Lwowa spotykałem w obozie. Ale tam na temat naszej pracy konspiracyjnej nie mówiliśmy. Wszyscy się bali, bo mogli podsłuchiwać, a poza tym każdy mógł być donosicielem. Tu na Śląsku zacząłem w początkach 1956 r. pracować w biurze projektów górniczych. Na tematy konspiracji też z nikim nie można było mówić. A mnie cały czas gnębiły wspomnienia z AK. W tym śledztwie na szczęście nie wyszło, że byłem oficerem informacji, bo miałbym wyższy wyrok, a tak skazali mnie tylko za udział w konspiracji. I bałem się, żeby to w Polsce nie wyszło. Bo i tu, choć po odbytych wyroku, byłoby przecież źle widziane. Okazuje się, że jeśli się chce, to można wiele rzeczy zapomnieć celowo. I ja po latach nie potrafiłem już powiedzieć, na czym ta moja praca jako oficera informacyjnego polegała. Co ja właściwie tam robiłem? I to do tego stopnia, że zapomniałem, jaki miałem pseudonim! Zapamiętałem tylko tyle, że ta nazwa nawiązuje do czegoś w rodzaju smoka. Dopiero kiedy dotarłem do dokumentów, stwierdziłem, że ten pseudonim brzmiał „Gryf”. A poprzedni mój pseudonim, pod którym najpowszechniej byłem znany, brzmiał „Antek”. Przez szereg lat z nikim też na te tematy nie rozmawiałem. Czekałem. Ponieważ spotkałem swoich przełożonych, m.in. Jędrzejewskiego, który mnie zwerbował, komendanta dzielnicy Białoszewicza, to tak w cztery oczy coś mówiliśmy, ale raczej unikaliśmy tych tematów. A ja, zamierzając pisać swoje wspomnienia, chciałem mieć zezwolenie swoich dowódców. Obaj byli po ciężkich polskich więzieniach, w których stracili zdrowie. Po 10 lat przesiedzieli! Gdybym ja był w Polsce skazany, to nie przeżyłbym tej katorgi, przez którą oni przeszli! Tak więc mogę powiedzieć, że Rosjanie mnie uratowali.

To jest niesamowite, co pan mówi!

I wreszcie w 1968 r. ci dwaj moi dowódcy powiedzieli, że już można pisać wspomnienia. Zacząłem od napisania raportu ze swojej działalności. Tak się złożyło, że dość szybko natrafiłem na swoich podkomendnych i pierwsza relacja, którą zakończyłem

miejsce był przełom Zbrucza pod Kręciłowem i Czerwonogród. Spacer przez rezerwat Miodobory był prawdziwą przyjemnością. Najpierw szliśmy brzegiem bukowego lasu, a potem wzdłuż wijącej się rzeki, w której rosnące na brzegu drzewa zanurzały swe gałęzie. Zapatrzonym w piękno przyrody wycieczkowiczom udało się zgubić drogę, ale nikt nie narzekał, że trzeba kawałek wrócić. Trafiliśmy na szlak i stromą ścieżką wspięliśmy się pod górę, szukając jeszcze dwóch ciekawych miejsc w rezerwacie. Jednym z nich jest jaskinia Perła. To największa w Miodoborach jaskinia krasowa, której niestety nie można zobaczyć wewnątrz, gdyż prowadzi do niej pionowe zejście. W pobliżu wśród lasu wznosi się grupa skał, zwana Puszczą, a w jednej z nich jest wykuta grotą, w której w XIX w. mieszkał pustelnik. Obecnie wewnątrz mieści się kapliczka, a przed wejściem stoi duży drewniany krzyż.

W Czerwonogrodzie zaś, położonym nad rzeką Dżuryn, przykuwają wzrok strome zbocza doliny, po jednej stronie porośnięte lasem, z drugiej trawą, spośród której odsłaniają się czerwonawe (skąd najpewniej nazwa miejscowości) skały piaskowca. W dół doliny prowadzi wijąca się serpentynami droga, którą dotarliśmy do największego na Podolu (16 m) wodospadu. Był niesamowity upał (37^o), miejscowa ludność zażywała ochłody, jednak nas czas gonił. Szkoda, że nie mogliśmy dłużej tam zostać.

Dużo by jeszcze można napisać, bo każde z odwiedzanych miejsc w ten czy inny sposób przypomina naszą polską historię i kulturę. Uczestnicy wycieczki: ci, którzy potraktowali ją jako podróż sentymentalną do miejsc bliskich sercu, jak i ci, którzy żadnych związków z Kresami nie mają, z pewnością wynieśli z niej wiele wspaniałych wrażeń. I wielu z nich będzie chciało tam jeszcze wrócić. Ja na pewno tak.

AGNIESZKA MADEJ, ur. 1977 w Krakowie, tamże ukończyła szkoły. Studia na Akademii Pedagogicznej w zakresie pedagogiki specjalnej i (podyplomowo) logopedii. Obecnie studia podyplomowe w Dolnośląskiej Wyższej Szkole Edukacji TWP we Wrocławiu w zakresie „wczesnego wspomaganie”. Pracuje jako oligofrenopedagog w Samorządowym Przedszkolu Specjalnym w Krakowie.

w 1970 r., miała 40 stron i opierała się na moich wspomnieniach, które jak mówiłem, były dość nikle. Potem zaczęła się lawina znajomości. I nie było tak, jak pan myśli, że trzeba było ludzi namawiać. Sami się zgłaszali, sami opowiadali, nigdy żadnych nacisków nie trzeba było wywierać. Jak znalazłem jednego, podawał mi adresy kilku następnych kolegów. I tak trafiłem do ponad 2000 ludzi, zebrałem dwa tysiące fotografii ludzi związanych z AK na terenie Małopolski Wschodniej. Cała ta dokumentacja znajduje się teraz w Krakowie w Bibliotece Jagiellońskiej. W krakowskim Muzeum AK jest też moja wystawa. Potem dobrałem się do archiwów. Były jednak przypadki, że ludzie się na mnie obrażali, bo nie znaleźli się w książce, ale nie było takiej możliwości, żeby wszystkich wymieniać.

Proszę powiedzieć, jak wspomina pan Lwów z czasów dzieciństwa?

Na ten temat dużo by gadać! Odsyłam pana do mojej książki *Bardzo różne życie: we Lwowie, w sowieckich łagrach, na Śląsku*, jeśli uda się ją panu zdobyć, bo z tego co wiem, nakład wyczerpany! Ja jestem chyba jedynym już człowiekiem, który pamięta obronę Lwowa w 1918 r.! Dlatego, że u nas w domu, przy ul. Potockiego 27, była filia szpitala, jaki znajdował się na Politechnice Lwowskiej. Leżało u nas kilkunastu lekko rannych żołnierzy i oni się mną opiekowali. Ja miałem wtedy cztery lata, uczyli mnie czytać i pisać. M.in. późniejszy szef wspólnoty interesów płk. Piasecki. Mam takie wspomnienia obrazkowe, pamiętam maszerujący oddział. Z matką poszedłem pod kościół Marii Magdaleny, to już było

w czasie walk, i koło mnie upadł jakiś odłamek granatu. Któryś z oficerów strasznie obhuśtał moją matkę.

Serdecznie dziękuję panu za rozmowę!

JERZY JULIAN WĘGIERSKI, ur. 1915 we Lwowie. Emerytowany profesor Instytutu Kolejnictwa i Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Krakowskiej, wykładowca Politechniki Śląskiej i Warszawskiej. Żołnierz ZWZ i AK, uczestnik powstania lwowskiego w ramach Akcji „Burza”. Wieloletni więzień syberyjskich łagrów. Autor dzieł o ważnych księżkach o AK we Lwowie: *Zarys historii lwowskiego obszaru ZWZ-AK* (współautor: Bolesław Tomaszewski, Warszawa 1983), *Lwowskie AK* (współautor: Bolesław Tomaszewski, Warszawa 1984), *W lwowskiej Armii Krajowej* (Warszawa 1989), *Lwów pod okupacją sowiecką 1939–1941* (Warszawa 1991), *Armia Krajowa na południowych i wschodnich przedpolach Lwowa* (Kraków 1994), *Lwowska konspiracja narodowa i katolicka: 1939–1946* (Kraków 1994), *Konspiracja lwowska 1939–1944: słownik biograficzny* (współautor: Grzegorz Mazur, Katowice 1997), *Komendy Lwowskiego Obszaru i okręgu Armii Krajowej: 1941–1944* (Kraków 1997), *Lwowskie oddziały leśne „Warta” na Rzeszowszczyźnie 1944–1945* (Kraków 1998), *Obsada osobowa dowództw Lwowskiego Obszaru SZP-ZWZ-AK-NIE w latach 1939–1945* (Kraków 2000), *Bardzo różne życie: we Lwowie, w sowieckich łagrach, na Śląsku* (Katowice 2003), *Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa. 1 IX 1939 – 5 II 1946* (współautorzy: Grzegorz Mazur, Jerzy Skwara, Katowice 2007), *Przeciw okupacji sowieckiej. Żołnierze wyklęci na kresach południowo-wschodnich* (wersja elektroniczna) oraz wielu artykułów naukowych i wspomnień z dziejów Lwowa w II wojnie światowej i historii ZWZ-AK-NIE Obszaru Nr 3 (Lwów).

PROŚBA

Pan Jerzy Finell, zamieszkały w Hamburgu, zwraca się z prośbą o pomoc w odnalezieniu śladów jego dziadka, Piotra Finella, który przed II wojną prowadził działalność gospodarczą w okolicach Lwowa – podobno był wytwórcą masła kakaowego. Należał jakoby do kościoła anglikańskiego. Czy była taka gmina wyznaniowa we Lwowie? Może tą drogą udałoby się kontynuować poszukiwania.

Wedle naszych wiadomości nie istniała we Lwowie gmina anglikańska. W mieście był kościół ewangelicki (na rogu ulic Zielonej i Kampiana), prawdopodobnie użytkowany przez wyznawców różnych odłamów protestantyzmu (luterkański, kalwiński itd.). Niezależnie od tego nie sądzimy, by we Lwowie byli anglikanie, poza ewentualnie pojedynczymi osobami (tak jak np. dość znana rodzina, która przeszła na metodyzm, a jej senior był biskupem).

Może ktoś z Czytelników nas poprawi?

JAK PRZEMYSŁ I INNE GRODY CZERWIEŃSKIE ODEBRALI POLAKOM KSIĄŻĘTA KIJOWSCY...

Otiec Kadyło, proboszcz parafii prawosławnej, której Rada Miasta Rzeszowa przekazała bezpłatnie sporą działkę, na której ma stanąć cerkiew, przypomniał, że kiedyś granica Rusi sięgała poza Krosno i Rzeszów*. Dla wielu Polaków, którzy nie interesują się przeszłością własnego kraju, będzie to wiadomość bulwersująca. Oczywiście są to fakty historyczne, ks. Kadyło mówił prawdę

Spróbujmy się zastanowić, odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście pograniczne rubieże południowo-wschodniej Polski, do których otwarcie zgłaszają pretensje ukraińscy nacjonaliści, to są dawne etniczne ziemie ukraińskie, czy też było inaczej – prapolskie ziemie padły łupem agresywnych sąsiadów i uległy rutenizacji.

Musimy cofnąć się daleko w przeszłość, do początków naszej państwowości. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach nasi historycy, archeologowie, zaczęli się wnikliwie przyglądać wydarzeniom, jakie rozegrały się na południowo-wschodnich rubieżach państwa pierwszych Piastów w X i XI wieku. Zaczęto z należytą uwagą traktować przekaz, jaki znajduje się w kronice ruskiego mnicha, Nestora. Kronikarz ten podaje, że w roku 981 książę kijowski Włodzimierz poszedł na Lachy i zajął grody ich, Przemysł, Czerwień i inne.

Z zapisu tego wynika jednoznacznie, że wojowniczy książę kijowski (wywodzący się z normandzkich Wagerów) najechał wschodnie pogranicze tworzącego się państwa Piastów. Włodzimierz, który uzyskał przydomek Wielki, dokonywał podbojów, powiększając swoje księstwo w różnych kierunkach. Przeszłość miała pokazać, że najazd na należące do Lachów Grody Czerwieńskie przyniósł daleko idące konsekwencje, z którymi zmagamy się jeszcze dzisiaj, tysiąc lat po opisanych wydarzeniach.

W wyniku najazdu w ręce ruskich wojsk wpadł znaczny, niezłe zagospodarowany, choć rzadko zasiedlony obszar, należący do lechickiego plemienia Lędzian. Nie wiemy

dokładnie jak daleko na południowy wschód sięgały plemienne ziemie Lędzian-Lachów, nie wiemy, ponieważ ruski kronikarz, mnich Nestor wyliczył tylko dwa spośród Grodów Czerwieńskich, które wpadły w ręce najeźdźcy z Kijowa. Do końca nie wiadomo, gdzie leżał wymieniony przez Nestora Czerwień (od którego całą krainę nazwano Grodami Czerwieńskimi) – czy nad rzeką Huczwą w Lubelskiem (jak chcą niektórzy), czy też chodziło o historyczny gród Czerwinogród koło Zaleszczyk.

Nie brakło historyków, którzy starali się bagatelizować przekaz Nestora, m.in. dlatego, że kronika powstała sto lat od opisywanych wydarzeń.

Aliści, zupełnie nieoczekiwanie zapis Nestora potwierdziły w całej rozciągłości badania archeologiczne w Przemysłu. Podziemia katedry łacińskiej, wzgórze zamkowe przyniosły rewelacje, o których nawet nie śniło się historykom. Odkryto tam m.in. pozostałości romańskich budowli z czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Relikty murowanych obiektów, na które natrafiono w ostatnich dziesięcioleciach, rzucają zupełnie nowe światło na odległą przeszłość tej części kraju...

Zanim Przemysł stał się na pewien czas (ponad dwa stulecia) siedzibą książąt ruskich, był miastem lechickim, jednym z równych grodów plemienia Lędzian, które przeszły do historii jako Grody Czerwieńskie, a po zagarnięciu ich przez Rusinów nazywane były Rusią Czerwoną. Przemysł był centralnym ośrodkiem, stolicą plemienia Lędzian, które przyjęło chrzest mniej więcej w tym czasie jak inne polskie plemiona, jak Wielkopoleanie, Ślężanie, Małopoleanie czy Sandomierzanie, i wchodziło w struktury kościoła pierwszych Piastów. Za nim Rusini z Kijowa zagarnęli tę pograniczną ziemię i zaczęli wznosić cerkwie, był już w Przemysłu (a być może w Czerwieniu i innych grodach) romański kościół i kapłani obrządku

Dokończenie na s. 20 ►

Joanna Karpacka-Nasiek

Podróż na ziemię brodzką

Poniżej prezentujemy skrót relacji Autorki, kładąc główny nacisk na ciekawe zdjęcia i komentarze do nich. W maju '07 Brodzianie wyjechali ponownie (poprzednią pielgrzymkę opisali w CL 1/07) do rodzinnego miasta z zamiarem poświęcenia jemu i jego bezpośrednim okolicom więcej czasu niż zazwyczaj. Autorka wykonała i omówiła zdjęcia, z których część warto przedstawić – to jest historia naszej wspólnej Ziemi.



← W kwaterze żołnierzy polskich, którzy zginęli w latach I wojny światowej w liczbie około 2 tysięcy, została podniesiona ze śmietnika płyta z napisem *Nieznanemu Żołnierzowi 1914–1920* i Krzyżem *Virtuti Militari*. Groby żołnierskie wokół pomnika zostały uporządkowane.

↓ Budynek „Brygady”, w którym przez 11 lat urzędował gen. Władysław Anders.



↑ Uczestnicy wycieczki udali się w okolice Brodów – do Palikrów i Huty Pieniackiej. Jechali przez pustkowia bez żadnych domostw i nieuprawiane pola. Wsie bardzo nieliczne, jakby stanęły w rozwoju, czas się dla nich zatrzymał. Nie widać żadnego ruchu, autobusów, żadnych sklepów. Prawie nie widać było dzieci.

W Palikrowach, wsi przed wojną polską (z nielicznymi Ukraińcami), pozostała niezniszczona kaplica rzymskokatolicka, którą raz na tydzień odwiedza ksiądz z Brodów; na mszę św. przychodzi kilka osób. 12 marca 1944 r. bandy UPA zamordowały w Palikrowach 365 osób. Mieszkańców wypędzono na łąkę nad rzeczką Siowlę na tzw. mityng i po oddzieleniu Polaków od Ukraińców, których odesłano do domów, Polaków rozstrzelano. Żyją jeszcze świadkowie tej masakry.



↓ Miejsce, na którym położona była polska wieś Huta Pieniacka, jest obszernym terenem, otoczonym lasem, na którym jedynym śladem bytności ludzi jest kapliczka. 28 lutego 1944 r. zamordowano tu lub spalono ok. 1300 Polaków. Domy i zabudowania spalono bądź rozebrano, drzewa i krzewy wycięto, by nie pozostały ślady po polskich mieszkańcach Huty Pieniackiej.

↑ W 2005 r. władze polskie postawiły na wzniesieniu zbiorowej mogiły granitowy pomnik w kształcie krzyża z dwiema granitowymi płytami z nazwiskami Polaków zabitych przez SS Galizien i bandy UPA.



↑ Ruina kościoła w Sydonówce (3 km. od Brodów), wybudowanego w 1938 r. ze składek mieszkańców Małopolski. Tu odprawiał msze ks. Andrzej Bardecki, który na swej pierwszej parafii po wyświęceniu pracował w Brodach (zm. 2001 r.).



← Nowo budowany kościół rzymskokatolicki w Brodach. Częściowo otynkowany, wstawiono niektóre okna, ale w ostatnim roku nie nastąpił widoczny postęp w budowie. Oczekuje się wykończenia w ciągu dwóch lat.

łacińskiego. Włodzimierz, dokonując w 981 roku podboju Grodów Czerwieńskich, był jeszcze pogańskim władcą (chrzest przyjął z Bizancjum w roku 988), a jego najazd spowodował zniszczenie struktur państwa Mieszka I, w tym także organizacji kościoła łacińskiego na ziemi Łędzian.

Bolesław Chrobry upomniał się o wydarte jego ojcu Grody Czerwieńskie i odbił je z rąk zaborczych sąsiadów, wracając ze zwycięskiej wyprawy na Kijów w roku 1018. Znowu w Przemyślu, Czerwieniu i innych Grodach Czerwieńskich stanęły polskie załogi, a w Przemyślu królewski namiestnik, którego zadaniem było sprawowanie rządów w tej pięknej i żyznej ziemi. Wtedy odbudowano zniszczoną przez najeźdźców świątynię i palatium.

Niestety, odzyskane przez Chrobrego Grody niedługo pozostały w polskich rękach. Po śmierci Chrobrego w 1025 roku w państwie Piastów powstał zamęt, jego następca Mieszko II musiał uciekać z kraju, na Mazowszu doszło do reakcji pogańskiej. Szybko wykorzystał te kłopoty państwa Piastów następca Włodzimierza Jarosław, obdarzony przez potomnych mianem Mądrego, i nie tylko posiadał to, co stało się łupem Włodzimierza Wielkiego, ale sięgnął jeszcze dalej. W roku 1030 zdobył (jak poświadcza kronikarz) należący do Lachów jeden z grodów Czerwieńskich, Bełz, który jak się wydaje, oparł się zbrojnemu najazdowi Włodzimierza w 981 roku.

Na zachód od Przemyśla Jarosław zdobył nieznaną nam z nazwy gród nad Sanem, który dla umocnienia swego panowania nazwał swoim imieniem.

Raz jeszcze Grody Czerwieńskie wróciły do swych prawowitych właścicieli, do państwa Piastów, a stało się to w wyniku zwycięskiej wyprawy na Kijów Bolesława Śmiałego w 1069 roku, nie-

stety nie na długo. Jak wiemy, ten waleczny, lecz porywczy władca wdał się w konflikt z biskupem Stanisławem i zabił go. W rezultacie stracił tron i musiał opuścić kraj. Książęta kijowscy po raz kolejny zagarnęli Grody Czerwieńskie, a korzystając

z rozbitcia dzielnicowego, sięgnęli jeszcze po skrawki pogranicznych ziem Małopolski z Rzeszowem i Krosnem...

Skutki agresywnego parcia ksiąząt kijowskich na południowo-wschodnie ziemie państwa pierwszych Piastów przekreśli dopiero król Kazimierz Wielki, przejmując w 1349 roku Grody Czerwieńskie jako naturalny spadkobierca otrutego przez bojarów mazowieckiego księcia Jerzego II.

Odtąd ziemia ta, aż do rozbiorów, stanowiła część Rzeczypospolitej Obojga Narodów, co w pewnej części przyczyniło się do zniweczenia skutków najazdów ksiąząt z Kijowa.

Jedną z najpoważniejszych konsekwencji oderwania Grodów Czerwieńskich od państwa pierwszych Piastów była rutenizacja tych ziem i zagłada Łędzian, jednego z prapolskich plemion, z których powstała Polska. To z tymi Łędzianami-Lachami kontaktowali się Węgrzy i Litwini. Dlatego ich imieniem nazywali i nazywają po dzień dzisiejszy Polaków: w języku węgierskim *len-gyel* znaczy Polak, w litewskim *lenkas*. I to jest właściwie, oprócz relikwów kultury materialnej, pozostałych w ziemi, jedyny, trwały ślad po dużej strukturze plemiennej Łędzian, których nieszczęście polegało na tym, że osiedlili się na ziemi graniczącej z agresywnym państwem ksiąząt kijowskich.

Prawdę o najdawniejszych dziejach południowo-wschodnich rubieży państwa Mieszka I i Bolesławów Chrobrego i Śmiałego chciałem przypomnieć nie tylko ojcu Kady, ale również naszym rodakom, którzy z braku należytej wiedzy gotowi są uwierzyć, że są to odwieczne, etniczne ziemie ruskie. W rzeczywistości najpierw należały do pra-Polaków, a w wyniku zbrojnego najazdu znalazły się na pewien czas w rękach ruskich sąsiadów. Mamy do nich pełne, potwierdzone przez historię prawa...

* Nasuwają się tu dwa porównania: 1. Czy ukraińskie władze przekazałyby Polakom żyjącym w państwie ukraińskim działkę bezpłatnie, a nawet czy byłby możliwy jej zakup? Przypomnijmy sobie wciąż aktualną sprawę Domu Polskiego we Lwowie, terenu dla naszego Konsulatu itd. 2. Czy polski duchowny odważyłby się w państwie ukraińskim przypomnieć, że ziemia wschodniomałopolska to ziemia prapolska, łędziańska, a potem przez wiele wieków ziemia polska? (przyp. red.)



Juliusz Ross

List z Radziechowa, 1941

RELACJA¹, SKIEROWANA DO HR. STANISŁAWA BADENIEGO²

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio,

Pragnąłbym w paru słowach opisać Panu Hrabiemu koleje, jakie w ciągu tego okresu przechodził pałac w Radziechowie, oraz przedstawić jego stan obecny.

Po opuszczeniu przez Pana Hrabiego Radziechowa pałac został zajęty przez miejscowe władze bolszewickie i oddany na kwatery ciągnącym wówczas oddziałom wojskowym. Po krótkotrwałym pobycie władz wojskowych, które urządzenia jego prawie w całości uszanowały, został zmieniony, łącznie ze skrzydłem mieszczącym pierwotnie gimnazjum, na biura. Wówczas urządzenie zostało rozdzielone w pierwszym rzędzie do użytku bolszewickich komisarzy, wysortowane zaś z niego przedmioty, a nawet całe komplety, rozdane różnym instytucjom o charakterze publicznym. I tak meblami z salonu urządzono gabinet partii, meble z sąsiedniego saloniku otrzymał szpital powiatowy, komoda z gablotą z przedpokoju otrzymała miejscowa poliklinika, niektóre meble z jadalni wraz z pajakiem otrzymał tzw. klub mieszczący się w Sokole, meblami zaś z pokoi gościnnych i prywatnych urządzono mieszkania komisarzy lub też pozostawiono je na miejscu w biurach. Podobnie jak z meblami było też z porcelaną i obrazami. W budynku nie przeprowadzono żadnych zmian architektonicznych. Oprócz biur w pałacu pomieszczono też archiwum, do którego przez długi czas zwożono z całego powiatu akta polskich urzędów, książki z różnych bibliotek publicznych i prywatnych oraz przedmioty o charakterze pamiątkowym. Stajnie (przy pałacu) mieściły duże magazyny, kurnik zaś zmieniono na budynek mieszkalny. Z dniem 1 maja 1940 roku park otwarto dla publiczności, a ogród warzywny prowadzony był nadal i należał do miejscowego Komunwidłtu.

Taki stan trwał przez cały czas bolszewickiego terroru, to jest do 22 czerwca roku bieżącego [1941]. W tym też czasie kilkakrotnie stykając się we Lwowie z p. dr. Guttlerem, który zapewne znany jest Panu Hrabiemu, rozmawiałem z nim o obrazach

z tutejszego pałacu. Galeria bowiem miała prawo ściągania wszelkich dzieł sztuki z opuszczonych mieszkań Polaków. W dniu 20 maja bieżącego roku przybyła do Radziechowa specjalna komisja z Galerii Lwowskiej, która przejrzała obrazy złożone w archiwum oraz te, którymi ozdobiono salę klubu, po czym władze pozwoliły na zabranie tylko tych, które wysortowano z archiwum. Zabrano wówczas 11 obrazów, a jak stwierdziłem później oglądając je w Galerii, zaledwie 5 z nich było z tych, które już dawniej Galeria przejęła na swoją własność zgodnie z życzeniem Pana Hrabiego.

Z chwilą rozpoczęcia wojny bolszewicy nie mieli zbyt wiele czasu do namysłu i już w pierwszym dniu musieli Radziechów opuścić, a w dniu następnym, to jest 23 czerwca byli już tu Niemcy. Opuszczając w tempie przyspieszonym miasto, bolszewicy urzędy w pałacu pozamykali i opieczętowali, w mieszkaniach zaś pozostawili to, co z pałacu zrabowali, tylko w stanie znacznie zniszczonym i niekompletnym. Najcięższym dniem dla Radziechowa był poniedziałek 23 czerwca, kiedy to w czasie odwrotu bolszewików spłonęło wiele zabudowań gospodarczych na Kątku oraz zostało zniszczonych wiele domów przy ulicach Lwowskiej, Piaskowej i Podgaj.

Rankiem 26 czerwca bolszewicy poddali Radziechów bombardowaniu rzucając bomby w różnych punktach miasta. Kilka bomb spadło na wozownię, zamieniając ją jak też i stajnię w gruzy i powodując pożar w skrzydle pałacu, który w krótkim czasie unicestwiono. Dach z zarządu został zerwany. W dniu 1 lipca br. wybuchł w dawnej krowiarni przy pałacu groźny pożar, ogarniający natychmiast także kurnik, który spłonął doszczętnie. W krowiarni i świniami spłonęły stropy dachowe oraz nagromadzone w nich przez bolszewików wielkie ilości towarów i artykułów spożywczych. Wskutek spalenia się wiązań dach opadł. W akcji przeciw pożarowi, która przede wszystkim miała na celu nie dopuścić do ogarnięcia ogniem pałacu, brało także czynny udział wojsko niemieckie.

Pałac w Radziechowie, portyk od frontu.
Zdjęcie sprzed 1939 r.



Przez jakiś czas w pałacu kwaterowały wojska niemieckie, a w dawnym gimnazjum mieściły się tymczasowe urzędy gminne i powiatowe, które w październiku zostały ulokowane w budynku starostwa. Obecnie pałac wraz ze skrzydłem mieszczącym dawniej gimnazjum stoi pusty i jest prawdopodobnie zarezerwowany dla wojska, a nadzór nad nim sprawują miejscowe władze gminne.

Z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich byłem jednym z pierwszych, którzy zwiedzieli pałac. Dach został podziurawiony od pocisków. Belki wiązania dachu nad częścią środkową, spróchniałe, rozluźniły się, a nawet grożą runięciem. Mur zewnętrzny części starszej odstał od muru nowszego w rogu między oknami pokoju przed biblioteką a pokoju narożnego i powstała szczelina,

ce się do Kościuszki, kilka luźnych sztychów angielskich (Tomkins, James Daniell), 2 miedzioryty oraz sztych według obrazu Vogla (Raszyn, Grochów, Góra...). Dwie wazy niebieskie o nieco z chińska stylizowanych kwiatach i ptakach, makata wschodnia z pok. 14 oraz kilka dyplomów śp. Marszałka³. Z obrazów, oprócz 11 zabranych do Galerii, ocalały następujące: Jankowskiego – *Czarnecki*, Tepy – *Chata*, Rybkowskiego – *Epizod wojenny* (częściowo uszkodzony), Wyczółkowskiego – *Złoty Róg* (znacznie uszkodzony); prócz tego obrazy: Wyganowskiego, Uziembły, Grubińskiego, Biskiego, Kowalskiego oraz portret rodzinny. W opuszczonym pałacu wisi po dziś dzień nieuszkodzony obraz Kochanowskiego – *Wejście do katakumb*. Z książek herbarz Korona z lat 1740–

–1750 (4 tomy). Większa ilość książek, zarówno francuskich, jak i polskich z bibliotek, które za czasów bolszewickich złożone były w archiwum, znajdują się obecnie w posiadaniu biura „Narodnej Oświaty” w Radziechowie.

W miejscowej restauracji obiady są obecnie podawane na herbowych zastawach.

To, co wymieniłem, jest znikome w stosunku do liczby przedmiotów, o których nie wiemy, a które są po domach prywatnych.

W okresie bolszewickim sprofanowano oraz pootwierano szereg grobowców na tutejszym cmentarzu, między innymi grobowiec śp. Marszałka. W ścianie zamykającej sam grobowiec wybity był otwór, przez który bolszewicy wdarli się do środka i pootwierali wieka trumien. Przed 1 listopada gmina otwór ten zamurowała, doprowadzając poprzednio trumny do porządku. Z innych sprofanowaniu uległy również pomniki śp. Piecuchów oraz pomnik śp. Cielenkiewicza.

W pamiętnym dla Radziechowa dniu 26 czerwca padły również bomby na dawny budynek sądu, powodując wyłom w ścianie zewnętrznej i niszcząc dach. Kilka kamienic na starym rynku zostało zamienionych w gruzy również na skutek bombardowania. Obecnie miasto, niebędące już siedzibą władz powiatowych, przedstawia dość smutny widok.

szeroka w górze na kilka centymetrów. Stało się to prawdopodobnie na skutek wstrząsu, jakiego doznał pałac w czasie bombardowania. Stropy w salonie oraz pokoju przed gabinetem zawilgocone, a w czasie opadów dłuższych woda kapie z nich na posadzkę. Opuszczony budynek pałacu niszczeje coraz bardziej, a stan jego wskutek wilgoci poważnie budzi obawy.

Spośród przedmiotów ocalały następujące: kaseta z klamrami wyobrażającymi ruiny zamków, bez wierzchniej płaskorzeźby Wawelu, 2 obrazy z albumu z tej kasety: Rozwadowskiego – *Motyw z Rzeszowskiego* i Tetmajera – *Motyw Tatr*, album rodzinny ze zdjęciami, teka plansz Tyrowicza, teka karykatur sejmowych Sichulskiego. Ze sztychów: 3 sztychy francuskie *Paulus et Virginia* (rozdarła), 2 sztychy Gaugaina odnoszą-

Na zakończenie chciałbym jeszcze podać kilka słów o ojcu. Do stycznia roku 1940 ojciec przebywał stale w Radziechowie. Po usunięciu nas z dawnego mieszkania 22 października 1939 roku zamieszkaliśmy wszyscy w jednym pokoju z kuchnią u pani Hołówkowej za gminą. Ojciec pozostał bez zajęcia i stale się niepokoił. W styczniu 1940 roku opuścił nas udając się do Sokala i od tego czasu ślad po nim zaginął. Przez długi czas sądziliśmy, że może jest po tamtej stronie. Dopiero w maju bieżącego roku dowiedzieliśmy się przez p. Kałuckiego od jednego gospodarza z Nieznanowa, który został wypuszczony z więzienia we Lwowie, że rzekomo jakiś czas siedział razem z ojcem. Gospodarz ów, nazwiskiem Wawryniuk, wkrótce po wypuszczeniu został ponownie aresztowany i prawdopodobnie przez bolszewików stracony. Natychmiast po dowiedzeniu się rozpoczęliśmy poszukiwania. Adwokat we Lwowie, który podjął się zbadania tej sprawy, powiedział, że o takim nazwisku człowiek jest i przebywa jeszcze w więzieniu. Próbowaliśmy zatem kilkakrotnie podać pakunek do więzienia, jednak takiego nigdy nie przyjęto. Matka udała się jeszcze do prokuratora, który oświadczył, iż takowy został skazany i wywieziony na trzy lata do robót do Rosji i że za dwa lata powróci. Mimo usilnych błagań matki niczego więcej nie oświadczył. Mamy nadzieję, że ojciec żyje i że Bóg pozwoli mu jeszcze do nas powrócić.

Obecnie ja z matką mieszkamy u Machowej, a siostra z mężem i małą córeczką wraz z pp. Poznańskimi w domu obok apteki.

Kończąc prosiłbym bardzo pozwolić mi przechować przedmioty, które wymieniłem, a których część zebrałem u siebie, oraz łączę wyrazy czci i głębokiego poważania.

PRZYPISY REDAKCJI

- ¹ W kopii listu posiadanej przez redakcję brak nazwiska autora, można jednak domniemywać, że był nim Juliusz Ross – p. notka poniżej.
- ² Ostatni właściciel dóbr i pałacu w Radziechowie. W czasie II wojny przebywał w Krakowie.
- ³ Ojciec adresata listu, poprzedni właściciel Radziechowa, hr. Stanisław Badeni (1850–1912), był w latach 1895–1901 marszałkiem krajowym Galicji. Dzięki jego wieloletnim staraniom Wawel został opuszczony przez wojsko austriackie i zwrócony Narodowi.

JULIUSZ ROSS (1920–1976), ur. w Radziechowie, historyk sztuki. Do szkół uczęszczał w Radziechowie, maturę zdał we Lwowie przed wybuchem II wojny. Zamieszkały po wojnie w Krakowie, pracownik naukowy UJ. Jeszcze przed podjęciem studiów na UJ interesował się historią sztuki: w 1937 r. wydał przewodnik po Radziechowie. Zmarł w Krośnie. Jego ojciec Jan, który do II wojny zarządzał majątkiem hr. Badenich z Radziechowa, w czasie pierwszej okupacji sowieckiej został uwięziony i stracony.

G A Z ZIEMNY
z własnej sieci rurociągów

G A Z O L
płynny gaz w butlach

GAZOLINĘ – BENZYNĘ
OLEJE I SMARY samochodowe specjalne

dostarcza
„GAZOLINA” S.A.
Lwów, ul. L. Sapiehy 3. – Telefon Nr 232-80

PROFESOR JERZY KOWALCZUK INFORMUJE

Szanowni Państwo! Ukazał się drukiem następny tom monografii z cyklu:

SZKOŁY LWOWSKIE – MONOGRAFIE
HISTORIA SZKOLNICTWA, OŚWIATY
I WYCHOWANIA NA ZIEMIACH
ODŁĄCZONYCH – KRESACH
POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
II RZECZYPOSPOLITEJ

Tom V (w czterech częściach),
pt. IV PAŃSTWOWE LICEUM
I GIMNAZJUM im. Jana Długosza
we Lwowie (nr 562)
lata szkolne 1879/80–1938/39
Autor JERZY KOWALCZUK,
Kraków 2007

Zainteresowanych nabyciem tej monografii proszę o kontakt:

J. Kowalczyk, ul. Lublańska 24/2,
31-476 Kraków; tel. +48 (12) 411-36-41
e-mail: kajot@op.pl
lub kajot@uci.agh.edu.pl

Jednocześnie informuję, że koszty związane z zakupem tego tomu monografii są następujące:

część 1 – stron 566, cena 80 PLN
część 2 – stron 578, cena 80 PLN
część 3 – stron 296, cena 60 PLN
część 4 – stron 354, cena 70 PLN

Cena łączna V tomu: 290 PLN
Do powyższych cen są wliczone koszty wysyłki pocztowej.
Proszę o odwrotną odpowiedź co do gotowości zakupu tego tomu.

ERRATA

Na pierwszej stronie poprzedniego numeru (CL 4/07) – mała wpadka. W ramce *Przeczytane*, u dołu, informowaliśmy że na temat książki K.P. Kapuścińskiego piszemy w dziale *Książki–Czasopisma*. Próżno tego szukać w tamtym numerze – zamieszczamy to w niniejszym. Przepraszamy!

Stefi Stojatowska

Gdybym cię miała zapomnieć

Jak liście z drzewa, zapach rezedy
Rozwiać się wołę...

Gdybym Cię miała zapomnieć kiedy,
Moje Podole!

Jak robak marny w mrocznym okryciu
Zginać wpierw wołę...

Gdybym Cię miała zapomnieć w życiu,
Moje Podole!

Jak żebrak na dnie nędzy i biedy
Skonać wpierw wołę...

Gdybym Cię miała zapomnieć kiedy,
Moje Podole!

Jak gwiazda jasna w bladym przedświciu
Zgasnąć wpierw wołę...

Gdybym Cię miała zapomnieć w życiu,
Moje Podole!

Alicja Wierzbicka

Miasto moje!

Miasto moje w tęsknocie niespełnionej,
miasto moje, z którego wydarto mnie wbrew
woli,

miasto moje pełne wspomnień, radości
i bólu,

miasto moje zjawiające się w nocie bezsennej,
opłakując cmentarze,

miasto moje, w którym krzyże żołnierskie
dają świadectwa ofiary największej,

miasto moje dzielnie broniące historii
przez wieki,

miasto moje naznaczone śmiercią
niewinnych,

miasto moje w mozaice różnorodności
w budowlach, kościołach, językach,

miasto moje, które nocą oświetlone łunami,
wygnańców chroniło,

miasto moje, które ze strasznej pożogi
ledwo cudem przetrwało,

miasto moje w uroku lasów, łąk, brodów
istniało

miasto moje jakże inne od tego, które we
mnie ostało,

miasto moje, które w tęsknocie serca
cichutką nutą łąka,

WIERSZE

Wiosna na Podolu

Wiosny jak tu na Podolu
Nie ma chyba w całym świecie...
Gdzie krok zrobisz, tam ptak dzwoni,
Orgia barw, cocktail woni...
A krajobraz – film na dłoni
Lub mozaika w ram bukicie
Ułożona gdzieś na polu.
Wiosna tutaj na Podolu
To prawdziwy hymn o pięknie...
Wyśpiewany przez aniołów
Pośród smutnych też padołów,
Szarych, ciemnych niby ołów,
Takiej wiosny grzech się złęknie,
Szpetny, karli syn kąkolu.

Autorka powyższych (i wielu innych) wierszy jest nieznana. Zbiór jej wierszy odnalazł przed laty p. Bogdan Rogala-Turski, zamieszkały w Szczecinie. Wedle pozyskanych przezeń wiadomości, S. Stojalowska była przed II wojną światową uczennicą gimnazjum w Czortkowie. Możliwe, że po wojnie wyjechała na Ziemię Odzyskaną i tam zamieszkała (we Wrocławiu?).

Kto z Czytelników miałby jakiegokolwiek wiadomości o S. Stojalowskiej, proszony jest o informację na adres p. Bogdana Rogala-Turskiego: 70-778 Szczecin, ul. Turkusowa 31/23 lub do naszej Redakcji.

Pana Bogdana przepraszamy za tyloletnie zatrzymanie Jego listu i załączonych wierszy. Materiały te po prostu utknęły w stosach, nad którymi z trudem udaje się nam zapanować.

miasto moje, które w Wiśle* z Madonną**
swoją renesans ma,
miasto moje odradzające na nowo wiarę
przodków w ich sercach ma,
miasto moje, w którym na wieżach
kościółów znów dzwon chwałę
Bogu ogłosi!

Sanok, 2007

* Brodzianie z całej RP spotykają się co roku w Wiśle na Śląsku.

** Obraz namalowany w r. 1900 przez Ludwikę z hr. Tyszkiewiczów Abramowiczową pod wrażeniem pielgrzymki do Częstochowy. Znajdował się w kościele parafialnym w Brodach, a w 1945 r. został wywieziony do Opolu i tam pozostaje do dziś. Jego kopię, poświęconą przez Jana Pawła II w Skoczowie w r. 1995, przewieziono do Brodów i tam oczekuje na ukończenie budowy nowego kościoła.

ALICJA WIERZBICKA, z d. Krzyżanowska, ur. 1929 w Brodach. Tamże rozpoczęła naukę, którą kontynuowała na Opolszczyźnie, matura w Opolu 1949. Po zamążpójściu osiadła w Sanoku. Z zawodu ekonomistka, obecnie na emeryturze; z zamiłowań humanistka, uczestniczka Uniwersytetu III wieku w Sanoku.

Nasz lwowski świat

Nasz świat miniony,
Pełen urody,
Świat pachnącego chleba,
Czystej wody...
Świat poetyckich wizji,
Bez komputerów, telewizji...
Bez zgrzytów, mitów, satelitów –
Po nocach nam się śni...

Powyższy wiersz, napisany p o d o b n o przez Andrzeja Szczepkowskiego (†1973), znanego aktora, zachował się w materiałach po śp. dr. Tadeuszu Krzyżewskim.

Z ostatniej chwili

12 lutego br. media doniosły, że tzw. „Instytut Kresowy” w Warszawie – o którym pisaliśmy kilkakrotnie – ulega likwidacji.

Franciszek Jaworski

STRZELNICA

Niniejsze opowiadanie zacerpnęliśmy z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910).

Twierdza „kołtuństwa” lwowskiego przywdziewa każdej wiosny zieloną, dziewiczą szatę. Na jej stokach drzewa się rozgwarzają odwieczne, olbrzymi park ze wszystkich swoich wzgórków, kondygnacji, cienistych zakrętów ześle ku dołowi, pod biały pomnik Jana III majowe westchnienie, czar życia i wiosny owładnie pełzające po murawie kwiecie, a owe wszystkie brunatne cienie, co zamajaczą od wieżyc strzelnicowych i omszałych konarów, ukoją się w jeden ton ciszy i dostojnej powagi.

W ową ciszę a dostojną powagę wieków spowita, drzemie w zamczystych skrzyniach Strzelnicy tradycja lwowskiego mieszczaństwa. Pada na nią w gotyckie litery zakłęty przywilej Zygmunta Augusta i Władysława IV „dzielnej strzelby porządek” i wszystkich królów polskich miłośnicze akty, a kurzący jeszcze od r. 1495 na straży tam stoi. O niechże grzmot kręgielni tej ciszy nie mąci ani biesiadne ucztowanie, bo tam historia śni gigantyczne majaki, bo tam z dalekiej perspektywy dzisiejszego wieku dziwne się odległe a wielkie tłoczą obrazy.

Bywają też chwile, kiedy w parku strzelnicowym cicho, jakby „chronos” starawy makiem sypaną na rozgwarzone życie całej ulicy Kurkowej i sąsiedniego placu Gwardii Narodowej. Bywa tak rankiem, a czasami i wieczorną porą, kiedy tylko wyjątkowy przechodzeń lub dwoje kochanków wspina się po stromych alejach Strzelnicy. Wtedy cała okolica owej „twierdzy” dziwnie się staje urocza, powiewna cichym dobrym szmerem wiosny rodzicielki. Ale to tylko naonczas, kiedy nie ma strzelania o tradycyjną „gęś i sól” lub do gwoźdźcia o honor królewski, kiedy rozmamrotane echo gawiedzi nie przerwie uroku. Jest w takiej chwili dobrze na Strzelnicy jak niby na zielonym zaułku Lwowa, z dala od wielkomiejskiego gwaru.

A równocześnie po architektonicznych załawkach „twierdzy”, po białych liniach kamiennego pancerza Jana III migotać poczną

szerokie jakieś blaski, jakby przyćmione nieco od starości, zza wielkiej trochę oddali, ale zawsze pełne bujnego życia, silnych splotów, długich powłóczystych sukien z czamletu lub falendyszu. Cała przeszłość Lwowa ognikami świecić pocznie na bezludziu i w mimowolny się rytm bohaterski utoży.

Właściwie Strzelnica w dzisiejszej swojej postaci, z graniastą wieżyczką, z drągiem na flagę, z blaszanym „kurkiem” na szczycie, nie ma co tak bardzo opowiadać, bo dopiero z końcem osiemnastego wieku osadziła się w tym miejscu. Gdyby się zaś archiwum strzelnicowe z początku dziewiętnastego wieku chciało rozgadać, to lwowianin dzisiejszy, zawsze trochę odseparowany od prowincji dolnoaustriackich, tyrolskich etc., usłyszałby rzeczy, po lwowsku mówiąc „wprost horrendalne”. Bo oto w r. 1815 odbyło się na Strzelnicy strzelanie na dochód funduszu ck inwalidów wojskowych, w r. 1816 na wychowanie dzieci żołnierskich regimentu Nugent, w r. 1817 na zubożałych górali czeskich, w następnym roku na instytut ślepych dzieci żołnierskich w Wiedniu, w r. 1819 na dochód pływalni wojskowej we Lwowie. Obok tych szlachetnych celów, z którymi może godnie współzawodniczyć filantropia zwariowanych dam galicyjskich, wysyłających dziś jeszcze pieniądze do Afryki na kształcenie dzieci murzyńskich, opowiedzieć by mogła ponadto Strzelnica coś o paradach urządzanych na cześć różnego rodzaju „najdostojniejszych gości” i o celności ich honorowych strzałów, mogłaby pokazać relikwie w formie... piór gęsich, którymi ci goście nazwiska swoje podpisywali w księgach pamiątkowych itd.

Początków jednak Strzelnicy należy szukać na ulicy Skarbkowskiej. Tuż za bramą krakowską, mniej więcej na przecięciu ulicy Krakowskiej i Skarbkowskiej, stał od założenia Lwowa aż do końca osiemnastego wieku dom, zwany popularnie „celsztatynem”, a na końcu ulicy Skarbkowskiej obok dawnej dzwonnicy kościoła Dominikanów – tarcza strzelecka. To była pierwotna siedziba „bractwa strzeleckiego”, dumnej i rycerskiej instytucji, co z mieszczan Lwowa, onych kupców i cechowych rzemieślników, tworzyła dzielnych rycerzy i obrońców rodzinnych pieleszy. To nie towarzystwo ani dobrowolny związek, ale publiczna instytucja była Rzeczypospolitej lwowskiej, przywilejami kró-

łów obwarowana i ratuszowymi wilkierzami. Każdy mieszczanin i przybysz we Lwowie zamieszkały stawać miał w pewnych terminach pod grozą surowej kary do strzelby, do hakownicy, do działa i zaprawiać się na wojenną potrzebę, na wały i baszty miejskie, na obronę miasta ojczystego, któremu lew z ratusza przyświecał, a wieżycy dumnie sterczały. Ze strzeleckiego więc bractwa urosły owe dumne i bitne pokolenia jedną ręką na wadze kupieckiej, drugą na mieczu oparte, wpatrzone w wiecznie gorejącą łunę od wschodu, a Strzelnica lwowska była szkołą rycerską w najlepszym i najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Ale nie sam tylko „celsztat” za bramą krakowską był miejscem rycerskich popisów. Na „strzelczej górze” (*mons sagittariorum*), na której dziś pałac arcybiskupa lwowskiego, ćwiczyła się także młodź lwowska w strzelaniu, najpierw z łuków, potem z muszkietów i dział, a to wszystko wedle ściśle skodyfikowanych przepisów i „porządków strzelby” układanych przez magistrat, a zatwierdzanych w kancelarii królewskiej. Porządek ten wymagał przede wszystkim, „aby każdy, kto do strzelby przyjdzie, Jegomości Pana Burmistrza, albo kto na jego miejscu będzie i Panów starszych strzelców, przystojnie uczcił, a słowem nieuczciwym, albo fukiem *in praesentia* Jegomości na żadnego z Panów sąsiad nie ważył się porwać pod winą gr. 40”. Inne przepisy miały na celu bezpieczeństwo uczestników i zapobieżenie nieuczciwym podrywkom w strzelaniu, przeciwko zaś pijakom osobny paragraf stanowił, „aby też żaden strzelec upiwszy się nie przychodził strzelać, albo tam przyszedłszy, aby się nie upił, bo takowym strzelać nie dopuszczają i do puszek da winy gr. 20”.

Bywały jednak chwile, że nie sama tylko powaga panowała na celsztacie, ale owszem, rozlegał się tam gwar zabawy i wesołości. Bractwo strzeleckie posiadało bowiem od najdawniejszych czasów wyłączny przywilej utrzymywania kręgielni, a każdy dygnitarz koronny przybyły do Lwowa zaraz był na „celsztacie” honorowany obfitą biesiadą. Bywał tam nawet kanclerz Jan Zamoyski, hetman Żółkiewski, najchętniej tam przesiadywał Jan Sobieski, którego pamięć dzisiejsza Strzelnica uczciła pomnikiem dłuta Barącza, a w święto strzeleckie, na wybór i wjazd króla kurkowego, aż huczało tam od wiwatów i rozpasanej parady.

Sam też honor „króla kurkowego” nie był tak bardzo teoretyczny jak dzisiaj, bo podług przywilejów królewskich, już mniejsza z tym, że nosił on na głowie formalną koronę, którą rząd austriacki skasował, jako „niebezpieczną” współzawodniczkę korony austriackiej i węgierskiej, ale nadto osoba królewska miała być wolna „także od każdej i wszelkiej składki podatków naszych i Rzeczypospolitej i innych exakcji mostowych, wodnych i lądowych, tak w Koronie, jako i za granicą, na wszelkich miejscach, wyboczeniach, komorach i od wszelkich towarów tak tam jadąc, jako i nazad powracając, tak podczas, jako i okrom jarmarku”. Według przywileju Zygmunta Augusta, potwierdzanego następnie przez wszystkich następców, królem kurkowym miał być ten, kto w pół tarczę z jakiegokolwiek działa trafił, sam zaś ceremoniał wjazdu nowego króla i detronizacji starego opisany jest dokładnie w „porządku strzelby z r. 1693”.

Według tego ceremoniału najpierw miała się prawić wotywa w katedrze, „na której wszystkie cechy porządnie być powinni trzeźwo, pod karaniem na upitego”. Potem zbierało się wszystko pod cekhauzem miejskim (dziś na Podwalu), a starszyzna strzelecka udawała się na ratusz z prośbą „do Ichmościów Panów Radziec, aby *praesentia sua hunc actum* (obecnością swoją ten akt) przyozdobić raczyli”. Następnie ruszał spod cekhauzu pochód: „Naprzód jechać powinno dwóch trębaczy, oznajmując ciągnięcie, za nimi Pan Pułkownik pierwszy ze swoim pułkiem, bębniami i chorągwiemi, za nimi drugi Pan Pułkownik ze swoim pułkiem *ut super* (jak wyżej). Za nimi Armata porządnie wyprawiona, cieśle przy armacie z bindami, przed którą pan cejkwart najmłodszy iść powinien, a za nim pp. puszkarze z cygrołami, zostawiwszy do każdego działa po jednym puszkarczy, za Armatą dwóch cepaków (policyja miejska uzbrojona w żelazem okute cepy) z cyną mieć mają”. Za tą kawalkadą niesiono cztery nagrody dla najlepszych strzelców, od najniższych poczynając. Więc „dwóch rzeźników, mają prowadzić barana z farbowanymi rogami, potrząśnionego blaszką złotą, ci ludzie w wieńcach”. Była to czwarta nagroda. Barana tego dostarczali rzeźnicy, artystyczny zaś obowiązek pomalowania mu rogów i ozłocenia sierści należał „do któregoś z pp. aptekarzy lub malarzy”.



Potem, niesiono na kopii trzy i pół łokcia sukna, jako nagrodę trzecią. Sukno to miało być falendyszowe, koszt jego nie miał przenosić złotych 21. „Za suknem czterech rzeźników w białych koszulach i białych fartuchach z wieńcami, prowadzić mają woła z pozłocistymi rogami, uwieńczonego”, jako nagrodę drugą. „Za niemi trębacze z kotłami, za którymi ma jechać Król przeszły ubrany w klejnoty i koroną z rozstruchanem w ręku”, jako nagrodą pierwszą. „Za panem cejkwartem ma jeden jechać, niosąc przywilej Jego Królewskiej Mości, za którym mają jechać Ichmość Panowie Rajce z inną kawalkadą, za którymi dwa pułki ostatnie, na ostatku kilka karawanów albo kolasek. Do miasta tymże porządkiem wprowadzić mają, jako wychodzili, oprócz, że Król w większej pompie wjeżdżać powinien”.

Groteskowy ten ceremonial, restytuowany *mutatis mutandis* w najnowszych czasach, a przypominający nieco mitologiczny wjazd Bachusa, przykrojony został z końcem XVIII wieku przez rząd austriacki do biurokratyczno-wojskowego szablonu. Przede wszystkim samo bractwo strzeleckie, dzięki tylko tej okoliczności, że i w innych prowincjach, a zwłaszcza w Tyrolu takie związki istniały, zawdzięczać może swoje istnienie. Za nim jednakowoż przyszło do tego, wyrugowano strzelców z celsztatu i z góry strzelczej. Zniesiono więc lary i penaty strzelnicowe do ogrodu zwanego Czczewiczowskim, w którym w r. 1789 stanął zrab dziśszego gmachu strzelnicowego. Równocześ-

nie drzwiami i oknami poczęli się doń pchać Niemcy, tak że stare bractwo strzeleckie stało się niebawem kasynem i klubem biurokratów, którzy w chwilach wolnych zabawiali się także w wojsko i otrzymali nawet pewien rodzaj organizacji wojennej, a przede wszystkim... mundury. Szeregowiec mianowicie miał mundur zielony z wyłogami czerwonymi i guzikami złotymi, spodnie i kamizelkę czerwoną, buty z czarnymi chobotami, kamasze białe, czarny obojczyk, kapelusz z czarną kokardą, z złotym sznurkiem, bez galonu z pióropuszem, rapcie zielone ze złotem i także same epolety. Oficerowie różnili się złotym galonem na trójganiastym kapeluszu. Oficerów było czterech: kapitan, porucznik, podporucznik i chorąży, czterech podoficerów i jeden feldfelbel – wszyscy nosili harcopfy bez loków.

Chodzili więc sobie strzelcy lwowscy w rangach swoich i maskaradowych kostiumach po Lwowie jak dzisiaj np. „weterani im. arcyksięcia Rudolfa”, a ponieważ wojsko bez muzyki to jak kasza bez skwarków, więc przygrywała im amatorska „banda”, złożona z muzycznych urzędników gubernialnych i innych. Zwłaszcza wielką była parada, gdy strzelcy zaciągali odwach, mieszczący się wówczas w rynku naprzeciw arcybiskupiej kamienicy, co się zdarzało wtedy, gdy załoga wojskowa opuszczała miasto, np. w czasie wojen napoleońskich.

Ani jednak mundury, ani honor i cześć na odwachu nie przyczyniły się do wzrostu bractwa strzeleckiego. Niemiecka gospodarka

tak była fatalna, że zastawiono nawet godło strzeleckie – owego pozłacanego „kurka” z r. 1495; korona, pamiątkowe medale na cześć najtrafniejszych strzelców dawno już poszły do mennicy austriackiej, realność strzelecka ledwie dyszała pod długami, a do tego wszystkiego ciągle nieporządki w rachunkach i scysje między „kapitanem” a członkami doprowadzały towarzystwo do zupełnej ruiny. Wobec tego znaczna część obywatelstwa lwowskiego, razem z szanowanym apotekarzem Ziętkiewiczem, wystąpiła ze Strzelnicy. Ostatecznie Ziętkiewicz, uproszony, stanął później na czele bractwa i doprowadził finanse jego do jakiegoś takiego porządku. Za jego rządów przybudowano w latach 1825–29 piętrowy dom przy strzelnicy, który w dziejach karnawału lwowskiego odegrał pewną rolę jako sala balowa. Odbywające się tam corocznie tzw. „bale mieszczkańskie” były tłumnie odwiedzane i znacznie przynosiły dochody. Równocześnie zaś nastąpiła jeszcze jedna reorganizacja korpusu strzelców i zmiana jego umundurowania. Odtąd mianowicie wcielony został ten korpus do milicji miejskiej i stanowił podczas zewnętrznych występów jej prawe skrzydło, dawny zaś trójgłaniasty kapelusze zastąpiony został bardziej lojalnym i „duchowi czasu” odpowiadającym „pirogiem”. W myśl tedy tej najnowszej maskarady mundurowej chodzili strzelcy w „waffenrokach” z sukna jasnozielonego, o czarnych aksamitnych wyłogach, kartusz na przodzie, spodnie czarne ze złotym galonem, kapelusze stosowany z piórem czarnym, pałasz długi w pochwie czarnej, karabinek krótki z pasem zielonym do noszenia na ramieniu. Oficerowie mieli ponadto szarfę jedwabną żółtą, amarantowym jedwabiem przerabianą.

Najkomiczniejszą jednak maskaradą w całym tym korpusie strzeleckim była... artyleria. Za czasów polskich nauka strzelania z dział i hakownic była jednym z głównych zadań bractwa strzeleckiego i dopiero od czasu doszczętnego zniszczenia artylerii miejskiej przez Karola XII w r. 1704 ćwiczenia te wyszły z użycia. Rząd austriacki wznowił je w r. 1796 i od razu sparodiował. Powstał więc jako część składowa korpusu strzeleckiego „korpus artylerii miejskiej”, złożony przeważnie z szynkarzy i piwowarów i to takich tylko, którzy odznaczeni się poważną tuszą i należytą peryferią brzucha. Artyle-

rzyści ci nosili korsykańskie kapelusze i białe spodnie z czerwonym lampasem, a głównym ich zadaniem było dawanie ognia podczas rezurekcji i innej parady. Armat pożyczala załoga lwowska. Wszystko szło dobrze aż do roku 1832, w którym artylerii lwowskiej zdarzył się taki sam wypadek jak przed kilku laty artylerii rosyjskiej w Petersburgu w czasie święta Jordanu. Oto przez omyłkę nabito działo kulą, która ugodziła śmiertelnie mieszczanina Wnękiewicza.

Wypadek ten wywołał całą powódź protokołów wojskowych, których wynikiem był prawdziwie salomoński wyrok: ponieważ artyleria miejska okazała, że się nie umie obchodzić z armatami, a z drugiej strony żał było biurokratom skasować tak piękne mundury, przeto postanowiono, że korpus artylerii miejskiej istnieje dalej, ale bez armat i niebezpiecznej strzelaniny.

Tak więc powstała „artyleria pieszka”, która w czasie większej parady występowała gremialnie, dając dowcipnisiom lwowskim sporo tematu do żartów i do anonimowych propozycji, domagających się utworzenia przy korpusie strzelców także oddziału... „konnej marynarki”.

Ostatnim „kapitanem” strzelców przed rokiem 1848 był jeden z najbardziej zasłużonych obywateli ówczesnych śp. Franciszek Tomanek. Należał on do założycieli istniejącego do dziś zakładu głuchoniemych we Lwowie, brał wybitny udział we wszystkich pracach obywatelskich, o ile one wówczas były możliwe, a dla Strzelnicy był prawdziwą opatrnością, czyli raczej sprężyną, która ów zarzewiały organizm do ruchu pobudzała. Pragnąc korpusowi strzeleckiemu dodać osobiście lojalnego splendoru, o możliwym tylko wówczas czarno-żółtym odcieniu, rozwinął on między innymi żywą działalność celem uzyskania dla korpusu nowego sztandaru, tym bardziej że stary, darowany jeszcze przez Franciszka I, sterał się zupełnie. Nie była to jednak łatwa rzecz wydostanie takiego nowego sztandaru. Trzeba było robić „gesuch” aż do tronu z wyliczeniem wszystkich zasług petycjonującej instytucji. Ponieważ jednak zasługi „te na ogół były minimalne, przeto Tomanek w prośbie do tronu wymienił także wszystko, co sam osobiście zdziałał. To zdaje się przeważało na szali, gdyż już

Dokończenie na s. 74

Jerzy Wolański

Z dziejów Grzymałowa (I)

Historia naszego miasteczka jest, nie ma co ukrywać, mało znana. Niewielka miejscina, która malowniczo rozsiadła się na łagodnym zboczu równie niewielkiej rzeki Gnily, nie odgrywała nigdy jakiegś znaczącej roli w dziejach dawnego województwa ruskiego, czy choćby tylko w dziejach Ziemi Halickiej. I jako taka nie doczekała się niestety jakiegoś poważniejszego opracowania monograficznego. Szczerze mówiąc, materiałów do takiej monografii jest niewiele. Co więcej, większość źródeł – z oczywistych względów – jest obecnie trudno dostępna. Stąd też podjęta tu próba omówienia dziejów Grzymałowa nie może pretendować do wyczerpującej i kompletnej jego historii. Jest raczej zbiorem faktów bezspornych oraz wielce prawdopodobnych, dotyczących losów tego miasteczka.

Niewiadomy jest czas powstania Grzymałowa. Stwierdza to monumentalny *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, dodając jednocześnie uwagę, że początkami swymi sięga on podobno okresu panowania Władysława Jagiełły. Podobno, czyli nie na pewno. O Grzymałowie milczą zupełnie Akta Grodzkie i Miejskie z XV i XVI wieku. Najdawniejsza wzmianka o miasteczku pochodzi z 1500 r. Jako ciekawostkę odnotować należy fakt, że osada Bucyki, stanowiąca dziś przedmieście Grzymałowa, może poszczycić się znacznie starszą „metryką” niż samo miasteczko. Pod imieniem bowiem „Buczikov” wzmiankowana jest już w 1422 r.

Powstanie zamku w Grzymałowie większość dostępnych źródeł zgodnie na ogół wiąże ze znaczącą w Ziemi Halickiej rodziną Ludzickich herbu Grzymała i osadza na przełomie XVI i XVII wieku. Natomiast grzymałowska *kronika parafialna* nieco odmiennie przedstawia okoliczności budowy zamku. Spisywana w I połowie XIX wieku przez lokalnego proboszcza ks. Erazma Żyburta, kronika ta podaje, że budowę zamku

miał jakoby rozpocząć w 1590 r. nieznanymi bliżej szlachcic o nazwisku Grzymała. Prace przy budowie zostały ponoć przerwane na skutek najazdu tatarskiego. Być może więc Ludzicy jedynie dokończyli budowy zamku, rozpoczętą przez owego Grzymałę. Nazwa miasteczka pochodzi niemal na pewno od herbu, jakim pieczętowali się Ludzicy, a nie od owego pół-mitycznego Grzymały z kroniki parafialnej.

Współczesne losy tego ciekawego dokumentu po 1915 r. nie są znane. Dysponuję jedynie nielicznymi wypisami z *Kroniki*, dokonanymi przez grzymałowskiego organistę, pana Wrońskiego, na prośbę mojej matki w 1943 r. Należy przyjąć, że wspomniana *Kronika* wraz z innymi ważnymi dokumentami parafialnymi została wywieziona z Grzymałowa w 1945 r. przez ówczesnego proboszcza ks. kanonika Jana Kruczkiewicza. Mam tu oczywiście na myśli akcję znaną pod nazwą „repatriacji”, choć bliższym chyba prawdy byłoby określenie jej mianem „ekspatriacji”. Taki to dramatyczny wyraz dla mieszkańców Grzymałowa miał ów wspomniany rok 1945. Podjęte przeze mnie przed kilku laty próby ustalenia losów grzymałowskiej *Kroniki parafialnej* niestety zakończyły się fiaskiem. A może przypadkiem ktoś mógłby przyczynić się do wyjaśnienia tej zagadki?

Zamek, położony w północnej części miasteczka na wzgórzu nad stawem na rzece Gnilej, był murowanym budynkiem czteroskrzydłowym. Zbudowany był z kamienia i cegły na rzucie prostokąta zbliżonego do kwadratu, z sześciobocznymi basztami na narożach i mostem zwodzonym od strony wschodniej. W baszcie południowo-wschodniej mieściła się zbrojownia, a w południowo-zachodniej – kaplica. W tej kaplicy w roku 1520 pochowana została Barbara z Kopystyńskich Ludzicka, urodzona ok. 1540, wdowa po Mikołaju Ludzickim, wojskim halickim. Fundatorem nagrobka był syn zmarłej Olbracht Ludzicki, wojski trembowelski, który po bezpotomnej śmierci

ci brata Macieja został w 1627 r. kolejnym dziedzicem Grzymałowa.

Z owym Olbrachtem Ludzickim zacięłą wojnę sąsiedzką prowadziła słynna z gwałtownego charakteru i licznych „zajazdów” Anna z Łahodowskich Małyńska, dziedziczka niedalekiej Kałaharówki nad Zbruczem. Mając jakieś pretensje majątkowe do Olbrachta, skorzystała z jego nieobecności, osobiście „zajechała” dobra Ludzickiego i przemocą wtargnęła do zamku grzymałowskiego. Wywiązała się, mówiąc językiem młodzieżowym, ostra „zadyma”, w której śmierć poniósł jeden ze sług zamkowych. Nie poprzestając na tym, krewka niewiasta wyrządziła jeszcze, niejako przy okazji, poważne spustoszenia nie tylko w samym miasteczku, lecz również w innych pobliskich włościach Ludzickiego: Kucykach, Hlibowie i Ostapiu.

Ale na miasteczko spadać miały nieporównanie większe klęski i nieszczęścia niż te spowodowane wojowniczymi poczynaniami dziedziczki Kałaharówki. Nad Grzymałowem, tak jak i nad innymi miastami i siołami Rusi Czerwonej, wisiała bowiem stale, jak „miecz Damoklesa”, groźba ze strony nieprzyjaciół Rzeczypospolitej różnej maści: Turków, formalnie podporządkowanych im Tatarów czy wreszcie – Kozaków.

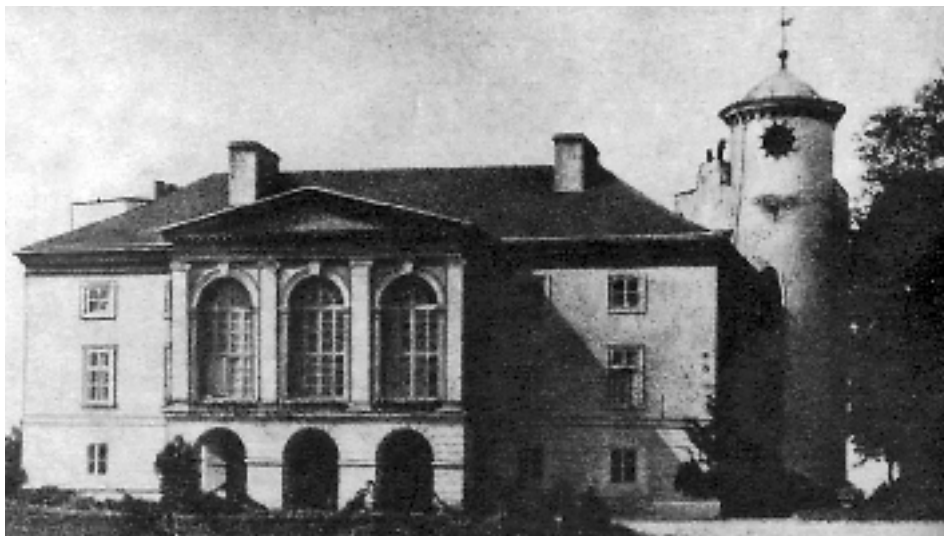
Wojny tureckie ciągnęły się z przerwami przez XVI, a zwłaszcza XVII wiek, doprowadzając w wyniku haniebnego „traktatu buczackiego” z 1572 r. do trwającej niemal przez 30 lat okupacji znacznych obszarów Rzeczypospolitej wraz z Kamieńcem Podolskim. Między innymi pod okupacją otomańską znalazły się tereny, odpowiadające południowo-wschodniej części województwa tarnopolskiego sprzed 1939 r., a konkretnie powiaty: borszczowski, zaleszczycki, czortkowski, a częściowo także buczacki i kopyczyński. A zatem Grzymałów uniknął jarzma tureckiego.

Nas najbardziej interesuje wyprawa z 1675 r., kiedy to ogromna armia turecka pod wodzą zięcia samego sułtana, Ibrahima Szyszmana paszy, wspierana przez liczne czambuły tatarskie, wkroczyła na ziemie czerwonoruskie. Kolejno pada szereg zamków, a mianowicie: Toki, Skałat, Grzymałów, Budzanów, Janów, Tarnopol, Mikułińce, Zbaraż, Podhajce, Zawatów. Ibrahim

Szyszman zamierzał zakończyć wyprawę „mocnym akcentem” w postaci zdobycia twierdzy w Trembowli. Na szczęście los pokrzyżował mu plany. Sprzymierzeni Tatarzy ponieśli dotkliwą klęskę w okolicach Lwowa. Co więcej, po 14 dniach niezwykle zaciętych ataków tureckich stosunkowo szczupła załoga zamku trembowelskiego, wprawdzie ostatkiem już sił, ale nadal mężny stawiała opór. Zniechęcony przedłużającym się oblężeniem, a na domiar zagrożony manewrem oskrzydającym wojsk koronnych i litewskich, dumny pasza pośpiesznie zwinął obóz i wraz z całą armią uszedł na tereny wcześniej już okupowane przez Portę Otomańską.

Zgoła inny charakter miały najazdy tatarskie. Odznaczały się one daleko większą częstotliwością, rozleglejszym zasięgiem i – choć powodowały niewyobrażalne wprost straty w ludziach i mieniu – nie prowadziły do okupacji kraju. Były wyprawami przede wszystkim łupieskimi, nastawionymi na zagrabienie jak największej ilości łupów, a także na pojmanie i uprowadzenie w łykach jak największej liczby ludzi. Że ów jasyr był dla tatarskiego łupieżcy intratnym procederem, widzimy na przykładzie osobistego dramatu znanego już nam Olbrachta Ludzickiego, dziedzica grzymałowskiego. Otóż dowiadujemy się, że z uwagi na zasługi Ludzickiego dla kraju – Sejm Rzeczypospolitej wyasygnował znaczną na owe czasy, a zwłaszcza na świecący pustkami skarb państwa, sumę 2500 złotych węgierskich (czyli dukatów) na wykup jego żony i dzieci z rąk Ordyńców.

Na przełomie XVI i XVII wieku historycy doliczyli się niemal 170 łupieskich najazdów o zróżnicowanym potencjale i zasięgu. Nieustannie powtarzanymi wyprawami Tatarzy zdołali „wydeptać” sobie 3 tradycyjne szlaki, którymi zwykli wdzierać się w głąb Rzeczypospolitej. Jeden z nich, zwany *szlakiem kuczmańskim*, wiódł na Lwów m.in. przez Grzymałów, Trembowlę, Zborów i Złoczów. Nikt już nie zliczy, ile tym szlakiem przetoczyło się hord spod znaku Półksiężycy ani ile grabieży, pożóg, gwałtów, mordów czy też uprowadzeń ludności w jasyr widownią były miejscowości położone na szlaku. Na każdym niemal kroku historia miałaby co opowiadać. Nie potrzeba daleko szukać. Pamiętam, że w najbliższym sąsiedztwie Grzymałowa, we wsi Hlibów, widziałem przed 1939 r. niewielki kamienny krzyż. Czytelny



jeszcze napis na nim głosił: *Dnia 20 April 1507. Tu leży Jakub Kozielski z dziewicą swą Dorotą*. Lokalna ustna tradycja głosiła, że Jakub i Dorota byli nowożeńcami, zabitymi przez ordyńców, gdy wracali ze ślubu. Czy ów pamiątkowy krzyż z Hlibowa jeszcze istnieje, nie wiem.

W XVII wieku częstotliwość najazdów tatarskich, pustoszących ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, dramatycznie wzrasta. Dochodzi do tego, że zdarza się ich kilka w ciągu jednego roku. Zrozumiałą reakcją na ten stan rzeczy był wzmożony wysiłek fortyfikacyjny na zagrożonych terenach. W okresie tym powstaje bardzo wiele nowych zamków i zameczków obronnych, w ich liczbie Grzymałów, Skałat, Touste czy Husiatyn. Ponadto Polacy umacniają i fortyfikują różne obiekty: miasta, a nawet wsie, magnackie siedziby i skromne szlacheckie dwory, wreszcie kościoły, cerkwie, klasztory, a także bóżnice. Fortyfikacje te, mimo że często dość prymitywne, spełniały na ogół swe zadanie i zniechęcały ordyńców do podejmowania prób zdobywania chronionych przez nie obiektów.

Obwarowany był również Grzymałów. Istniał jakiś trudny dziś do odtworzenia system wałów ziemnych, rowów, palisad, wreszcie murów, który miał chronić miasteczko przed nieprzyjacielem. O istnieniu murów świadczy choćby nazwa *Zamurze*, którą nosi jedna z „dzielnic” miasteczka. Mogły to być mury z łamanego kamienia z sąsiednich Miodobo-

rów, podobne do tego, który do ostatniej wojny otaczał kościół dookoła.

Niestety, pomimo tych umocnień nie uszedł Grzymałów smutnemu losowi w latach straszliwej kozackiej zawieruchy, czy jak kto woli – „powstania Chmielnickiego”. Wojny kozackie sprowadziły na Rzeczpospolitą katastrofę o niewyobrażalnych rozmiarach. W okresie tym Grzymałów, zarówno miasteczko, jak i sam zamek co najmniej dwukrotnie został złupiony i spalony, ulegając srogemu spustoszeniu. Miało to miejsce kolejno w latach 1643 i 1651. Szczegóły tych kozacko-tatarskich oblężeń nie są niestety bliżej znane.

Czas pożegnać już wiek XVII, który przyniósł naszemu miasteczku tyle nieszczęść i katastrof. Gdzieś u schyłku tego wieku lub na początku następnego Grzymałów wraz z przyległościami, na mocy jakichś układów z domem Ludzickich, przeszedł na własność Adama Mikołaja Sieniawskiego herbu Leliwa. Dokładna data transakcji nie jest znana, wiadomo jedynie, że nowy dziedzic władał już Grzymałowem w 1715 r. Sieniawski należał do czołówki polskiej magnaterii. Był hetmanem wielkim koronnym, a jako kasztelan krakowski był też pierwszym senatorem Rzeczypospolitej. Przymierzał się nawet swego czasu do wakującego tronu elekcyjnego polskiego. Ponadto był panem niezwykle rozległych dóbr, a Grzymałów wiele mu zawdzięczał. Przede wszystkim,

nie szczczędając kosztów, hetman gruntownie odrestaurował miejscowy zamek, którego stan po licznych zniszczeniach i doraźnych remontach pozostawiał zapewne wiele do życzenia.

Co więcej, w trosce o podźwignięcie miasteczka, zrujnowanego i wyludnionego wskutek powtarzających się napadów nieprzyjacielskich i częstych pożarów, nadał mu Sieniawski dnia 27 czerwca 1720 r. przywilej na prawo magdeburskie. Przywilej ten dla Grzymałowa jest przykładem tego ograniczonego samorządu, jaki otrzymywały miasta prywatne. Nasze miasteczko wyposażone zostało w burmistrza i radę, jako zarząd miasta, oraz w wójta i ławę, jako sąd miejski. Na mieszczan nałożony został m.in. obowiązek obrony miasteczka. Odnośny artykuł przywileju ma tak charakterystyczne brzmienie, że warto zacytować go dosłownie:

... A iż to miasto w takim kraju i miejscu jest osadzone, gdzie nieprzyjaciel Krzyża świętego czyni insultry, tedy powinni wszyscy mieszczanie, tak chrześcijanie jako i żydzi, na każdy czas niebezpieczny dla potrzeby mieć rusznicę, każdy dwa funty prochu, kul dwie kopy... Nade wszystko starać się mają, aby wały, palisady, mury, parkany, strzelnice około miasta jak najporządniej uprawowali, także armata do obrony zwyczajna, hakownicami, śmigownicami, prochami, ołowiami opatrzyli i taki porządek na obronę powszechną raz na zawsze trzymali i zachowali...

Dla ożywienia miasteczka przywilej ustanawia 8 jarmarków rocznie: 5 w święta greckokatolickiego, a 3 w święta rzymskokatolickiego obrządku. Te ostatnie przypadały na św. Stanisława, św. Jana Chrzciciela i św. Marcina. Ponadto przywilej utrzymuje dotychczasowe niedzielne targi.

Pieczęć miejska z herbem miasteczka przedstawia ukoronowanego gryfa, to jest fantastycznego lwa o orlej głowie i orlich skrzydłach, trzymającego w przednich łapach półksiężyc z gwiazdą, czyli Leliwę – herb Sieniawskich. Dodać tu wypada, że oryginalny tłok pieczętny przechowywany był pieczęłowicie w grzymałowskim zamku do września 1939 r. Dalsze losy cennej pamiątki nie są znane.

Kolejna zasługa hetmana dla Grzymałowa wiąże się z przeniesieniem do miastecz-

ka w 1716 r. parafii obrządku łacińskiego z sąsiedniej wsi Hlibów. W tym miejscu cofnijmy się o lat ponad sto. A konkretnie do dnia 23 sierpnia 1609, kiedy to ówczesny dziedzic Hlibowa Olbracht Ludzicki erygował w swej wiosce parafię łacińską, wznosząc i wyposażając drewniany kościółek pod wezwaniem Trójcy Świętej. W tymże roku, za zezwoleniem arcybiskupa lwowskiego Jana Zamoyskiego, zaczęto odprawiać nabożeństwa.

Czasy były jednak niespokojne. Najazdy tatarskie w latach 1513–1521 w samym tylko dekanacie trembowelskim zamieniły w zgliszcza 12 kościołów i ów kościółek w Hlibowie. Z ustaniem burzy wojennej hetman Sieniawski, będąc już dziedzicem zarówno Grzymałowa, jak i Hlibowa, powziął zamiar wybudowania w miasteczku kościoła. Dokonawszy więc odpowiedniej donacji na rzecz nieistniejącego jeszcze kościoła, wyrobił u arcybiskupa lwowskiego Jana Skarbka indult na budowę świątyni w Grzymałowie. Jednocześnie uzyskał Sieniawski zezwolenie arcybiskupa na odprawianie parafialnych nabożeństw w kaplicy zamkowej, a to do czasu realizacji tej budowy. Do kaplicy został przydzielony proboszcz w osobie ks. Józefa Antoniego Zakrzewskiego.

Ale jak to często w życiu bywa, rozwiązania pomyślane jako prowizorium okazują się nadspodziewanie długotrwałe. Tak też było i z grzymałowską kaplicą zamkową, której przyszło pełnić funkcje kościoła parafialnego przez bez mała 40 lat, a to w związku ze śmiercią hetmana Sieniawskiego w 1725 r. Na nim wygasł ród wielce zasłużony dla Rzeczypospolitej. Jedyna jego córka i spadkobierczyni, Maria Zofia, poślubiając w 1731 r. Augusta Czartoryskiego, wojewodę ruskiego, wniosła kolosalne dziedzictwo Sieniawskich w dom książąt Czartoryskich, panów stosunkowo skromnej dotąd fortuny. Skrupulatni historycy obliczyli, że owe dziedzictwo składało się, ni mniej, ni więcej, z około 30 miast i 700 wsi! Niebagatelnym elementem tej fortuny był klucz grzymałowski, obejmujący 2 miasteczka (w tym Touste) oraz około 30 wsi o najlepszej glebie, słynnym podolskim czarnoziemem.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że pomimo owych bogactw właścicielom naszego miasteczka niespieszno jakoś było do realizacji obietnicy budowy kościoła. Dopiero wnuczka

hetmana Sieniawskiego, Izabella z Czartoryskich Stanisławowa Lubomińska, słynna księżna marszałkowa, jak ją współcześnie powszechnie nazywali z racji godności jej męża, będąc po matce kolejną dziedziczką Grzymałowa, ufundowała w 1752 r. od dawna przyrzeczony kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej.

Tragicznie w dziejach Grzymałowa zapisał się dzień 9 maja 1703 r., kiedy to w miasteczku wszczął się fatalny w skutkach pożar. Strawił on wiele domów, zgorzały też 2 cerkwie: św. Praksedy Męczenniczki i św. Pokrowy. Żywiół nie oszczędził i zamku, którego górna kondygnacja uległa ruinie. W czasie restauracji obiektu, dokonanej w tym samym roku, zlikwidowano kaplicę w południowo-zachodniej baszcie. Basztę tę w dolnej kondygnacji przeznaczono teraz na stajnię, w górnej zaś – na kuchnię. Ołtarz ze zlikwidowanej kaplicy przeniesiony został do ufundowanego przez księżną marszałkową w 1795 r. kościoła w Kaczanówce, wsi należącej do klucza grzymałowski. Wkrótce po katastrofie, jaka dotknęła miasteczko, bo już w 1805 r., stanęła jej sumptem nowa cerkiew pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Cerkiew ta zachowała się do dziś.

Rok 1772 zapoczątkował nowy, trudny okres w życiu kraju. Pierwszy rozbiór odcina na rzecz Austrii ogromne obszary na

południu Polski. Zabór austriacki otrzymuje nazwę *Królestwa Galicji i Lodomerii*, powstałą z przekreślonej nazwy dawnego księstwa halicko-włodzimierskiego. Pojawia się nowy podział administracyjny Galicji, oparty o jednostkę terytorialną, zwaną cyrkułem. Teren odpowiadający województwu tarnopolskiemu sprzed 1939 r. podzielono na 4 cyrkule: tarnopolski, zaleszczycki, brzeżański i złoczowski. Grzymałów otrzymuje przydział administracyjny do cyrkułu tarnopolskiego.

Traktat pokojowy między Napoleonem a Austrią z 1809 r. przyznał cyrkule tarnopolski i zaleszczycki Rosji. Tereny te, jako tzw. *Kraj Tarnopolski*, utworzyły odrębną rosyjską jednostkę administracyjną. Ale okupacja rosyjska tego obszaru nie trwała długo. Już w 1815 r. Kongres Wiedeński przywrócił go Austrii.

Z okresem rosyjskich rządów w Kraju Tarnopolskim wiąże się pewien dramatyczny wypadek, który zdarzył się w Grzymałowie. Otóż w 1815 r., gdy w tutejszym zamku kwaterował rosyjski generał, zawałiło się sklepienie w byłej kaplicy i *ubito ludzi służących u generała*. O incydencie tym wspomina grzymałowska *Kronika parafialna*.

Gdy w 1815 r. zmarła księżna marszałkowa, działu rozległych jej dóbr między sukcesorów dokonano w roku następnym w Raju pod Brzeżanami. Klucz grzymałowski, prócz innych dóbr, przypadł w udziale słynnej z rozrzutności i olbrzymich długów Konstan-

Salon w pałacu grzymałowskim.
Zdjęcie sprzed 1914 r.



cji z Lubomirskich hetmanowej Rzewuskiej. Wkrótce lekkomyślna pani Konstancja doprowadza swą ogromną fortunę do katastrofy finansowej. Jeszcze w przededniu tej katastrofy snuła hetmanowa plany przebudowy zamku grzymałowskiego w duchu modnego wówczas neogotyku, według planu znanego architekta Jakuba Hempla. Projekt ten nie został zrealizowany, bo już w 1820 r. dobra hetmanowej zostały objęte sekwestrem, a klucz grzymałowski w 1823 r. wystawiony na publiczną licytację. Przy okazji doszło do wielu nadużyć, np. adwokat likwidujący masę upadłościową wzięty tytułem honorarium miasteczko Touste i 3 wsie. Ośrodek klucza, czyli sam Grzymałów z przyległościami, nabył w 1823 r., podobno znacznie poniżej wartości, bankier wiedeński Leopold Elkan de Skansberg. Pozostawił po sobie pamiątkę w postaci folwarku, który założył na stepie między Grzymałowem a Kluwińcami i od imienia swej córki Eleonory nazwał Eleonorówką.

Ale wiedeński bankier nie czuł się chyba dobrze w roli galicyjskiego ziemianina. W marcu 1831 r., Grzymałów wraz z Zamurzem, Mazurówką, Podlesiem, Bucykami i Popławami odkupił od niego Artym Nikorowicz, dziedzic Krzywczyc pod Lwowem, powstaniec 1830 r. Nowy właściciel musiał pomyśleć o siedzibie dla siebie i swej rodziny. Restauracja 4 skrzydeł grzymałowskiego zamku, mocno sfatygowanego i pozbawionego dachu, wydawała się zbyt kosztowna. Stąd też, niestety, zniesiono skrzydła i 2 baszty, pozostawiając skrzydło północne z 2 basztami. Jednocześnie ok. 1840 r. dobudowano od strony wschodniej neogotycką „wieżę zegarową”, mieszczącą kręcone schody służbowe oraz dużą portykową galerię. W miejsce zniwelowanych wałów i fos Nikorowicz założył park krajobrazowy. Tak więc surowa warownia przekształciła się w wygodny pałac, który mimo to tradycyjnie nadal nazywano zamkiem.

Antym Nikorowicz zmarł młodo w 1852 r. W roku następnym jego córka Julia poślubiając Leonarda Pinińskiego, właściciela Rokietnicy w Przemyskiem, wniosła w posagu część Grzymałowa, zwaną Eleonorówką. Pragnąc scalić w swym ręku cały obszar majątku, odstąpił Piniński w 1855 r. swą Rokietnicę szwagrowi Karolowi Niko-

rowiczowi w zamian za należącą do niego resztę Grzymałowa wraz z zamkiem. Osiedlony w scalonym już Grzymałowie na stałe, zasłynął Leonard Piniński jako znakomity gospodarz. Chcąc uprzemysłowić majątek, zbudował duży jak na owe czasy młyn parowy. Po przemyskim, był to pierwszy młyn tego typu w ówczesnej Galicji Wschodniej. Młyn posiadał składy mąki w Grzymałowie, Tarnopolu i we Lwowie. Wkrótce Leonard Piniński stał się też właścicielem wsi Iwanówka z folwarkami Zapustem i Ostrą Mogiłą.

Z czterech synów Pinińskich nas interesują dwaj starsi, a to Stanisław, poseł do Rady Państwa w Wiedniu, a następnie marszałek powiatu skałackiego, oraz Leon, wszechstronny humanista, profesor prawa rzymskiego, namiestnik Galicji w latach 1893–1903, znawca i kolekcjoner sztuki, ofiarodawca cennego zbioru dzieł starych mistrzów dla ozdoby wnętrza zamku królewskiego na Wawelu. Po śmierci ojca bracia Stanisław i Leon zostali współwłaścicielami Grzymałowa i Iwanówki. W 1911 r. zmarł Stanisław, pozostawiając jako swą spadkobierczynię jedyną córkę Julię (moją matkę).

W 1919 r. moja matka poślubiła Władysława Wolańskiego, ziemianina spod Buczacza, wówczas jeszcze w czynnej służbie wojskowej. Gdy w 1921 r. ojciec mój wrócił z wojska, osiadł wraz z żoną w Grzymałowie, którym zaczął administrować. Wojna (1914–18), walki z Ukraińcami (1918–19) wreszcie najazd bolszewicki (1920) spowodowały tu ogromne spustoszenia. Wszystkie budynki gospodarcze uległy zniszczeniu niemal do fundamentów. Młyn parowy wysadziły w powietrze cofające się wojska rosyjskie w 1915 r. Z pożogi wojennej ocalał szczęśliwym trafem jedynie zamek. Straszliwie zdewastowany i z dachem jak rzeszoto, wymagał pilnie gruntownej restauracji. Ukończono ją dopiero w 1927 r. Do tego czasu moi rodzice mieszkali w świeżo odbudowanej „rządcówce” na folwarku.

Odnowa zniszczonego warsztatu rolnego wymagała wielkich nakładów kapitału, którego brakowało. Dla uzyskania potrzebnych środków niezbędna okazała się parcelacja. Objęto nią dwa majątki mego ojca w Buczackiem. W tym stanie rzeczy decyzja o podziale współwłasności Grzymałowa i Iwanówki stała się niezbędna. Do podziału między moją matką a jej stryjcem Leonem

doszło w 1920 r. w drodze losowania. Grzymałów przypadł mojej matce, obszarowo większa Iwanówka – Leonowi Pinińskiemu. Kiedy środków na dalszą odbudowę brakowało, parcelacja dotknęła Eleonorówkę, a także należący do mojej matki majątek Zarubińce koło Skąlatu.

W ciągu kilkunastu lat wytrwałej pracy moi rodzice zbudowali w Grzymałowie nowe budynki gospodarcze, murowane i kryte materiałami ogniotrwałymi. Postawili też duży młyn handlowy o zdolności przemiałowej 2 wagonów ziarna na dobę.

Mój ojciec zwykł był mówić, że posiadanie majątku ziemskiego to nie tyle źródło przywilejów, ile przede wszystkim odpowiedzialności. Mimo licznych obowiązków nie szczędził zatem czasu na pracę społeczną. W okresie międzywojennym był wieloletnim prezesem wojewódzkiego oddziału Towarzystwa Szkoły Ludowej w Tarnopolu. Angażował się również w różne akcje charytatywne w ramach Wojewódzkiego Zarządu Obywatelskiego Komitetu Pomocy Zimowej Bezrobotnym w Tarnopolu, którego był członkiem. Uczestniczył też jako radny w posiedzeniach Grzymałowskiej Rady Miejskiej.

Również moja matka poświęcała wiele czasu pracy społecznej. Corocznie przekazywała miejscowej Ochronce ss. Służebniczek po kilkanaście sztuk ciepłej odzieży dziecięcej z przeznaczeniem dla najuboższych rodzin. Odzież tę, wielkim nakładem pracy, sama szyła w miesiącach zimowych.

Z chwilą wybuchu wojny w 1939 r. Władysławowie Wolańscy postanowili urządzić w domu szpital dla rannych żołnierzy. Większość pokoiów pierwszego piętra zamku została odpowiednio przygotowana i w miarę możliwości wyposażona. Zanim jednak zdążył przybyć pierwszy transport rannych, nadszedł feralny dzień 17 września 1939 r. Aresztowany przez NKWD dnia 23 września mój ojciec, więziony był początkowo w Skąłacie, potem w Tarnopolu, wreszcie w Kijowie, gdzie został stracony prawdopodobnie w kwietniu 1940 r. Szczegóły tej zbrodni nie są znane.

Kilka godzin po aresztowaniu ojca moja matka otrzymała nakaz natychmiastowego opuszczenia domu wraz z czworgiem dzieci. Schronienia udzieliły jej ss. Służebniczki w Ochronce, gdzie spędziliśmy około 5 ty-

godni. Dziś, z perspektywy niemal 70 lat, wspominam ten okres jako tragiczne, pełne grozy i niepokoju chwile, rozświetlone jedynie bezinteresowną i serdeczną pomocą miejscowych ludzi. Nie zważając na groźbę represji, przychodzili oni do Ochronki nie tylko przynosząc żywność, której sami przecież nie mieli w nadmiarze, ale przede wszystkim wspierając nas moralnie dobrym słowem i życzliwością. Niestety po latach nazwiska tych przyjaciół i dobroczyńców zatarty mi się w większości w pamięci. Miałem wówczas 12 lat. Moja matka, gdyby żyła, mogłaby dużo więcej powiedzieć o tych wspaniałych ludziach. Zawdzięczymy im może nawet i życie, bo dzięki ich ostrzeżeniu przed dalszymi represjami wyjechaliśmy wszyscy do Lwowa w połowie listopada 1939 r. w warunkach pełnej konspiracji. I tu znów wdzięczność należy się anonimowym dzisiaj przyjaciołom z Grzymałowa, którzy pomogli w organizacji tego skomplikowanego wówczas przedsięwzięcia. Nawet do Lwowa, mimo pogarszającej się wciąż sytuacji, docierała pomoc żywnościowa z Grzymałowa.

Wobec masowych deportacji na Syberię w maju 1940 wyjechaliśmy z Lwowa do krewnych na teren tzw. Generalnej Guberni. Po wojnie moja matka mieszkała początkowo w Krakowie, potem w Zabrzu, wreszcie w Warszawie, gdzie zmarła w 1975 r. Znając wielkie przywiązanie ostatniej właścicielki Grzymałowa do rodzinnego gniazda, dzieci zadbały o to, aby do jej trumny przed zamknięciem wsunąć niewielki pojemnik z ziemią z rodzinnej miejscowości.

Archiwum

OGŁOSZENIE SPRZED STU LATY

Kasyer i zastępca przełożonego obszaru dworskiego znajdzie umieszczenie w większym skarbie. Pensya 1600 K., opał, światło, mieszkanie, ogród. Wymagana kaucya 2000 K. Tylko dobrze poleceni mogą być uwzględnieni. Zgłoszenia przyjmuje biuro anonsów Wincentego Sokołowskiego, Lwów, Pasaż Hausmana pod „Pracą”. Podania nie uwzględnione pozostaną bez odpowiedzi.

„CZAS”, Kraków, 6 czerwca 1907
(wg „Dziennik Polski”, Kraków, 6 VI '07)

Teresa Rodziewicz-Szepietowska

WSPOMNIENIA Z TRZECH OKUPACJI

(fragmenty)

Wspomnienia autorki stanowią opisy wydarzeń na Wołyniu (głównie w Lubomlu) w latach 1939–1945, zapamiętane przez dorastającą dziewczynkę w wieku 8 do 14 lat, córkę aptekarza z Lubomla. Z obszego materiału wybraliśmy kilka fragmentów, charakteryzujących przeżywane przez nią kolejne okupacje w czasie II wojny światowej.

„PIERWSI” SOWIECI, LUBOML

[...] W końcu września – daty nie pamiętam – rano pochmurno, deszczowo, cały rynek przed naszym domem zatoczony szarym mrowiem bez dystynkcji, w niezabrzębionych szynelach, koniki, wózki, mrowie – sowieci.

Mama siada w fotelu i płacze – nie ma już Polski. Zaraz wszystkie sklepy prywatne zamknięte, a tylko takie były, apteka upaństwowiona. Radio i telefon zarekwirowane i już do końca wojny nie mamy ich. Jeden pokój, czerwony – salonik – zabrany na Raj-Zdrow (Rejonową Przychodnię Zdrowia). Pokój ten miał osobne wejście. Przez krótki czas były używane jeszcze polskie pieniądze. Kiedyś przyszedł do apteki sowiet i płacąc za lekarstwa polskim bilonem, wskazał na profil Piłsudskiego umieszczony na monecie i powiedział do Tatusia: „Wot smatritie, kakajia abieziana zdies siedit” (patrzcie jaka małpa tu siedzi). Tatus był zagorzałym piłsudczykiem, więc była to dla niego obraza świętości. Na widocznej ścianie w aptece wisiał duży obraz Chrystusa. Po tym incydencie, obawiając się profanacji Tatus obraz zdjął. [...]

Sowieci urządzili na podwórku gminy palenie książek polskich z bibliotek i szkół. Potem przez całą wojnę było bardzo trudno dostać coś do czytania. U nas były „Dzieła wszystkie” Piłsudskiego, porządnie oprawne w granatowe płótno. Rodzice w obawie przed represjami spalili to w piecach tom po tomie. Patrzyłam na to i przejmował mnie żal.

Sowieci już w październiku urządzili wyборы. Rodzice nie chcieli w nich brać udziału, ale pod wieczór ktoś po nich przyszedł

i musieli iść. Dostali paszporty z zaznaczeniem, że nie wolno im mieszkać bliżej niż 100 km od granicy, a to oznaczało, że są przeznaczeni do wywozu. Rodzice nie zapisali mnie do szkoły, bo „na wiosnę będzie po wojnie”, a mam rok zapasu. Jakoś się udało, choć był obowiązek szkolny. [...]

Nie wiem którego to było, może w październiku. Rano obudził nas dochodzący zza okien szmer tłumy, kroki, może rozmowy. Z naszego okna na piętrze był widok na fosę wokół Górki Jagiellońskiej. Fosa była bez wody. Pod górką są z drugiej strony lochy: 3 duże komnaty. Otóż z tych lochów prowadzono pod uzbrojoną strażą złożoną z sowieckich żołnierzy tłum mężczyzn w strzępach polskich mundurów, pookrywanych jakimś kołdrami, kocami, w bandażach, z kosturami, bez butów.

Patrzyliśmy przez szpary w zasłonach ze ściśniętymi sercami. Było ich tyłu, że wypełniali fosę i szli ku kolei, aż ginęli za zakrętem. Widzę to ciągle, choć miałam wtedy 8 lat. Teraz myślę, że mogło ich być około 2000. Szli bardzo powoli w ciszy i nawet nie popędzani. Był tylko szum tłumy i ponury jesienny ranek. Z powodu zakazu wychodzenia z domów nikt nie mógł im podać jedzenia ani wody. Może wśród nich był wujek Edek, Józek lub wujek Stefan, który wszyscy dostali się do sowieckiej niewoli i później zginęli w Katyniu. Straszny to był widok. [...]

PIERWSZE WYWOZY

10 lutego 1940 r. sowieci zrobili pierwsze wielkie wywozy w tym strasznym mrozie. Wywieziono wielu ludzi, niezależnie od wieku, od niemowląt do starców. Przygotowaliśmy się i my. Mama poszyła plecaki z płótna. Każdy miał naszykowane ubranie, w którym miał jechać. Dla mnie na drogę było przeznaczone futerko mamy, bo było cieplejsze niż mój płaszczyk, a poza tym rosłam przecież i trzeba było dla mnie czegoś większego na zapas. Pamiętam wieczór, kiedy mierzyliśmy te ubrania i plecaki. Były przygotowane ja-



kieś suchary, kluski i nie wiem co jeszcze, pewnie cukier i jakiś tłuszcz. Szykowaliśmy się tak, bo na zapakowanie dawali 2 godziny i zależało od ludzi, którzy wykonywali te zadania – albo pozwalali te 2 godziny wykorzystać, radzili co brać i nawet pomagali pakować, albo inaczej: skracali czas, nie pozwalali wiele zabrać, popędzali – różnie było. Nasze przygotowania odbywały się już po pierwszych wywozach i na razie nie było następnych, więc nasze szykowanie było niepotrzebne.

Wywożono rodziny funkcjonariuszy państwowych: policjantów, pracowników administracji, burmistrzów, starostów, osadników wojskowych. Mężczyźni z tych rodzin zostali już wcześniej aresztowani, jeśli nie dostali się do niewoli w czasie wojny, co oznaczało Katyń. Rodziny wywożono bez względu na wiek i płeć. Był luty 1940 r., mróz 40°, bo pierwsze dwie zimy wojenne były wyjątkowo ostre, wagony były oczywiście towarowe. Wtedy przyszedł po panią Ludwikę Nowodworską i jej synów: Jurka 9 l., Witolda 6 l. i Januszka 2 l. Stary pan Wiktor Nowodworski był w Lubomlu notariuszem i miał własny piętrowy dom niedaleko nas. Oboje starsi państwo nie chcieli puścić synowej samej z dziećmi (ojciec chłopców został zabity przez Ukraińców w 1939 r.). Na własne życzenie pojechali z p. Ludwiką, a z nimi ich dwie dorosłe niezamężne córki. Pani Ludwika i chłopcy oraz jedna z tych panien przeżyli pobyt w Rosji i wrócili po wojnie do Polski. Starsi państwo i jedna

z córek umarli tam. W tym czasie wywieziono z Winklerowszczyzny koło Nieświerza ciotkę Marysię, żonę wujka Stefana z 10-letnim Jurkiem i 7-letnią Alusią. Byli koło Archan-gielska, gdzie ciocia pracowała przy wyrębie lasu, Jurek w stajni, a Alusia niestety była za mała, żeby się na coś przydać. Pisali do nas listy oni i inni wywiezieni ludzie. Nie mieli co jeść, w co się ubrać i nie mieli lekarstw. Niektórzy prosili o masę na świerzb, inni o cukier, Toluś Nowodworski liżał stół po ostatnim kryształku cukru. [...]

Prócz wywozów i innych represji sowieci postanowili, że żaden właściciel apteki nie może zostać we własnej aptece. Toteż do nas przyszedł p. Grojnowski, Żyd z Kowla, z rodziną, a nas tj. tatusia, mamę Wandę i mnie wysiedlono do odległej o 20 km wsi Olesk, skąd wyrzucono gdzieś tamtejszego właściciela apteki p. Grzybowskiego z żoną. [...]

Zmorą pobytu w Olesku jest szkoła, do której już muszę chodzić. Szkoła jest wiejska i ukraińska, a ja jedna jestem z miasta i Polka. Co dzień wracam z płaczem. Dokuczają mi bardzo, nie znam liter i języka ukraińskiego – koszmar. Ułożyli taką zagadkę: „Szczo ce take? Kosy maje, zwetsia Tereszko, w sztanach chodyt’, a dziewczyna” – „Co to takiego? W spodniach chodzi, nazywa się Tereszko (ukraińskie imię męskie), ma warkocze, a dziewczyna”. To byłem ja, a chodziłam w dresach, co wtedy było wyjątkowe dla dziewczynki, bo były wielkie mrozy. Na szczęście dużo chorowałam, a dobry pan dr Telszewski dawał mi jeszcze więcej zwolnień, tak że więcej siedziałam w domu, niż chodziłam do szkoły. Hala zaczęła mnie uczyć francuskiego, czytałam dużo książek, ale zaniedbano uczyć mnie po porządku polskiego, historii itd. W tych warunkach nikt pewnie nie mógł o tym myśleć. Szkoła nie dawała mi nic. I tak rosłam bez nauki. [...]

CZERWIEC 1941, ZACZYNA SIĘ OKUPACJA NIEMIECKA. JESZCZE OLESK

[...] Zaraz po uspokojeniu się działań wojennych tatuś pojechał zobaczyć, co z domem i apteką w Lubomlu. Choć duża część Lubomla została zrujnowana lub spłonęła, nasz dom z apteką ocalał. Do Oleska też zgłosił się p. Grzybowski, właściciel apteki. Widocznie Niemcom nie zależało na takich zamianach, bo pozwolili wracać do swoich

aptek, jakkolwiek pozostały one upaństwowione, a właściciele na pensji. Tatuś wyjechał z Oleska zaraz w lipcu, a my pod koniec sierpnia, gdy zebraliśmy warzywa z ogródka. Pamiętam, że ukraiński chłop z Oleska, który nas odwoził, strasznie się chwalił, że teraz Niemcy zrobią wolną Ukrainę, której flaga jest niebiesko-żółta, więc jak nie będzie z czego jej uszyć, to on zabierze żółtą spódnicę mojej Mamy, którą miała na sobie. Strasznie mnie to ubodło i bałam się go. Był to najbliższy sąsiad pp. Telszewskich, Marczuk, który potem podobno brał udział w wymordowaniu rodziny doktora. Gdy wjechaliśmy do Lubomla, widziałam po raz pierwszy straszną dla mnie rzecz: po brukowanej kocimi łbami ulicy Żyd z białą opaską z gwiazdą Syjonu na rękawie pchał ręczny wózek. Zapytana przeze mnie mama objaśniła mi krótko, pewnie ze względu na obecność Marczuka, że Niemcy tak teraz kazali Żydom chodzić. Nie wolno im chodzić po chodniku. [...]

ROK 1943, LUBOML

[...] Przychodzi sierpień 1943 r i jednej nocy Ukraińcy urządzają rzeź polskich wsi: Kątów, Ostrówek, Czmykosa, a potem mordowanie pojedynczych rodzin polskich zamieszkałych na wsiach ukraińskich. Niedożnięci uciekają do Lubomla i lokują się, gdzie kto może. Pełno jest ludzi u księdza na plebanii, gdzie jest oprócz domu duża szopa. U nas w kuchni, w pokojach i nawet w piwnicy (tj. suterenie). Jest okres, kiedy przebywa u nas 44 osoby. I właśnie wtedy Niemcy robią rano łapankę. Wchodzą od podwórza, wpuszczeni przez mamę, ale widząc aptekę, zawracają. Apteka jest potrzebna Niemcom, jedyna w miasteczku i w okolicy. A właśnie za otwartymi jednoskrzydłowymi drzwiami do apteki ukryło się czworo wiejskiej młodzieży, w sam raz do zabrania na roboty do Niemiec.

I od tych rzezi zaczyna się u nas koszmar, trwający już właściwie aż do naszego wyjazdu z Lubomla. Rzezie, co wynika z nazwy, były bardzo okrutne. Dosłownie zarzynano Polaków nożami, piłami, obuchami, oczywiście bez różnicy wieku i płci. Jak za Chmielnickiego. Do Lubomla w jesieni 1943 r napłynęło wielu „nedorizanych” – „niedożniętych”. Wielu było poranionych i tych umieszczano w szpitalu, gdzie zgroma-

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

HORODYSŁAWICE

Wieś w pow. bóbreckim, wojew. lwowskim, położona o 18 km na płn. od Bóbrki. Należała do parafii rzym.kat. w Czyszczkach oraz do parafii gr.kat. w miejscu.

W 2. połowie XIX w. wieś wchodziła w skład dóbr Alfreda Potockiego, ministra i premiera rządu austriackiego, namiestnika Galicji. W latach 30. XX w. ówczesna właścicielka majątku Stanisława Siedlecka-Daszewska prowadziła przydworską wytwórnię kilimów tkanych w technice grzybkowej, o wzorach nawiązujących do XVIII-wiecznych kilimów dworskich.

KAMIENOBRÓD

Położenie. Wieś w pow. gródeckim, wojew. lwowskim, położona w odległości 7 km na płn. od Gródka Jagiellońskiego, nad rzeką Wereszycą, do której uchodzi potok przecinający wieś. Wody te tworzą w obrębie wsi dwa stawy: jeden na krańcu pld.wsch. (279 m npm.), drugi na płn.zach. (308 m npm.). Stacja kolejowa na linii Lwów-Gródek Jagielloński. Parafia rzym.kat. znajdowała się w sąsiednim Weissenbergu, osadzie kolonistów niemieckich. Parafia gr.kat. w Dobrostanach, we wsi cerkiew filialna.

Historia. Kamienobród należał do dóbr królewskich. W 1428 r. Piotr Dzik herbu Doliwa otrzymał od Władysława Jagielly wieś w dożywocie za oddane usługi. Kazimierz Jagiellończyk zezwolił Grzegorzowi z Sanoka, arcybiskupowi lwowskiemu, na wykupienie jej z rąk ówczesnych tenentariuszy. W 1757 r. król August III nadał Kamienobród w dzierżawę Izabeli z Humnickich, zamężnej za Janem Małachowskim h. Nałęcz, kanclerzem w. kor. W 1785 r. władze austriackie przejęły majątek i w 1835 r. odsprzedały go Helenie Ponińskiej. W 2. połowie XIX w. właścicielem był Kalikst Poniński.

MACOSZYN

Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, przecięta potokiem Świnia, położona w odległości 30 km od Lwowa i 4 km od Żółkwi. Od strony płn.zach. znajduje się wzgórze zwane „Na kamień”,

dzono do opieki polskie młode dziewczyny, nie tylko pielęgniarki.

Inni uciekinierzy potrzebowali mieszkań i powoli z plebanii i od nas odpływali, wyjeżdżając za Bug – w okolice Chełma lub w większości zajmując opuszczone przez wymordowanych przed rokiem Żydów, nadające się do zamieszkania domy. Przez jakiś czas u nas mieszkaly dwie rodziny z Kątów. Obie rodziny miały po czworo dorastających dzieci. Jednych wrzucono do studni, a na nich wrzucono koryto. Reszta rodziny wylazła i uciekła do Lubomla. Myślę, że zrobili to jacyś sąsiedzi, którzy tak naprawdę nie chcieli ich zamordować, tylko zrobili to na rozkaz rezunów. To byli Pawlukowie. Jaszczukowie znów byli bez matki, bo kiedy do wsi weszli rezuny, oni uciekli do lasu. Tylko matka wróciła do domu i tam ją zamordowano. Wróciła po chleb. Doktora Telszewskiego z Oleska wraz z rodziną zamordowali podobno sąsiedzi, a brat doktora ukrył się w krzakach, bo myślał, że zaopiekuje się małymi córeczkami doktora. Kiedy jednak zobaczył, że i dziewczynki zamordowano, wyszedł z ukrycia i sam oddał się im w ręce. Zginął też w Olesku aptekarz pan Grzybowski z żoną. Byli to starsi ludzie. Zginęła Trepkowa, chłopka, będąca tam żoną Ukraińca. Nawet tak rozdzielano rodziny: Ukraińiec – życie, Polak – śmierć. Jak Niemcy z Żydami. Zamordowany został też mój krewny Jarosław Rodziewicz, który był leśniczym koło Ołyki.

Na całym Wołyniu, Polesiu i Podolu wrzało. Potem polscy partyzanci z AK mścili się na Ukraińcach, ale raczej na tych z bronią w ręku, bo wsie ukraińskie i ludność

w nich pozostawała nietknięta, bo nikt do Lubomla nie uciekał.

Zamieszkuje u nas w saloniku pan Anatol Turski, który jest oficjalnie jakimś pracownikiem nadleśnictwa, a naprawdę kieruje partyzantką. Na jesieni po rzeziach prawie wszyscy lubomelscy chłopcy idą do lasu. Najpierw u nas w domu jest przysięga. Przychodzi ksiądz dziekan kanonik Stefan Jastrzębski, przynosi ze sobą spory krzyż. Ja, wygoniona na górę, podglądam ze schodów, kto przychodzi. Znam większość z tych chłopców. Jedni wchodzą przez aptekę, inni od podwórka, tak konspiracyjnie. Ludność cywilna w dużej części ucieka za Bug. [...]

ROK 1944, LUBOML

[...] 19 lub 20 lipca 1944 r. nadleciały myśliwce ruskie i strzelały do Niemców. Niemieckie samoloty biły się z nimi w powietrzu i Wandka oglądała te walki z okna, przy czym była lekko ranna w rękę odłamkiem. Nie bała się.

Nasz niemiecki generał ze swoimi towarzyszami wypadli przed dom i zaczęli strzelać do ruskich samolotów, na co oni zrzucili jakieś odłamkowe małe świństwo, które powybijało prawie wszystkie szyby w naszych wielkich oknach. Zeszliśmy do aptecznej piwnicy. Pod ścianą zostały położone materace i tam siedzimy. Przychodzą jeszcze jacyś ludzie. Nasz dom znalazł się między stanowiskami czyichś dział a ich celem. Odgłos jest taki: wystrzał – metaliczne „pamm” – przelot pocisku nad domem – „wuiuu” – i wybuch w celu – glucho „buum”. Nad naszymi głowami małe okienka. Przez cały czas bałam się, że wpadający pocisk czy odłamek pocisku porani moje

wyciągnięte nogi, ale nic nie mogłam na to poradzić. Poszłam na I piętro do sypialni po poduszki i niedługo po moim ponownym zejściu do piwnicy – do sypialni wpadł pocisk, rozwalając ścianę. Drugi uderzył w sam róg domu tuż przy ziemi i oderwał kawał muru, ale do wnętrza się nie przebił. W czasie tych dwudniowych walk ktoś siedzący z nami w piwnicy

Apteka ojca autorki w Lubomlu



podaje projekt, żeby się przenieść do lochów pod górką i trwa nad tym narada. Wtedy ja stanowczo mówię: „To wy idźcie, a ja się stąd nie ruszam” (mam 13 lat) i wszyscy zostają. Zawsze wiedziałam, że wszelkie uciekanie nie ma sensu. Wszystkie rzeczy, które mama oddała z domu ludziom na przechowanie, spaliły się.

Niebo zasnutę jest chmurami. Są to „wyziewy wojny”. Dotąd nie wiedziałam, że dym wybuchów czyni takie chmury i mgłę. Bomby, strzelanina z broni wszelakiego rodzaju trwa 2 doby, po czym do piwnicy wpada obsypany ceglany pyłem oficer radziecki z naganem w rękę. Rewolwer ten zaraz zresztą chowa, widząc ludzi cywilnych i dzieci. Uśmiecha się. Znalazł się w zasięgu wybuchu pocisku, który uderzył w ścianę kina. [...]

We wrześniu 1944 r otwarto szkołę. Nieliczni Polacy pozostali w Lubomlu zabiegali o polską, przynajmniej jedną klasę, ale nie udało się. Natomiast utworzono rosyjską kl. V w ukraińskiej szkole i do tej rosyjskiej klasy poszły wszystkie polskie dzieci, z rozpiętością wieku chyba 5 lat. Ja miałam 13 lat, ale Romek Zimny, który też z nami chodził, był ode mnie starszy 2 lata, a byli starsi i młodszy. Polacy nie chcieli się uczyć po ukraińsku, woleli po rosyjsku, zawsze to piękny język. Chodziłam tam jednak krótko, tylko w jesieni, bo nauka była znowu byle jaka, a mogłam przestać chodzić do szkoły, bo z chwilą zapisania się naszej rodziny w Polskim Urzędzie Repatriacyjnym na wyjazd za Bug, czyli do Polski w nowych granicach, nie podlegałam pod sowiecki obowiązek szkolny.

Któregoś dnia wróciłam ze szkoły i zastałam w domu dwóch NKWD-zistów, robiących w obecności tatusia rewizję w naszych książkach. Odbywało się to spokojnie, nie trwało długo i nic nie znaleźli. Dzieła Piłsudskiego i inne takie pozycje zostały spalone jeszcze za pierwszych sowietów. Pamiętam, jak patrzyłam ze zgrozą, jak płoną. Powodem rewizji był znowu donos, że tatuś, wydając jakiś lek z apteki, zawinął go w kawałek przedwojennej „Muchy”, pisma satyrycznego, gdzie był jakiś antysowiecki dowcip. Funkcjonowało na naszych terenach takie określenie czasów wojny: „za Polski” – tzn. przed wojną 1939 r., „za pierwszych sowietów” – od połowy września ’39 do czerwca ’41, „za Niemców” od lipca ’41 do

mające 360 m npm. Przystanek kolejowy na linii Lwów–Żółkiew. Macoszyn należał do parafii rzym.kat w Żółkwi. Grekokatolicy mieli cerkiew na miejscu.

W 2. połowie XIX w. właścicielami byli Waygertowie.

MIKOŁAJÓW

Położenie. Miasteczko w pow. żydaczowskim, wojew. lwowskim, położone w odległości 45 km na płd. od Lwowa i 21 km na płn.zach. od Żydaczowa. Leży na wys. 262 m npm. Teren miasteczka przecinany jest potokami spływającymi do Dniestru. Stacja kolejowa oddalona o 3 km. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Mikołajów należał do dóbr królewskich, których ośrodkiem był Drohowyż, od 1465 r. mający status starostwa. W 1570 r. Mikołaj Tarło uzyskał od Zygmunta Augusta dla Mikołajowa miejskie prawo magdeburskie wraz z przywilejem na urządzenie dwóch jarmarków rocznie oraz targów we wtorki. Jednocześnie mieszczenie mikołajowscy uwolnieni zostali od podatków na lat 20. Córka Mikołaja, Jadwiga Tarłówna, wniosła w 1576 r. w posagu Jerzemu Mniszchowi, wojewodzie sandomierskiemu, majątki należące do królewszczyzny, w tym Mikołajów. Mniszchowie ufundowali tu murowany kościół. Do tego czasu mieszkańcom służyła kaplica wzniesiona wkrótce po uzyskaniu praw miejskich. Jerzy Mniszech wprowadził także trzeci jarmark roczny na Narożenie NPMarii.

Po jego śmierci Mikołajów często przechodził z rąk do rąk na zasadzie dzierżawy lub dożywotniego nadania. W XVI i XVII w. miasteczko było kilkakrotnie niszczone przez Tatarów. Dla obrony przed nimi opasane zostało wałami ziemnymi. Kolejni władcy po tatarskich napadach kilkakrotnie uwalniali mieszczan mikołajowskich od ciężarów podatkowych. Po rozbiorach okoliczne królewszczyzny, a wśród nich Mikołajów, przejęte zostały przez rząd austriacki, a w 1820 r. odsprzedane Stanisławowi Skarbkowi. W 2. poł. XIX w. większość mieszkańców utrzymywała się z rolnictwa, a oprócz tego z garncarstwa i drobnego handlu.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Mikołaja, ufundowany przez Mikołaja Ostroroga, starostę drohowyskiego w latach 1633–34, konsekrowany w 1636 r. w miejsce zburzonego przez Tatarów w 1620 r. pierwszego kościoła fundacji Jerzego Mniszcha. Zbudowany z cegły, tynkowany, jednonawowy, z krótkim prezbiterium zakończonym trójbocznie. Wnętrze nawy nakryte stropem, w prezbiterium sklepienie kolebkowe. Fasada pięciopiętrowa, jednokondygnacyjna, zwieńczona

lipca '44 i „za drugich sowietów” – od 22 lipca '44 r. aż do naszego wyjazdu. Określenie „za okupacji” funkcjonujące na reszcie terytorium Polski, przy tak częstych zmianach okupantów na naszych terenach, niczego nie precyzowało. Kiedy chodziłam do sowieckiej szkoły, tatuś przykazał mi, żebym w niczym nie zadzieriała z nauczycielami i nie gadała, czego nie potrzeba. Pewnego dnia jedna z nauczycielek werbowała uczniów w naszej klasie do pionierów. Nikt się nie zgłosił, więc ona zaczęła namawiać, ktoś się zgłosił, ale to było dla niej za mało, więc zaczęła grozić, aż powiedziała: „jesli kto nie zapiszetsia, tak eto wrag sowietskowo sa-juza” – „kto się nie zapisze, jest wrogiem sowieckiego kraju”. Wtedy wiele osób, w tym ja, zapisało się. Ja czułam się moralnie złamana i po lekcji się rozplakałam. Wtedy jeden z uczniów, Gołębiowski, który mimo nacisku nie zapisał się, przechodząc koło mnie z pogardą powiedział po ukraińsku: „zapysałasja taj placze”. Ten Gołębiowski był sporo ode mnie starszy. Jego rodzina to byli Polacy zamieszkali przed wojną na terenie Związku Sowieckiego. Za Niemców przyjechali do Lubomla, tak jak dr Nałęcz, chcąc już mieszkać w Polsce. Chłopak był żułowaty, znał sowieckie metody i nie bał się. Nazwisko Gołębiowski było trudne do wymówienia przez uczących nas Rosjan, więc różnie je przekręcali, a on za każdym razem z ostatniej ławki, gdzie siedział, spokojnym, donośnym głosem poprawiał: Gołębiowski. Być może jedynie swoje nazwisko umiał poprawnie po polsku wypowiedzieć, bo w ogóle mówił bardzo źle po polsku, za to świetnie po rosyjsku i ukraińsku. Nie wiem, czy tej rodzinie udało się wyjechać do Polski, pewnie nie, bo przypuszczalnie mieli obywatelstwo sowieckie. [...]

ROK 1945

Wieczorem 7 stycznia 1945 roku widziałam mojego ojca ostatni raz. Pobłogosławił mnie, mówiąc, że już mnie więcej nie zobaczy. Nie pozwolił mamie, żeby go odprowadziła na dworzec, co chciała zrobić. Poszedł sam do pociągu. Był ciemny, zimowy wieczór. 8 stycznia 45 r. Tatuś skończył 61 lat. Na pewno specjalnie dzień jego urodzin mu przeznaczili, bo sowietci zawsze lubowali się w takim psychicznym znęcaniu się. Tatuś wieczorem w Łucku po-

szedł do swego stryjecznego brata Feliksa Rodziewiczza i tam przenocował, a rano 8 i 45 zgłosił się na NKWD, ale nie chcieli go zaraz zamknąć i kazali przyjść nazajutrz, więc znowu przenocował u wujostwa Feliksów, a rano 9 stycznia zgłosił się, jak mu kazali, i więcej go nie widzieliśmy.

Wujostwo Feliksowie namawiali ojca, żeby uciekał, ale on odmówił. Był już wtedy zrezygnowany, a poza tym ucieczkę trzeba było jakoś zorganizować. Dokąd? Do kogo? Podczas pobytu w domu mama też chciała, żeby uciekał, ale on mówił, że wtedy wezmą mnie i mamę. Pewnie go tym zaszantażowali.

I tak znowu zaczęły się dni bez ojca i bez wiadomości o nim. Zapłacił za to, że wszystkim, którzy go ostrzegali i namawiali do wyjazdu, mówił, że „oni teraz przychodzą jako przyjaciele, więc nie będą nic takiego robili”. A przecież znał ich jeszcze z Kijowa z czasów rewolucji 1917 r i powinien był wiedzieć, że każdego człowieka wystającego ponad swoje środowisko należy traktować jako potencjalnego wroga i najlepiej skrócić o głowę. Mawiał, że w Rosji sowieckiej ludzie dzielą się na takich, którzy siedzieli, siedzą albo będą siedzieć. [...]

Tatuś, odchodząc 7 stycznia, zostawił zegarek i obrączkę.

Niedługo potem przyjechały trzy młode Rosjanki: Fania, Raja i Nina, które miały prowadzić aptekę. Fania była Żydówką i kierowniczką apteki. Raisa jedyna z nich była zamężna i miała małe dziecko, które zostało w Rosji z matką. Kazali jej wyjechać do Lubomla, to wyjechała, jak przystało na wierną obywatelkę Sojuza. Mus! Mąż jej był Polakiem z pochodzenia i był na froncie. Nazywała się Berezowska. Wszystkie były miłe, wesołe, śpiewające i głupie. Wieczorami ciągle przesiadywały u nas. Mieszkały w pokoju tatusia. Znow niedługo straciliśmy zielony pokój na piętrze. Zajął go oficer sowiecki Filipow z żoną, małym dzieckiem i siostrą żony. Byli też spokojni. Ta siostra rozmawiała z mamą, a po jakimś czasie bardzo się ośmieliła i zaczęła opowiadać, co tam w głębi Rosji myślano. Mianowicie bardzo żałowała, że Niemcy nie wyzwolili ich od radzieckiej wolności. Gadała, że to wszystko wina traktowania jeńców sowieckich przez Niemców. Najpierw wszyscy się poddawali, ale gdy zobaczyli, że idą na

wyniszczenie do niemieckich obozów – zaczęli się bronić. Wcale się nie bała.

Jakoś w tym czasie zaczął przyjeżdżać do nas ksiądz Marian Jasionowski, który został na Wołyniu z pozostałą tam ludnością katolicką po wyjeździe innych księży za Bug. Obsługiwał 4 lub 5 parafii, w tym Włodzimierz i Luboml. U nas odprawiał msze i inne nabożeństwa, grał na organach, pakował utensylia kościelne, księgi – celem wywiezienia za Bug do Chełma, całymi dniami siedział w kościele, chrzczył i dawał ślubny, załatwiał różne sprawy lubomelskich pozostałych parafian. Dzięki księdzu zobaczyliśmy z Bogusią ukrytą salkę nad zakrystią, do której wchodziło się, otworzywszy całą szafę razem z zawartością w zakrystii. Cała ta szafa razem z plecami była na zawiasach i cała się otwierała, ukazując wąskie, strome schody, zrobione w grubości murów (kościół jest z 1412 r.) prowadzące do tej ukrytej salki. W skrytce były szafy, a w nich stare ornaty w kształcie krzyża i kapy, a także księgi. Z pomieszczenia tego wychodziło na kościół małe okienko, ukryte za szczytem lewego bocznego ołtarza.

Ksiądz był młody, energiczny i oddany bez reszty swoim owieczkom. Wieczorami po powrocie z kościoła jeszcze uczył nas kościelnych pieśni. Był przy tym wesoły i pogodny. Po naszym wyjeździe został na Wołyniu i przebywał tam 17 lat. Odprawiał msze w kościołach, a gdy je sowieli pozamykali – po domach. Potem osiadł we Włodzimierzu i mieszkał u mojej ciotki, a gdy umarła – on ją pochował. Nadal jeździł po różnych miejscowościach z posługą kapłańską. Potem był aresztowany i jakiś czas siedział, potem go wypuścili i znów pracował potajemnie, w końcu około 1962 czy 63 roku przyjechał do Polski. Nie pamiętam, czy go zmusili, czy sam już nie wytrzymał. [...]

9 czerwca 1945 r. podstawiono ciężarówkę i jacyś ludzie załadowali nasze „paczki”, a potem wsiadłyśmy i my. Ja wyszłam ostatnia, bo mimo wołania mamy jeszcze całowałam ściany. Wyjechałyśmy z Lubomla na zawsze. Noc lub dwie spędziłyśmy jeszcze na lubomelskiej stacji kolejowej, już w wagonie. W transporcie było ich 60. Razem z nami tym transportem wyjechali wszyscy ci Polacy, którzy chcieli wyjechać, bo był to ostatni transport z Lubomla. Większość Polaków wyjechała w ciągu zimy. [...]

schodkowym szczytem. Dachy czterospadowe. Wewnątrz znajdował się laskami słynący obraz Matki Boskiej, ufundowany przez starościny drohowyską Ludwikę Eleonorę z Kunickich Rzewuską.

W latach 50. XX w. kościół został zamieniony na salę gimnastyczną, a następnie na pałac ślubów. Dla przystosowania budynku do nowych celów dobudowano od strony pld. aneksy, a charakter wnętrza zmieniono wprowadzając pseudoklasykstycki wystrój. Ołtarz główny i część dawnego wyposażenia kościoła usunięto na strych.

W 1990 r. wierni odzyskali kościół i przywrócili do kultu. Obsługują go księża dojeżdżający z Medenic.

RAKOWIEC

Położenie. Wieś w pow. i wojew. lwowskim, położona nad potokiem Zubrza (dopływem Dniestru) w odległości 22 km na pld. od Lwowa na wys. 343–370 m npm. Parafia rzym.kat. była na miejscu, gr.kat. w Krasowie.

Historia. W 1466 r. właścicielem Rakowca był Piotr z Czesybiesów. Następne półtora stulecia stanowi ciemną plamę w historii miejscowości. W 1615 r. należała do Mikołaja Narajowskiego h. Janina, miecznika lwowskiego, oraz do Krzysztofa Leśniowskiego, wojskiego żydaczowskiego. Narajowski w 1598 r. ufundował parafię rzym.kat. W 1623 r. Elżbieta z Leśniowskich Humnicka uposażyła częścią majątku lwowski klasztor jezuitów. Inna część Rakowca była własnością benedyktynek. Oba zakony pozostawały tu w stałym sporze majątkowym. W XIX w. i na początku XX wieś pozostawała nadal rozdzielona między różnych właścicieli. Jako jeden z nich w wykazie figuruje Alfred Potocki. W 4. ćwierci XIX w. dziedzicem własności większej był Dawid Abrahamowicz h. Burczak, poseł na sejm krajowy galicyjski. W 1905 r. część Rakowca należała do Romana Potockiego, reszta do Izaaka Gerstmana i klasztoru benedyktynek.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Walentego, postawiony w latach 1822–56 jako czwarty z kolei po kościołach drewnianych, konsekrowany w 1856 r. Częściowo spalony w pożarze w 1880 r., następnie odbudowany. Zbudowany z kamienia, z ceglanymi szczytami. Nawa trójprzęsłowa z węższym i niższym prezbiterium, zamkniętym półkoliście. Przy prezbiterium od strony pld. zakrystia na rzucie prostokąta. Fasada trójpolowa z ryzalitem w części środkowej, przechodzącym na schodkowy szczyt. W górze nisza z figurą MB Niepokalanej. Dach dwuspadowy. Dzwonnica wolnostojąca, murowana, trójprzelotowa.

Przeczytane

Potrzeba stanowczości

Bierność kolejnych rządów w Polsce (z ostatnim włącznie) stanowi dla strony ukraińskiej zachętę do gloryfikowania wielu postaci, które krwawo zapisały się w historii Polaków na Kresach Wschodnich. Przykładem jest budowa we Lwowie w sąsiedztwie kościoła św. Elżbiety kolejnego pomnika Stepana Bandery, założyciela Ukraińskiej Organizacji Nationalistów (OUN), której zbrojnym ramieniem była UPA. Nikomu nie trzeba przypominać, czym „wślawiła się” UPA na Wołyniu wobec Polaków. Niestety budowa pomnika w Warszawie, w realistyczny sposób pokazująca to, co tam się wydarzyło, została wstrzymana przez PiS. Jednak strona ukraińska nie wykazuje podobnej „poprawności” i gloryfikacja krwawej przeszłości UPA odbywa się z błogosławieństwem premier Julii Tymoszenko oraz prezydenta Wiktora Juszczenki, popieranym przez Polskę w staraniach o wejście do Unii Europejskiej. Czy biorąc pod uwagę interes Polski oraz Ukrainy we wspólnej organizacji Euro 2012 roku warto godzić się na jednostronne przedstawianie naszej wzajemnej, często tragicznej i krwawej historii przez Ukrainę? Czy delegacje polskie, które będą gościć we Lwowie, będą składać kwiaty

przed pomnikiem Stepana Bandery, dając wyraz politycznej poprawności? Czy nie należałoby właśnie teraz podjąć wspólnego wysiłku zamknięcia tej tragicznej i bolesnej dla obu narodów karty historii i rozpoczęcia nowego rozdziału? Czy nowy rząd wykaże się stanowczością i determinacją podjęcia tej tak bardzo ważnej misji?

Marian Bielecki
„Dziennik Polski”, Kraków, 5 XI 2007

Od Redakcji: autor tekstu, pod którego meritum podpisujemy się bez zastrzeżeń, pomniejszył rozmiary zbrodni OUN-UPA, ograniczając je do Wołynia. Ludobójstwo ukraińskie (nie tylko ze strony wymienionych organizacji) miało miejsce na obszarze o wiele bardziej rozległym – przede wszystkim w Małopolsce Wschodniej. Dopiero zsumowane liczby zamordowanych z okrucieństwem Polaków na całych Ziemiach Południowo-Wschodnich dają pełnię tragicznego obrazu.

Autor pisze o „ważnej misji”. Ale kto naszym politykom wyjaśni, na czym ta misja miałaby polegać? Pamiętajmy, że zasadniczą cechą obecnie kierujących tym krajem (od początku III RP) jest daleko idąca ignorancja, brak wyczucia i jednostronność w działaniach politycznych. To samo tyczy się – z małymi wyjątkami – mediów.

Sprawa pomników jest jednym – choć na pewno nie najważniejszym – przykładem naszej nieudolności. Niestety są sprawy jeszcze ważniejsze i tu trzeba się mocno zastanowić.

Archiwum

OTWARCIE SKRZYŃ Z PANORAMĄ RAĆLAWICKĄ

Specjalna podkomisja Miejskiej Rady Narodowej we Wrocławiu, przy współudziale konserwatora prof. Słoneckiego, dokonała komisyjnego otwarcia skrzyń, w których znajduje się Panorama Raćlawicka. Stwierdzono, że płótna znajdują się w stanie nie uszkodzonym, tylko brak drobnego

fragmentu zniszczonego w czasie bombardowania Lwowa.

W najbliższych dniach wyjeżdża do Warszawy delegacja, która uzgodni miejsce ostatecznego pomieszczenia Panoramy Raćlawickiej.

Przeprowadzona przez społeczeństwo dolnośląskie akcja zbiórkowa na zdobycie odpowiednich funduszy na rekonstrukcję Panoramy dała dotychczas około 1 miliona 400 tys. zł.

„Dziennik Polski” Kraków, nr 195
z dn. 20 lipca 1947 r.

Adam Trojanowski

Ta dzie ci ta Pe³tew p³yni?

Wspomnienie mieszane

Dawno te czasy minęli, gdy – jak mawiali nieraz lwowianie – na Cytadeli kwitnęły mureli, a ja odbywałem z rodzicami grzeczne spacerunki oraz niezapomniane, samodzielne wyprawy po okolicach mojego miejsca zamieszkania. W sensie szerszym była to dzielnica nr 1, czyli Halickie. W zasięgu mojej aktywności była tam Pohulanka z pięknym lasem dębowo-bukowym oraz leżący naprzeciw niej, po drugiej stronie doliny, las Węglińskich czy Węglińskiego, albo w uproszczeniu – lasek Węgliński. Był od Pohulanki mniejszy, ale dzikszy i tym bardziej kuszący.

Wiosną spacerowało się tam miejscami po wonnych dywanach kwitnącej masowo konwalii, a jesienią następowała prawdziwa żółto-czerwona orgia opadających liści. Pod drzewami zbierałem wśród nich nasiona zwane bukwą oraz żołędzie, a przy okazji natrafiałem na pojedyncze łuski karabinowe, pozostałość po walkach o wolność miasta.

Między tymi lasami płynął wspomnianą doliną, gdzieś od Lesienic, czyściutki potok Pasieka, by naprzeciw Cmentarza Obrońców Lwowa zniknąć kaskadą w miejskim kanale, prowadzącym w stronę Śródmieścia.

Kierując się z lasku Węglińskiego w stronę miasta, można było przejść przez sympatyczną dzielnicę willową o znaczącej nazwie Kwiatkówka, ku górnej części ulicy Zielonej, nieco powyżej tamtejszych zbiorników, należących do wodociągów miejskich.

Po zamknięciu kościoła w 1946 r. większość wyposażenia wnętrza została spalona. W latach 1952–80 budynek był wykorzystywany jako magazyn kolchozowy. Obecnie stoi opuszczony. Stan kamiennych murów jest dość dobry, ceglane szczyty uszkodzone. We wnętrzu uszkodzenie sklepienia odsłania więźbę dachową. W miejscowej cerkwi grekokatolickiej znajdują się pochodzące z kościoła obrazy: św. Walentego (pędzla Ottona E. Borzemeskiego, ok. 1930) i św. Józefa (pędzla Władysława Rossowskiego, ok. 1909).

Teksty opracowała Maria Taszycka

SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 2007

Antoniówka	2/07
Barszczowice	4/07
Belz	1/07
Borynicze	3/07
Bruchnal	1/07
Daszawa	2/07
Gliniany	3/07
Horodysławice	4/07
Jackówka	1/07
Jasionów Górny	2/07
Kamienobród	4/07
Kozice	2/07
Lwów – tablice pamiątkowe	1/07
Macoszyn	4/07
Mikołajów	4/07
Ożydów	4/07
Pasieczna, pow. nadw.	2/07
Pasieczna, pow. stanis.	2/07
Perehińsko	2/07
Psary	3/07
Rakowiec	4/07
Rodatycze	4/07
Stare Siolo	3/07
Stratyn	3/07
Trzcieniec	4/07
Zielona, woj. stanis.	3/07
Zielona, woj. tarnop.	3/07
Żółtańce	4/07

SPISY HASEŁ ZAMIESZCZONYCH W POPRZEDNICH ROCZNIKACH

1995–1996	CL 1/97	2002	CL 4/02
1997	CL 1/98	2003	CL 4/03
1998	CL 1/99	2004	CL 4/04
1999	CL 1/2000	2005	CL 1/06
2000	CL 4/2000	2006	CL 4/06
2001	CL 4/01	2007	CL 1/08

W tym celu przechodziło się pod stokami wyniosłej piaskowni, przez charakterystyczną kotlinkę na końcu ul. Pawlikowskiego, a dalej piaszczystą ścieżką, pnąc się dziko ku wspomnianej ulicy Zielonej. Tam można było przekroczyć ją, pozostawiając z lewej strony wśród gęstych drzew dworek, który (nie wiem czy słusznie) wiąże się z gen. J. Zulaufem. Z prawej strony, przy samej jezdni, znajdowało się małe miejskie śmietnisko, w którym zakopałem rodzinną broń palną oraz białą, by nie „zdawać” jej pierwszym sowietom.

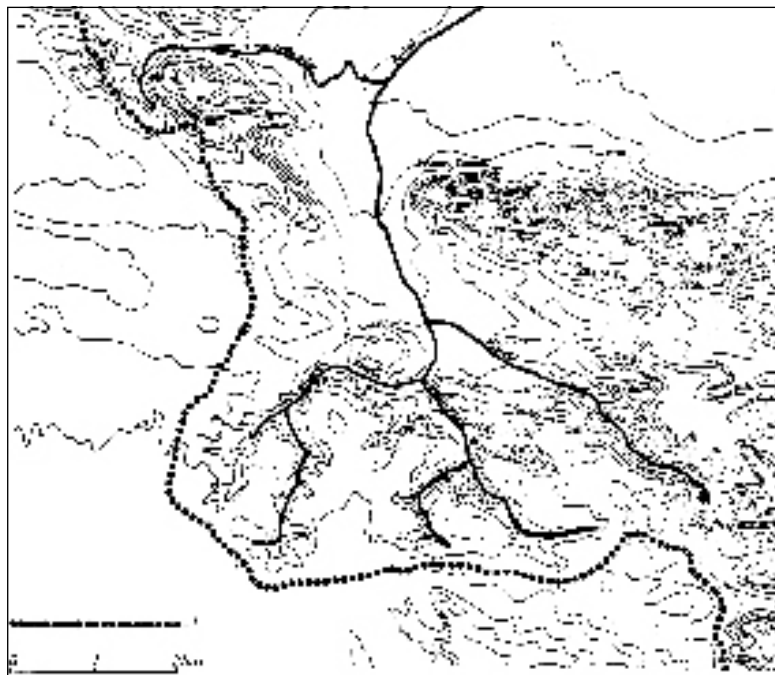
Śliską podczas deszczu, stromą ścieżką schodziłem codziennie do mojego – po przeprowadzce z Góry św. Jacka* na Kwiatkówkę – wspaniałego przedwojennego VIII Gimnazjum. Po drodze mijalem, jeszcze przed wojną, ładne, otoczone naturalną roślinnością kąpielisko Zielone Oko. Obecnie zastępuje je grząska bajura, a po kąpielisku ani śladu. Przez te malownicze tereny schodziło się na zaplecze Państwowej Szkoły Technicznej, zwanej dawniej Przemysłową, by dojść do innej lwowskiej doliny, którą zdążyły wówczas wody potoku Żelazna Woda. Zaczynał się on wśród dosyć odległych wzgórz Sichowa, w pobliżu zamiejskiej siedziby dra A. Domaszewicza, o intrygującej mnie wówczas nazwie Lauda. Doktor był znanym neurochirurgiem, a podczas II wojny działaczem walki podziemnej. W pobli-

żu, na Snopkowie, znajdowała się Żeńska Szkoła Gospodarcza, która zmieniając kilka razy nazwę, zachowała zawsze swoją istotną rolę społeczną. Do jej znacznych zabudowań prowadziła wówczas wspaniała aleja lipowa.

Wspomniany potok spływał dosyć leniwie wzdłuż ulic Krasuczyńskiej oraz Snopkowskiej, mijając z lewej strony wydajne pagóry oraz jary parku Żelazna Woda. Jeszcze powyżej przedwojennego kąpieliska o tej samej nazwie zniknął z szumem w kanale miejskiego systemu ściekowego. Park był w suchych porach roku terenem pięknych spacerów, zaś w zimie długich oraz miejscami ostrych zjazdów narciarskich, w tym poprzez słynne Piekiełko.

Pomiędzy stokami parku Żelazna Woda oraz wzgórzem, na którym znajdowały się tereny Targów Wschodnich, dołączał w pobliżu kąpieliska lewostronny dopływ głównego potoku i właśnie ten nazywaliśmy *pro domo sua*, a nie ten główny, Żelazną Wodą. Nie bez powodu! Posiadał on wybitnie rude dno oraz typowe dla wód żelazistych lokalne, powierzchniowe, niebieskie zacieki.

Skoro była mowa o zapleczu Szkoły Technicznej, uruchamiam kocioł pomieszanych w czasie wspomnień o różnych ludziach



z tamtej okolicy, którzy mieli dla mnie wówczas istotne znaczenie. W potężnych zabudowaniach Szkoły rezydował długimi laty, do czasu pierwszej okupacji bolszewickiej, jej dyrektor inż. Klaudiusz Filasiewicz. Był to wspaniały organizator nauki zawodu, człowiek nowoczesnej wiedzy i poglądów, prawdziwy erudyta i absolutny Europejczyk tamtych czasów.

Przy ul. Zaścianek widywałem do 1930 r. sławnego uczonego, długoletniego sybiraka, prawie stuletniego wówczas prof. Benedykta Dybrowskiego. Lubił wygrzewać się na werandzie swojego domu, otoczonej charakterystycznymi kolumnami. Tam to wskazywał mi go ojciec, ze stosownym, budującym komentarzem.

Zamieszkałem tam moim rówieśnikiem oraz kolegą szkolnym był Marek Zakrzewski, późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej. Tam też przemierzał biegome górzyście tereny innej koleżka, a mianowicie F.F. Winkler, któremu mógł w biegu dorównać jedynie syn prof. Dręgiewicza, ze wspomnianego już wcześniej gimnazjum. Trudno nie wspomnieć przy tej okazji pracowni pana Michotka, który przy ul. Żyrzyńskiej produkował wspaniałe, cieniutkie płatki strudlowe.

Przy ul. 22 Stycznia, już w pobliżu narożnika ul. Snopkowskiej, mieszkał w swym domu rodzinnym mój długoletni druh i kolega z ławki szkolnej w VIII gimnazjum, a potem 14. bolszewickiej Szkoły Średniej z polskim językiem nauczania. Obok mieszkał autor znanego przedwojennego podręcznika chemii dr E. Turkiewicz, długoletni zesłaniec na *nieludzką ziemię*. Tam widywałem, mieszkającego w pobliżu, późniejszego kustosa Muzeum im. Czartoryskich w Krakowie, prof. Zdzisława Żygulskiego, juniora.

Za rogiem ul. Snopkowskiej mieszkał chłopak ze szczególną klasą, syn przedwojennego dyrektora „Orbisu” we Lwowie, „Zbynio” Kuźmiak. Aresztowany podczas słynnej branki przez drugich sowietów, jako działacz AK-owski, znalazł się podobnie jak Jasio Wiktor na zesłaniu w Donbasie. Jego pobyt tam zakończył się śmiercią przed samym końcem wojny. Jasio uległ później skutkom nabytej choroby, także nie bez przyczyny. Bliskim kolegą „Zbynia” był niepozorny wówczas Zbigniew Herbert, tak jak my wszyscy, uczeń 14. Szkoły Średniej, ale z niższej klasy. Kręcił się między nami cichy i prawie niezauważalny wówczas, ten późniejszy wielki poeta, określany mianem kolejnego wieszczka polskiego.

Naszym stałym kompanem był Tomek Gluziński, późniejszy trener narciarski oraz poeta zakopiański, blisko związany rodzinnie z K. Makuszyńskim**. Stąd to Zakopane. Nieraz pojawiał

się wśród nas jego starszy brat, późniejszy naukowiec Uniwersytetu Wrocławskiego. Wszyscy byliśmy wtedy intelektualnie oraz patriotycznie bardzo sobie bliscy.

Tyle o ludziach, a teraz przechodzę nieco „w teren”. W bok od ul. 22 Stycznia znajdowały się u południowych stoków Góry św. Jaka liczne cegielnie, zanim tereny te zostały zabudowane przedłużeniem ul. Hauke Bosaka. Tam to, na tzw. Sztelerówce, znajdowały się, odwiedzane przeze mnie celem zabaw, dwa niewielkie, bezodpływowe stawy, różniące się otoczeniem oraz głębokością. Innym stawem w zasięgu moich wędrówek był przed wojną staw na Cetnerówce, otoczony dużym, uniwersyteckim ogrodem botanicznym, niestety nieosiągalnym dla mnie, ogrodzony metalową siatką. Przechodziłem obok niego obrzeżem Pohulanki, w drodze do Miodowej Groty, w ramach samotnych wypraw, a także w ramach okresowych ćwiczeń lwowskich drużyn harcerskich.

Wcześniej wymienione potoki stanowiły dopływy Pełtwi, którą nieraz widziałem jako bardzo nieciekawą, cuchnącą ściekami rzeczka, wydobywającą się z kanału miejskiego na Zamarstynowie. Podczas śnieżnych lwowskich zim obserwowałem na Placu Akademickim ciężarówkę Miejskiego Zakładu Oczyszczania, opróżniane z zebranego śniegu do dużego wjazdu kanalizacyjnego. Powiedziano mi wtedy, że tam, popod ul. Akademicką i dalej Placem Mariackim oraz Wałami Hetmańskimi, płynie ona poprzez ogólnomiejski układ kanałów. Wprawdzie ukryta pod ziemią, ale jednak tam była.

Paryż ma swoją Sekwanę, Wiedeń Dunaj, a mniejsza Florencja swoje Arno. Lwów bez względu na dysproporcję, ma więc swoją Pełtew. Spotykane w literaturze określenie Lwowa jako grodu nad Pełtwią stanowi oczywiście przecenianie znaczenia tej marnej rzeczki, dyktowane oczywistym sentymentem oraz tęsknotą do dużej rzeki, której temu malownicznemu miastu tak bardzo brakuje. Przeglądając pochodzące z różnych lat opracowania dotyczące Lwowa, zauważyłem z zaskoczeniem, że na temat wód spływających przez tereny miasta i tworzących Pełtew, istnieją różne poglądy. Niektóre wręcz sprzeczne, a nawet takie, które negują nawet jej aktualne istnienie.

W takiej sytuacji zrodziło się dla mnie pytanie: *ta dzie ci ta Pełtew płyni?*

Dr Fryderyk Papee w swojej historii miasta Lwowa z 1924 roku stwierdza, że Pełtew powstaje między Wulecką a Stryjską rogatką. Tworząc kilka dosyć dużych stawów, kieruje się od pewnego miejsca już w podziemnym kanale pod ulicami Pełczyńską i Jabłonowskich w stronę placu Akademickiego. Dalej podaje, że jeszcze przed tym placem dołącza do Pełtewi potok Żelazna Woda, płynący ze Snopkowa. Za wylotem ul. Kochanowskiego ku ul. Fredry, za tzw. „Kręconymi Słupami”, dołącza do niej z kolei potok Pasieka, zdążający z Pohulanki i już wcześniej także skanalizowany. Pełtew, uzupełniona w ten sposób wspomnianymi potokami, toczy poza miasto swoje niezbyt ciekawe wody, by ujawnić je oczom ludzkim dopiero za Placem Gołuchowskich.

Inaczej Aleksander Medyński. W swoim przewodniku pt. *Lwów z 1937 r.* informuje, że Pełtew powstaje z dwóch strug, a mianowicie Pasieki, spływającej z okolic Pohulanki, oraz Soroki (Sołonki), zbierającej wody dwóch strumyków, a to spływających z Wulki oraz z Żelaznej Wody. Soroka otrzymuje pod ziemią boczne dopływy, a mianowicie ten z Żelaznej Wody przy placu św. Zofii oraz Pasiekę w okolicach ulic Fredry i Romanowicza. W pewnym miejscu autor ten informuje, że u podnóża wzniesień parku Żelazna Woda istniał mały stawek z żelazistymi źródłami, który otrzymał oprawę nowoczesnego kąpieliska.

Jeszcze inaczej Jerzy Janicki. W swoim przewodniku pt. *Nima jak Lwów z 1990 r.* podaje, że obok niewielkiego, wedle niego, parczku Żelazna Woda, w stawku wciśniętym tu między stoki wyschniętej do cna Pełtewi, odkryto przed laty źródła żelaziste. Ten niewątpliwy „rebe” lwowski wskazuje przeto na obecność Pełtewi, zanim, jego zdaniem, wyschła do cna już przy ul. Snopkowskiej, a więc jeszcze zanim dotarła w okolicę Placu Akademickiego. Pełtew pochodziła więc według niego ze Snopkowa, a nie z Wulki. Plan Lwowa wydany przez Książnicę Atlas w 1931 r., a także *Stadtplan von Lemberg* z 1942 r. pokazują Pełtew pod tą nazwą faktycznie już na Snopkowie, by nieco wcześniej, niż znajduje się kąpielisko Żelazna Woda, spływać do podziemnego kanału. Jak widać z tych planów Pełtew jednak tam jeszcze wte-

dy istniała. Na ww. planach brak jest potoku o nazwie Żelazna Woda – na rzecz Pełtewi.

Kolejny oczywisty „rebe” lwowski Witold Szolginia widzi problem Pełtewi zupełnie inaczej. W 1. tomie swojego obszernego opracowania pt. *Tamten Lwów z 1992 r.* prezentuje mapkę warstwicową kotliny Lwowskiej, później powtórzoną w „Cracovia-Leopolis”, gdzie pokazane są oraz nazwane wymienione wyżej potoki, a dodatkowo jeszcze potok Kleparowski, którego wcześniej autorzy nie uwzględnili. Dopiero gdzieś na terenie Kleparowa pojawia się na tej mapce wspólna nazwa Pełtew, jako suma wszystkich tych potoków. W. Szolginia stwierdza w swym wyżej wymienionym tekście, że Lwów leży nad Pełtwią tylko umownie, gdyż w samym mieście już jej nie ma. Zanikły według niego także pierwotne źródłiskowe strumienie, z których ona powstawała. Jest więc ta Pełtew czy jej nie ma?

R. Hanas oraz J. Czerwiński w przewodniku pt. *Lwów z 1992 r.* piszą, że Pełtew, która była niewielkim potokiem, płynie korytem zasklepionym na początku XX w. Podobnie J. Czerwiński podaje w swym przewodniku z 1990 r., a więc jeszcze nowszym, że Pełtew płynie wraz z jej krótkimi dopływami Pasieką, Żelazną Wodą, potokiem Wuleckim i Kleparowskim otwartą na północ doliną. A więc wówczas jednak tam była.

W numerze 2/2000 „Cracovia-Leopolis” stwierdzone jest istnienie Pełtewi jako zlewiska Pasieki, Potoku Wuleckiego oraz Żelaznej Wody, bez Potoku Kleparowskiego, jest więc wcześniej, zanim osiągnie tereny Kleparowa. Podano też, że Żelazna Woda uważana jest jako właściwy początek Pełtewi, że to już Pełtew**. Osobiście nigdy bym tego nie powiedział, ale to mój prywatny pogląd. W numerze 1/2001 ww. czasopisma potwierdzono ten fakt informacją, że potok Wulecki łączył się przy placu św. Zofii z Żelazną Wodą, czyli Pełtwią. Jedni uważają, że Pełtew istnieje od samego źródła na Wulce, inni że od źródła na Snopkowie. Jeszcze inni twierdzą, że nazwę swą uzyskuje dopiero po połączeniu podstawowych znanych potoków, a nawet dopiero po połączeniu z tym czwartym. Są także tacy, którzy uważają, że Pełtewi już w ogóle nie ma, bowiem wyschła do cna, a pierwotne źródłiskowe strumienie w ogóle zanikły. *Ta gdzie ci ta Pełtew płyni?*

Na koniec sięgnąłem jeszcze do najnowszego źródła informacji, jakim jest Internet. Ku memu uspokojeniu informuje on, że Pełtew wraz ze wspomnianymi doływami istnieje we Lwowie i spełnia jak wcześniej swoją użytkową rolę wobec znacznie już większego miasta. Jest więc tam, pod ziemią, nieco przed samym Placem Akademickim, gdzie poprzez właz kanałowy niegdyś

ją widziałem i słyszałem. Była tam, *ta ci zicher dalej jest. Bih me!*

* Autor opisał czasy swego zamieszkania na Górze św. Jacka w CL 3/03. (przyj. red.)

** Informacje co do Pełtewi i jej strumieni źródłiskowych, zamieszczone przed laty w CL, pochodzą z różnych źródeł i trudno stwierdzić, które są prawdziwe. Wynika to również z ww. tekstu i szczegółowych rozważań autora. A w ogóle pytamy: które składowe są dla

Teresa Konopka

Historia jednej cegły

16 czerwca 2007. Wracam ze Lwowa z uroczystości jubileuszu 140-lecia powstania TG „Sokół” Pilot naszej grupy pomaga mi umieścić w autokarze maleńki bagaż. – *Co pani tam dźwiga?* – pyta zdziwiony. – *Cegłę* – odpowiadam z uśmiechem.

Będę to miasto odwiedzać tak długo, jak długo utrzymam groby moich przodków. Staram się o nie dbać. W tym celu odłączyłam się od grupy PTG „Sokół” i pojechałam na cmentarz Janowski. Nie zdążyłam się urodzić we Lwowie ani zobaczyć śp. babci – Marii Sankiewicz z Raganowiczów, spoczywającej na tym cmentarzu. Zmarła w wieku 42 lat. Los oszczędził jej przeżyć wojennych. Dumam też nad grobowcem rodziny Raganowiczów. Jest solidny, muryrowany z dobrej cegły – przecież śp. pradziadek Andrzej Raganowicz miał cegielnię w Nawarii.

Wychodząc z cmentarza widzę *marszrutkę* nr 71 – do Nawarii. Jadę zobaczyć, co pozostało w miejscu, gdzie pracowali moi przodkowie. Mijam Sokolniki i drogą na Pustomyty dojeżdżam do Glinnej Nawarii. Miejsce jest urokliwe. Jest upał i brzegi zalewu na rzece Szczerek oblegają ludzie spragnieni kąpeli. Wokół pagórki, zieleń lasu. Rozumiem, dlaczego to miejsce wybrano

na cegielnię – przymiotnik *glinna* wszystko tłumaczy. Nie spodziewam się znaleźć śladów cegielni. Starszego mężczyznę pytam nieśmiało, czy wie gdzie była przed wojną cegielnia? – *Ona nie była, ona jest!* – słyszę odpowiedź. – *Ja z tatą kupowałam tam cegłę na dom.* Upewniam się, czy chodzi o tę przedwojenną. – *Tylko jedna była, teraz tam jest wapiennik, ale komin i piec – te same.* Wskazuje mi drogę. Nie sposób nie trafić – komin wysoki, solidny, ze stalowymi obręczami, góruje nad okolicą. Wokół biel wapna – ale piec stoją – rozebrano tylko magazyny cegieł.

Na sąsiedniej drodze XVII-wieczny barokowy kościół pw. Wniebowzięcia NMP, jeden z najcenniejszych zabytków sakralnych okolic Lwowa. W nim czczono wizerunek św. Walentego i MB z katedry lwowskiej (XVI-wieczny obraz przeniesiono do Nawarii w 1767 r.). Obecnie oba obrazy są w kościele w Urazie koło Wrocławia. W 1946 r. kościół zamknięto, później służył jako magazyn, a w 1990 r. zwrócono go wiernym.



▶ Wspominam tragiczne losy właścicieli cegielni. Prababcia Katarzyna Raganowicz wcześniej została wdową. Samotnie wychowała i wykształciła dzieci. NKWD wywiozło ją na *nieludzką ziemię* wraz z córką Anną Leyko i małymi wnukami Andrzejem i Zbyszkim. Zięcia i syna zamordowali wcześniej. Druga córka, Wala Sokolińska, też została sama z dziećmi, mąż por. lotnik Tadeusz Sokoliński zginął w bitwie nad Anglią. Moja babcia Maria Raganowicz, żona lwowskiego nauczyciela szkoły im. ks. A. Kordeckiego – Mieczysława Sankiewicza, w 1939 r. spoczęła na cmentarzu Janowskim.



PS Przyjaciele pokazują mi *Spis brązowy miasta Lwowa na rok 1939*. Na stronie 23 w pozycji *Cegielnie* widnieje nazwisko Raganowicz, adres lwowski ul. Barska 6 i telefon 287-08. Szkoda, że nie dzwoni!

A może ktoś pamięta, jak kupował tam cegły na dom?

Od mieszkańców pobliskiego domu otrzymuję w prezencie starą cegłę sygnowaną napisem „Nawaria”. Teraz jest warta 3 grzywny. Polskie cegły z rozbiórek są bardzo poszukiwane, bo jakością przewyższają współczesne.

Wyjeżdżam ze Lwowa uśmiechnięta, patrząc na swój „skarb”. Wiem, że jestem związana z tym grodem już nie tylko przez groby. Nigdy nie policzę, ile kamienic zbudowano z cegieł rodzinnej cegielni, odległej o 12 km od miasta.

TERESA KONOPKA, ur. w Katowicach. Ukończyła studia psychologiczne na UJ w Krakowie. Pracuje jako wykładowca w Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej Ignatianum w Krakowie oraz jako biegły sądowy w Bielsku-Białej.

Walenty Świtniewski

Moje wspomnienie o Henryku Zbierchowskim, poecie lwowskim

Moje wspomnienia o Henryku Zbierchowskim to okres sześcioletniej wspólnej egzystencji pod jednym dachem w jego willi we Lwowie przy ul. Piaskowej 11. Pan Henryk wynajął mojej rodzinie czteropokojowe mieszkanie wraz z dużą przeskłoną werandą, a z niej wychodziło się bezpośrednio do ogrodu.

Rodzice moi, nauczyciele lwowscy, mieli nas pięciu synów, co z pomocą domową Stefcją i Smykiem – cudnym, młodym bokserem, stanowiło grono rodzinne wymagające przestrzeni, powietrza i warunków do prawidłowego rozwoju. Wszystko to znaleźliśmy u pana Henryka.

Tu jeździliśmy rowerem po alejkach dużego ogrodu, tu graliśmy na prawdziwym stole pingpongowym prowadząc niekończące się zawody i rozgrywki, tu można było zaszyć się w ciszy i uczyć się w spokoju. Na werandzie pykało-fermentowało w olbrzymim gąsiorze złociste wino – podobno pyszne. To mieszkanie było naszym niezapomnianym rajem.

W salonie na suficie stiuki ozdobne – ktoś mówił, że miał tu spędzić parę dni sam Jan III Sobieski – ale czy to prawda? Nie wiem.

Żona poety, aktorka, potężnej postury, bardzo tęga, robiła wrażenie nieruchomej matrony, która nie interesowała się zupełnie tym, co się dzieje w jej domu i ogrodzie. Mieszkali z mężem na pięterku, odizolowani zupełnie od ruchu i gwaru, jaki zapewne czyniliśmy. Żona p. Henryka zajmowała się swoimi dwoma wspaniałymi syjamskimi kotami. Były to okazy – olbrzymy – laureaci wystaw, złoci medalisci z Paryża, Wiednia czy też Mediolanu. Hołubione, specjalnie

SYLWETKI

Z ORLEANU DO LWOWA

Przed paroma laty natknęliśmy się na nekrolog w którejś gazecie, a teraz spotkaliśmy w najnowszym numerze *Polskiego Słownika Biograficznego* (zeszyt 183) nazwisko rodziny *l w o w s k i e j* (!) – Tascher de la Pagerie. Trudno nie być zaskoczonym: pamiętamy wszak, że nazwisko to nosiła pierwsza żona Napoleona I, arystokratka francuska z okolic Orleanu, cesarzowa Józefina (1763–1814).

Przenosimy się w wiek XX: z PSB dowiadujemy się, że Jan Kazimierz Tascher de la Pagerie (1879–1924), ziemianin, był absolwentem Wyższej Szkoły Rolniczej w Dublanach i szkoły oficerskiej; był w armii austriackiej, potem w WP, a po demobilizacji administrował majątkiem ziemskim w Sądowej Wiszni. Odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa i Odznaką Orłąt.

Miał dwie córki: Marię (1917–2000) i Jadwigę (1919–1989), obie wybitne działacz-

ki konspiracji w czasie II wojny światowej. Maria działała w Inspektoracie AK Lwów-Miasto, w 1944 r. została komendantką Narodowej Organizacji Wojskowej Kobiet Okręgu Małopolska. Po wyjeździe ze Lwowa osiadła wraz z mężem, adwokatem S. Strycharskim, w Bytomiu; tam oboje po latach zmarli. Jadwiga była uczestniczką Powstania Warszawskiego i więźniarką obozu w Stutthofie. Po wojnie pracowała w GUS w Warszawie; tam zmarła.

Jaka była droga owej arystokratycznej rodziny francuskiej (niewątpliwie zdeklasowanej i niekoniecznie z tej samej linii co cesarzowa) do wschodniej Polski? Kiedy przybyła w nasze strony, kiedy jej członkowie stali się wspañiałymi polskimi patriotami?

Może ktoś z Czytelników wie i opowie? Liczymy na Bytom!

EDWARD WEBERSFELD (LWÓW 1846 – LWÓW 1918)

Edward Webersfeld przyszedł na świat we Lwowie w 1846 roku jako drugie z sześciorga dzieci Aleksandra (nauczyciela szkół

karmione – były zaiste przepiękne. Prześliczne duże, błękitne oczy dla mnie były przezroczyście. Włos długi, śnieżnobiały. Taka kocia arystokracja.

Pamiętam, że przez wiele miesięcy w roku Pani była w rozjazdach – to na występach, to wyjeżdżała do wód w kraju i za granicę, a pan Henryk miał swoje stałe miejsce w restauracji Atlasa – Rynek 45. Tam też tworzył, pracował, pisał, spotykał się, żywił, popijał, bo właśnie tam cały świat literacki i artystyczny Lwowa miał swój Parnas. Był tym, czym Jama Michałika w Krakowie.

Z tej to przyczyny gospodarze przychodzili bardzo późno, a my, dzieci, widywaliśmy ich bardzo rzadko. Z Piaskowej dosłownie 5 minut mieliśmy na słynny Kaiserwald. Tu jeździliśmy do upadłego na nartach, a w lecie na rowerze, tu graliśmy w serso i w kiszki, puszczaliśmy wykonane przez siebie wspañiałe latawce, strzelaliśmy do tarczy z wiatrówki i flobertu.

Po przeciwnej stronie ulicy mieszkał Jan Paweł Gawlik – kolega Rogali, Tymcika, Zbiegienia (w Krakowie wieloletni dyrektor Starego Teatru).

Sam pan Henryk Zbierchowski nosił długie włosy, a na twarzy miał zawsze pogodny uśmiech i nigdy nie skarcił nas żadnym słowem. Wspomnienie o Nim mieliśmy zawsze bardzo ciepłe, życzliwe, pełne wdzięczności.



Henryk Zbierchowski



ludowych w Galicji) i Ludwika de Darreé. Rodzina Webersfeldów wywodziła się z wiedeńskiej szlachty. Protoplastą rodu był niejaki Johann Georg Weber, nobilitowany do stanu szlacheckiego (i awansowany na porucznika 1 pułku artylerii garnizonowej), który uzyskał prawo do używania predykatu po nazwisku – w brzmieniu „Webersfeld” (był pierwszym, który nosił nazwisko

Weber von Webersfeld). Nie wiemy, który z potomków owego porucznika osiedlił się na terenie Galicji. Faktem jest, że rodzina szybko uległa polonizacji.

Już w czasach edukacji szkolnej (w ck Wyższym Gimnazjum w Rzeszowie w latach 1862–1863) oczarował Edwarda teatr. Dowiedziawszy się jednak o zaciągach do powstania (którym patronował generał Rochebrun), porzuca szkolną ławę i wraz z ojcem i bratem Ludwikiem zaciąga się w Ojcowie do Żuawów Śmierci. Biją się pod Miechowem, następnie w oddziale Opackiego, Rogowskiego, gen. Dionizego Czachowskiego, walcząc pod Stefankowem, Borią, Ostrowcem i Rzecznikiem. Później w oddziale Waligórskiego, pod Borowem i w oddziale Grabowskiego pod Osielcem. Po upadku powstania nie wraca już do nauki, powierzając swoje życie pani swego serca – Melpomenie.

Debiutuje w Tarnowie w teatrze prowincjonalnym Sulikowskiego w roku 1865. Później gra w Jaśle u Łobojki, w Stanisławowie u Stengla, a w 1867 roku u przyrodniego brata Modrzejewskiej – Józefa Bendy. Na początku lat siedemdziesiątych występuje w teatrach poznańskich, między innymi u Lecha Nowakowskiego (aktora, dyrektora teatrów prowincjonalnych grających zarówno w Galicji, jak i na scenach niemieckich czy w Poznańskim). Przez kilka sezonów te-

atralnych związany jest również z Teatrem Krakowskim (za dyrekcji Adama Skorupki) i naturalnie z teatrem lwowskim. W tym też właśnie czasie jego starsza siostra – Kamilla Josefa – wychodzi za mąż za Heinricha Aemiliana hrabiego von Wimpffen (wnuka Franza Karla z austriackiej linii Wimpffenów i Viktorii Amalii ks. Anhalt-Bemburg). Ożenek ów doskonale sprzyja zacieśnieniu kontaktów z Wiedniem. Nie przeszkadza to bynajmniej Webersfeldowi krzewić wartości patriotycznych w Poznańskim i na Pomorzu. Gra tam pod pseudonimem Tkaczopolski (spolszczonej formie nazwiska) w wielu polskich sztukach. Po powrocie do Lwowa sam sięga po pióro i pisze kilka obrazków scenicznych, których tematem jest powstanie styczniowe. *Carscy bohaterowie* i *Carski zbir* wielokrotnie wystawiani są przez galicyjskie teatry wędrownie. W latach kolejnych gra w wielu trupach teatralnych. Powołuje też własny zespół, z którym w latach 1874–98 wystawia wiele sztuk – między innymi w Tarnowie, Rzeszowie, Śremie, na Śląsku Cieszyńskim i oczywiście we Lwowie.

Webersfeld jest autorem pięciu sztuk scenicznych, napisanych w latach 1897–1911 (z czego tylko dwie doczekały się wydania drukiem). Dwie z nich to frywolne fraszki, trzy następne zaś poruszają problematykę powstania styczniowego i napisane zostały celem pozytywistycznego „pokrzepienia serc” uciemiężonego zaborami narodu. Zamierzeniem autora było napisać kilka sztuk, które można by niejako „na gorąco” wystawić w jego teatrze (Webersfeld był przecież antreprenierem trupy teatralnej). Dobrze, że choć jedna ze sztuk (*Carscy bohaterowie*) ukazała się drukiem w poczytnej wówczas lwowskiej serii „Biblioteczki Teatrów Amatorskich”. Druk ów zaświadcza, że teatr amatorski wypełnił bez reszty życie Edwarda Webersfelda. Do gry aktorskiej, prowadzenia teatru, szkiców i wspomnień z życia teatru, a wreszcie i do pracy teatroznawczej dołączył tym samym plody swego literackiego pióra. O popularności *Carskich bohaterów* świadczy to, że sztuka doczekała się nawet drugiego wydania (w pięć lat po śmierci autora).

Webersfeld zapisał się w pamięci również jako autor wspomnień. Te podzielić można na dwa nurty: powstańcy i aktorski. Są one dziś wspaniałym dokumentem mi-

nionej epoki. Zwłaszcza te teatralne, zgrupowane w dwóch cyklach: *Z teki aktora* – wspomnienia i *Teatr prowincjonalny w Galicji*, doczekały się przedruków, m.in. w wydawanej w latach 60. XX wieku Bibliotece Pamiętników Polskich i Obcych pod redakcją W. Zawadzkiego.

Jako publicysta współpracował Webersfeld z ponad 10 tytułami czasopism. Najistotniejsza jednak była chyba dla niego współpraca ze „Sceną i Sztuką”, „Echem Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym” i lwowskim „Dziennikiem Polskim”. Był też Webersfeld recenzentem kilkudziesięciu imprez artystycznych Lwowa.

Pomimo tak zaangażowanej postawy, chcąc jeszcze bardziej współuczestniczyć w kulturalnym życiu Lwowa, podjął się (wraz z Arturem Cybańskim) założenia własnego pisma. „Życie” – bo o nim mowa, utrzymało się niestety jedynie ponad rok (wychodząc w l. 1893–1894). Był to dwutygodnik o bardzo szerokim wachlarzu tematycznym – od polityki, poprzez sprawy społeczne, aż do ekonomicznych włącznie. Krótki żywot pisma spowodowany był prawdopodobnie kłopotami finansowymi redakcji. Pamiętać przy tym należy, iż Webersfeld w owym czasie właściwie pozostawał bez teatralnego angażu (po roku 1894 grywał już jedynie gościnnie w kilku sezonach teatralnych, prowadząc między innymi w latach 1904–1905 Teatr Ludowy Miłośników Sceny we Lwowie). Stan ów zresztą zdarzał się na tyle często, iż antreprenier zdecydował się ostatecznie przyjąć ofertę stabilnej posady ck radcy prawnego w lwowskim magistracie.

Będąc z natury społecznikiem, angażował się w działalność Towarzystwa Weteranów z lat 1863–64 (wraz z Ignacym Kurniewiczem i Karolem Widmanem znalazł się w gronie inicjatorów założenia towarzystwa), zaś do swej śmierci aktywnie działał w Towarzystwie Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania 1863/64.

Ostatnie lata życia niegdysiejszego aktora „wędrownicza” wypełniła praca nad dwoma monografiami. Są to: dwukrotnie wydany (w 1904 i 1909 roku) – *Jaworów. Monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna*, jak też nieoceniona dziś publikacja z historii teatru *Teatr Miejski we Lwowie za dyrekcji Ludwika Hellera 1906–1918*, wydana na rok przed śmiercią autora – w 1917 roku.

Zmarł 3 sierpnia 1918 roku. Spoczywa (wraz ze swoim bratem Ludwikiem) w kwaterze powstańczej na Cmentarzu Łyczakowskim.

Maciej Dęboróg-Bylczyński

MAREK ROGALSKI 1927–2007

Lwowianin z urodzenia, w ojczystym mieście spędził wczesną młodość do 19 roku życia. W 1939 r. zdał egzamin wstępny do Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego, ale los zrzucił, że uczył się w różnych szkołach. Maturę zdał w polskiej szkole przy ul. Kordeckiego i rozpoczął studia na wydziale budownictwa lądowego Politechniki. Był wtedy bez rodziców – o ojcu, majorze lotnictwa, nic nie wiedział, matkę sowieci wywieźli na Sybir, wychowywali go dziadkowie.

W czasie okupacji niemieckiej został zaprzysiężony jako żołnierz AK Lwów-Śródmieście. Po ponownym wejściu Sowietów był dwukrotnie przesłuchiwany przez NKWD. To zadecydowało o wyjeździe ze Lwowa – po kilku miesiącach wędrówek trafił do Wrocławia. Rozpoczął tam studia na architekturze, zarazem dorywczo zarabiał na życie. Po dyplomie pracował w różnych biurach projektowych.

Parokrotnie, jeszcze przed 1989 rokiem, udało mu się wyjechać do Lwowa, gdzie została najbliższa rodzina. Wtedy ugruntowała się w nim szczególna tęsknota i miłość do utraconego Miasta. Po *przełomie* natychmiast włączył się aktywnie do TMLiKPW,

Z żalobnej karty

Pomnik pomordowanych przez UPA
Polaków w Mostach Wielkich



przez kilka kadencji był członkiem ZG oraz prezesem Klubu im. Orłąt Lwowskich we Wrocławiu. Działał w dwóch kierunkach: praca z młodzieżą szkolną oraz wyjazdy do Lwowa i w różne strony Małopolski Wschodniej. Przyczynił się do nadania kilku szkołom imion Orłąt Lwowskich, Z. Herberta, gen. Andersa, prof. A. Jahna; urządzał konkursy wiedzy o Lwowie, prowadził wycieczki, organizował pomoc charytatywną dla Polaków.

Szczególnym zainteresowaniem Marka Rogalskiego było dokumentowanie fotograficzne miast, zabytków, cmentarzy polskich, pisanie artykułów do czasopism, prelekcje z przezroczami w szkołach i w wielu mia-

stach RP, zapraszany przez oddziały Towarzystwa.

Jednym z ważniejszych jego dzieł był projekt monumentalnego pomnika, zrealizowany w Mostach Wielkich (k. Żółkwi), dla upamiętnienia Polaków zamordowanych tam przez OUN-UPA.

Niewielu mieliśmy tak żarliwych działaczy, oddanych bez reszty pamięci utraconego Miasta i rodzinnej, polskiej Ziemi. Marek Rogalski zmarł we Wrocławiu, spoczął na cmentarzu parafialnym Świętej Rodziny. Będziemy Go pamiętać.

Na podstawie szerszego tekstu wspomnieniowego Czesława Filipowskiego, Wrocław

Lwowianie



Zdjęcie, wykonane prawdopodobnie w latach 20. minionego stulecia, przedstawia znaną lwowską rodzinę lekarską.

U góry fotografii stoją (od lewej): dr WŁADYSŁAW CZERNECKI, dentysta; obok dr (potem docent i profesor) WINCENY CZERNECKI, internista. Obaj ordynowali w kamienicy przy ul. Bielowskiego 1 (róg Chorążczyzny).

Poniżej siedzą (od lewej): dr ADAM CZYŻEWICZ, ginekolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego (ale rodem ze Lwowa); PANI CZERNECKA, matka rodziny; JÓZEFINA z CZERNECKICH CZYŻEWICZOWA, żona Adama; PAN CZERNECKI, ojciec rodziny.

Po II wojnie rodzina rozproszyła się: Wincenty Czernecki nie wyjechał ze Lwowa, tam nadal pracował i po latach zmarł (rodzinny grobowiec na Łyczakowie). Władysław Czernecki osiadł ze swą rodziną i pozostał do końca życia w Łodzi; pp. Czyzewiczowie – w Warszawie.

Z TAMTEJ STRONY

Kult bł. Marii Antoniny Kratochwil

W CL 1/06 pisaliśmy o siostrze Marii Antoninie Kratochwil, wyniesionej na ołtarze w 1999 r. przez Ojca św. Jana Pawła II wśród 108 męczenników II wojny światowej. O bliższe informacje w sprawie obecnego kultu Błogosławionej zwróciliśmy się do Domu Generalnego ss. de Notre Dame w Opolu.

Bł. Maria Antonina zmarła 2 X 1942 r. po wypuszczeniu sióstr z więzienia stanisławowskiego. Siostry Służebniczki Dębickie pochowały ją w swoim grobowcu na tamtejszym cmentarzu. Niestety ta stara nekropolia została zniszczona w 1980 roku. Cmentarz otoczyło NKWD, buldożery rozbiły grobowce. Zwłoki wyrzucano z trumien. Cały cmentarz zrównano z ziemią, a na jego miejscu zrobiono park miejski. Pozostawiono tylko sześć dziewiętnastowiecznych mogił. W miejscu, gdzie została pochowana Siostra Maria Antonina, na skraju cmentarza, wybudowano hotel „Ukraina” (obecnie „Nadija”), a koło niego szalet, do którego obudowy użyto płyt kamiennych ze zniszczonych grobów. Tylko niektóre trumny i grobowce, dzięki staraniom rodzin, przeniesiono na nowy cmentarz we wsi Czukałówka koło Krechowic, inne zostały zniszczone. Tak więc nie pozostały żadne doczesne szczątki – relikwie Błogosławionej, podobnie jak nie ma prochów św. Maksymiliana, rozwianych przez wiatr w Oświęcimiu.

Siostry de Notre Dame obchodzą uroczyste dzień 2 października jako rocznicę śmierci Bł. Marii Antoniny. Jest zatwierdzony formularz mszalny ku Jej czci. We wtorek siostry zanoszą modlitwy o Jej wstawienie. Co roku 12 czerwca grupa sióstr jeździ na uroczystości w Licheniu. „Szkoła Życia” w Świebodzicach – internat dla dzieci niepełnosprawnych nosi imię Marii Antoniny Kratochwil. Jej kult jest szerzony przez Centrum Notre Dame w Rzymie, w prowincjach amerykańskich i afrykańskich.

Dla uczczenia pięknej postaci błogosławionej Zakonnicy Marii Antoniny powinna powstać tablica pamiątkowa z jej portretem w stanisławowskim kościele pod wezwaniem Chrystusa Króla, gdzie w bocznej kaplicy upamiętniono ofiary 1941 roku.

Wydarzenia

◆ W ostatnich dniach listopada '07 miała miejsce **we Lwowie jubileuszowa uroczystość XV-lecia Federacji Organizacji Polskich nU oraz Polskiego Towarzystwa Radiowego „Radio L ó w”**. Obu zasłużonym instytucjom składamy serdeczne gratulacje i życzenia dalszej pozytywnej pracy i sukcesów.

Ucrainica

W połowie lipca ub. roku **obok stacji Ożydów-Olesko miała miejsce katastrofa pociągu z ładunkiem toksycznego fosforu**. Pociąg – zapewne jadący zbyt szybko po rozgrzanych upałem torach – wykołeił się, 15 cystern wypadło z szyn, a sześć stanęło natychmiast w płomieniach, tworząc gigantyczną chmurę toksycznego dymu zagrożającego okolicznym wsiom i miasteczkom, z których ludzie zaczęli uciekać w róż-



nych kierunkach. Katastrofę określono jako największą od czasu wybuchu elektrowni w Czarnobylu. Wiele osób, mieszkańców okolicznych wsi, uległo zatruciu, które może prowadzić do uszkodzenia kości i narządów wewnętrznych.

Zagrożonych skażeniem zostało 14 miejscowości położonych w promieniu 90 km od miejsca katastrofy – jest wśród nich Olesko. Na marginesie: stacja Ożydów-Olesko (położona ok. 100 km od dzisiejszego kordonu) na linii Lwów–Brody, nazywana jest przez obecną administrację *Ożydiw*, co naturalnie bezmyślnie przejęli nasi prasowi znawcy, a w dodatku odmieniali: w *Ożydiwiu* (nawet po ukraińsku byłoby w *Ożydowie*). Nie widzieli powodu, by popatrzeć na dawną mapę lub do encyklopedii.

* * *

Do kompletu: trzy miesiące wcześniej (kwiecień '07) doszło do groźnego zadytmienia okolicy Lubaczowa – gryzący dym z oparami siarki napływał z wschodniej strony kordonu. Wioskę Huta Kryształowa, położoną przy samej obecnej granicy, ewakuowano do innych miejscowości. Okazało

się, że po tamtej stronie w odległej zaledwie o kilometr nieczynnej kopalni siarki usuwano części metalowe starych urządzeń (amatorzy złomu?). Przy cięciu metalu zapaliła się siarka, a pożar gaszono przez całą noc. Mieszkańcy oczekują dalszych podobnych incydentów.

◆ Prasa doniosła, że nacjonałiści ukraińscy mają zamiar postawić w Starym Samborze kolejny pomnik Bandery, głównego organizatora bestialskich mordów dokonanych na wielu dziesiątkach tysięcy Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Pomników takich wzniesiono już kilka, m.in. ostatnio we Lwowie koło kościoła św. Elżbiety.

Ale – nie przejmujemy się tym za bardzo, bo nie ma nic trwałego. Padły pomniki Hitlera i Stalina, przyjdzie kolej i na Banderę.

Dowiadujemy się ponadto z prasy, że powołana została grupa ukraińskich „uczonych”, których rzeczą będzie zapoznanie się z dokumentami oraz *wyjaśnienie, rozpowszechnienie i akceptacja prawdy historycznej z przeszłości narodu ukraińskiego*. A zatem już z góry wiadomo, jaka ta „prawda” ma być.

W Krakowie i dalej

JAK CO ROKU W LISTOPADZIE

22 listopada minionego roku Lwowianie osiadli w Krakowie obchodzili uroczyste 89. rocznicę Obrony Lwowa. Miejszem solennej mszy św. była jak od lat Bazylika Mariacka. Koncelebrowanej mszy z udziałem sześciu księży przewodniczył ks. prof. dr Józef Wołczański, a głównymi koncelebransami byli ks. Józef Pyrek i ks. Maciej Józefowicz, który wygłosił homilię. Ponadto koncelebrę sprawowali kapelan ZHR okręgu Małopolska

ks. Piotr Grzesik, o. Dominik Orczykowski oraz o. Piotr Szaro z Katowic.

Ks. J. Pyrek, salwatorianin, jest od lat bardzo żyty z naszym środowiskiem i już wielokrotnie brał udział w naszych uroczystościach, mieliśmy też zaszczyt parokrotnie drukować jego artykuły. Natomiast ks. M. Józefowicz przybył do nas po raz pierwszy. Urodził się i pracuje w Legnicy, jednak rodzinne korzenie łączą go ze Stanisławowem.

Na organach grał prof. Bogusław Grzybek, śpiewał chór Pueri Cantantes pod dyrekcją Małgorzaty Chyły. Prezesem chóru jest p. Marek Turowicz.

W czasie mszy św. harcerze odczytali Modlitwę Wiernych, poświęconą – jak co roku – problemom, jakie przeżywa lwowska i wschodniomałopolska diaspora tego czasu.

Wszystkim serdecznie dziękujemy za serdeczny wysiłek, aby rocznicowa uroczystość pozostała w pamięci Lwowian i ich licznych krakowskich Przyjaciół.

140-LECIE POLSKIEGO „SOKOŁA”

Sokoli z RP byli we Lwowie

Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” powstało w 1867 roku. Gdzie? A gdzie mogłoby powstać – oczywiście we Lwowie. Inicjatorem powołania do życia towarzystwa, którego celem było uprawianie nie tylko gimnastyki, lecz również działalności patriotycznej, byli: Klemens Żukotyński – prawnik, Ludwik Goltenthal – inżynier, Jan Żulplachta – kupiec, ale też major wojsk powstańczych 1863 roku.

Pierwszym, który przypomniał nam o 140. rocznicy był druż Zbigniew Zwarycz, lwowiak, maratończyk, prozaik, sybirak, wywieziony nad Angarę jako kilkuletni chłopak już po II wojnie światowej, gdy nasze ziemie zostały zajęte po raz drugi przez nieludzkie państwo spod sierpa i młota. Po kilkumiesięcznych przygotowaniach, inspirowanych przez Radę Odrodzonej Towarzystw Gimnastycznych, udały się do Lwowa delegacje siedmiu Gniazd Sokolich – z Krakowa, Raciborza, Łańcuta, Międzybrodzia Bialskiego, Pilzna, Zakopanego i Wadowic.

W piątek 15 czerwca 2007 r. wyruszyliśmy z Krakowa. Towarzyszyli nam: prezes „Sokoła” w Winnipeg (Kanada) Marian Jaworski oraz nasi przyjaciele z Czech, bracia Jiri Nemeč i Dalibor Nursky.

Wjechaliśmy do Lwowa ulicą Gródeczką (nareszcie w remoncie!), by wylądować u stóp Wysokiego Zamku. Wspięliśmy się na wierzchołek kopca Unii Lubelskiej, z którego podziwialiśmy nasze piękne, kochane Miasto. Rozległą panoramę upiększała słoneczna pogoda. Tylko sino-żółta flaga i rozmowy tubylców na kopcu, mówiących miejscowym językiem, psuły nastrój. Po zwiedzeniu kopca i resztek muru zamkowego rozjechaliśmy się do hoteli.

Młodzież zamieszkała w Brzuchowicach, starszyzna w hotelu Grand Resort, za zachodnią obwodnicą Lwowa, prawdopodobnie niedaleko wsi Brzezina. Standard hotelu wysoki – klimatyzacja, telewizja, ciepła i zimna woda przez całą dobę! Ale nie zabrakło „oryginalnych” i zaskakujących

osobliwości: recepcja i restauracja w osobnym budynku, co niezbyt dolegliwe letnią porą, jednak jesienią i zimą nie należy chyba do przyjemności. Ciekawostką jest to, że ów hotel był dawniej ośrodkiem KGB, obecnie oczywiście przebudowany i zmodernizowany. Pozostałość po tej złowroziej instytucji to szlaban na drodze dojazdowej do hotelu.

W sobotę uczestniczyliśmy w mszy św. w lwowskiej katedrze łańciskiej wraz z delegacjami Gniazd Sokolich, którym towarzyszyły poczty sztandarowe ustawione w prezbiterium. Po mszy i pamiątkowych zdjęciach wyruszyliśmy na Cmentarz Łyczakowski. Jak zawsze nawiedziliśmy groby Konopnickiej, Zapolskiej, Bełzy, Banacha, Grottgera. Na grobie I Naczelnika Związku TG „Sokół” Adama Durskiego złożyliśmy wieńce. Wszędzie zapalano znicze. Potem udaliśmy się na Cmentarz Obrońców Lwowa, gdzie również zapaliliśmy znicze i złożyliśmy kwiaty na płycie Pięciu Nieznanym Obrońców z Persenkówki. Uczestnicy sokolej pielgrzymki mieli możliwość zapoznania się z krótką historią Obrony Lwowa – rozdaną im w autokarach w czasie podróży.

Po obiedzie przeszliśmy na ul. Ochronek, do polskiej szkoły nr 24, gdzie pani dr Małgorzata Orlewicz-Musiał wygłosiła interesujący referat pt. „Sokół” wyleciał ze



Lwowa, mówiący o początkach ruchu sokolego i jego historii do czasów obecnych. Potem podziwialiśmy występ zespołu pieśni i tańca pilzneńskiego „Sokoła”. Szkoda, że na imprezie zabrakło lwowskich Rodaków, zwłaszcza młodzieży.

W sobotę odbył się też mecz koszykówki między Sokolami a studentami lwowskiej Politechniki, wygrany przez Sokolów. Wieczorem w Teatrze Wielkim miłośnicy opery podziwiali *Toskę* z pięknymi dekoracjami i doskonałymi głosami solistów i chóru, śpiewaną w języku włoskim. I ten nasz piękny teatr, pełen wspaniałych malowideł polskich malarzy, rzeźb, marmurów! Niestety nie opuszczono kurtyny Siemiradzkiego.

Niedziela upłynęła na zwiedzaniu Lwowa i jego zabytków. Piszący te słowa uczestniczył w mszy św. w kościele Marii Magdaleny. Najświętszą Ofiarę sprawował ks. biskup Leon Mały. Kościół był pełen wiernych. To dobitne świadectwo, że ta świątynia musi być oddana Polakom, rzymskim katolikom. Zła wola i bezrozumny upór pana Winnickiego, dyrektora „sali koncertowej”, jest zaprzeczeniem istnienia normalnych stosunków, opartych na standardach europejskich, między władzami samorządowymi *Lwiwa* a mniejszością narodową, jaką są obecnie polscy mieszkańcy Lwiewo Grodu.

W poniedziałek 18 czerwca opuściliśmy Lwów, lecz skierowaliśmy się nie na zachód, lecz w kierunku północno-wschodnim – do Zadwórze, miejsca sławnej bitwy, zwanej Polskimi Termopilami, stoczonej 17 sierpnia 1917 r. z kozakami Budionnego. Z naszej strony walczył specjalny oddział *szybkiego reagowania*, złożony z żołnierzy Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej, dowodzony przez kapitana Bolesława Zajęczkowskiego. Zginęło tam bohaterską śmiercią 318 młodych chłopców, gimnazjalistów i studentów, uratowało się tylko czterech. Ich bohaterstwo i największa ofiara nie były daremne, osłonili bowiem Lwów, którego Budionny już nie zdobył. Tego wszystkiego – u stóp kurhanu i bezimiennych mogił – dowiedziały się sokola młodzież.

Tam też, w Zadwórze, przeżyliśmy znamienny epizod. Koło kurhanu i mogił robił porządku opalony na brąz około czterdziestoletni mężczyzna. Prezes „Sokoła” z Winnipeg Marian Jaworski chciał tego człowieka symbolicznie wynagrodzić. Jednak ten boso pracujący Polak dumnie odmówił przyjęcia dolarów, proponując przekazanie pieniędzy na konto Polskiego Towarzystwa Opieki nad

Grobami Wojskowymi. Czy może być bardziej dobitny przejaw dumy i godności oraz bezinteresowności, zaprezentowany przez owego Polaka pielęgnującego pomnik chwały Orląt Lwowskich?

Z Zadwórze, przejeżdżając obrzeżami Lwowa, dojechaliśmy do Korczowej – granicy narzuconej nam w Jałcie.

* * *

Z opisanymi uroczystościami zbiegło się przyznanie krakowskiemu PTG „Sokół” medalu „Cracoviae Merenti”, o czym wspomnieliśmy w dziale *Kultura–Nauka*.

Prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski rozpoczął laudację na cześć krakowskiego „Sokoła” słowami:

W programie kulminacyjnej części uroczystości obchodzonego latem tego roku jubileuszu 140. rocznicy Sokolstwa Polskiego znalazły się dwa wiele znaczące w wymowie wydarzenia. Pierwszym była wizyta polskiej delegacji we Lwowie, a więc powrót do korzeni, historyczne spotkanie z „Sokołem-Macierzą”, drugi to zjazd Towarzystw Sokolich w Krakowie...

W imieniu krakowskiego „Sokoła” odpowiedział jego prezes, druż Konrad Firlej.

Notatki

◆ W grudniu ub. roku odbyło się **przekazanie sztandaru 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK** – Środowiska Żołnierzy 27. WDP AK (kombatanckiego) – do Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. Sztandar ten od 1988 r., tj. od czasu poświęcenia go na Wawelu przez kard. F. Macharskiego, był przechowywany w kościele pw. Świętej Jadwigi Królowej, pod troskliwą opieką ks. prałata Jana Dziaska. Przy kościele tym gromadzili się wołyńscy kombatancki pod przewodnictwem śp. Tadeusza Świądra, a teraz Jana Lipińskiego.

Obecnie, w związku z postępującym zmniejszaniem się Środowiska, postanowiono przekazać sztandar do muzeum AK. Pierwsza część uroczystości odbyła się w kościele św. Jadwigi, gdzie ks. prałat J. Dziasek odprawił mszę św. oraz wygłosił mądrą i piękną pożegnalną homilię. Druga część miała miejsce w Muzeum, gdzie po przemówieniu dyrektora Muzeum AK Adama Rąpalskiego – jako przyjmującego, i Jana Lipińskiego – jako przekazującego,

sztandar znalazł swoje stałe miejsce. W obu częściach uroczystości wzięło udział kilkadziesiąt osób ze środowisk akowskich, kombatanckich, wołyńsko-kresowych i innych patriotycznych. (DTS)

◆ W październiku '07 w Warszawie zmarła **prof. dr Barbara Lasocka-Pszoniak**, badaczka dziejów teatru, świetna znawczyni historii teatru lwowskiego, któremu poświęciła fundamentalne dzieła. Stworzyła Pracownię Historii Szkolnictwa Teatralnego w Akademii Teatralnej w Warszawie.

◆ Z końcem listopada w Krakowie zmarła **dr Alina Dawidowiczowa**, matematyk, pracownik naukowy Instytutu Matematyki Politechniki Krakowskiej.

Była córką filozofa i malarza Leona Chwistka (i siostrzenicą matematyka Hugona Steinhausa). Urodziła się w 1918 r. w Krakowie, ale swe młodzińcze i studenckie (na UJK) lata spędziła we Lwowie, potem pierwsze małżeńskie lata w Borysławiu. Po ekspatriacji osiadła w Krakowie. Napisała wspomnienia lwowsko-borysławskie *Zeschnięte liście i kwiat*, o których opowiadała członkom TMLiKPW w latach 90. (omawialiśmy to w CL). Spoczęła na cmentarzu Rakowickim.

Wiadomość o odejściu Pani Aliny przyjęliśmy z wielkim smutkiem.

◆ W grudniu 2007 r. w Warszawie zmarł **wybitny reżyser filmowy Jerzy Kawalerowicz**. Do najważniejszych jego dzieł należą *Faraon* (w 1962 r. miał nominację do „Oscara”), *Quo vadis*, *Matka Joanna od Aniołów*, *Austeria*. Filmy te miały w kraju kilkumilionową widownię.

Jerzy Kawalerowicz urodził się w r. 1922 w Gwoźdźcu k. Kołomyi; ojciec był tam naczelnikiem poczty i z tego to inicjatywy powstał w Gwoźdźcu dom „Sokoła”. Szeroka rodzina była w większości nauczycielska, interesowano się sztuką. Z czasem, gdy Jerzy i jego brat podrośli, rodzina przeniosła się do Stanisławowa, bliżej szkół. Tam zastała ich wojna.

Po zakończeniu okupacji Jerzy Kawalerowicz wstąpił na ASP w Krakowie, ale stamtąd przeniósł się do Szkoły Filmowej w Łodzi. Zadebiutował jako reżyser w 1950 r. Swój pierwszy samodzielny film nakręcił w 1953 r. W sumie stworzył 17 filmów.

KULTURA NAUKA

CRACOVIAE MERENTI 2007

Z końcem października '07 przyznano w Krakowie – jak corocznie – medale „Cracoviae Merenti” (*Zasłużeni dla Krakowa*). W czasie uroczystej XXV Nadzwyczajnej Sesji Rady Miasta Krakowa medale otrzymali: prof. Zdzisław Żygulski jun., Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” oraz Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa. Dwa pierwsze zainteresowały nas szczególnie.

Pierwszym z dekorowanych był Profesor Żygulski, rodowity lwowianin, osiadły po ekspatriacji w Krakowie, związany z muzeami Czartoryskich i Narodowym, autor szeregu książek z zakresu *Broni i Barwy* oraz sztuki Wschodu. Jego wypowiedź po dekoracji przedstawiamy nieco niżej.

Oto laudacja, wygłoszona przez Prezydenta Miasta prof. dra Jacka Majchrowskiego na cześć Profesora Z. Żygulskiego:

Panie Przewodniczący! Dostojni Laureaci!
Wielce Szanowni Państwo!

Stołeczne Królewskie Miasto Kraków pragnie dziś wyrazić głęboki szacunek jednemu z najwybitniejszych uczonych, nestorowi polskiego muzealnictwa, polskiej historii sztuki i badań nad sztuką Orientu, Panu Profesorowi Zdzisławowi Żygulskiemu. Bez wątpienia czynię to również w imieniu pokoleń miłośników sztuki, w imieniu całego środowiska naukowego, akademickiego, zwłaszcza zaś Muzeum Narodowego, które mogą pogratulować sobie długoletniej, trwającej od 1949 roku współpracy z Profesorem.

Profesor Zdzisław Żygulski, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych i Uniwersytetu Jagiellońskiego, niezastąpiony kustosz Zbrojowni, niezawodny opiekun bezcennej kolekcji Książąt Czartoryskich, wniósł niepodważalny wkład w rozwój polskiej nauki i kultury. Wiele jest dziedzin, którym nasz znakomity Laureat poświęca uwagę, a w każdej

może poszczycić się wybitnymi osiągnięciami, udokumentowanymi w licznych publikacjach.

Muzealnictwo, historia uzbrojenia i kostiumologia, leopolitana, Czartoryscy, Orient, a szczególnie sztuka Islamu na Bliskim Wschodzie – żeby dokładnie przybliżyć krąg zainteresowań Profesora Żygulskiego, musielibyśmy w tym miejscu odczytać w całości kilka rozdziałów ponad 40 tekstów Księgi Jubileuszowej wydanej przez Muzeum Narodowe, dedykowanej mu przez współpracowników i uczniów. Bibliografia prac znakomitego Laureata obejmuje ponad 30 wydawnictw książkowych, ponad 200 artykułów, rozpraw i esejów wydrukowanych w czasopismach polskich i zagranicznych. „Dzieje zbiorów puławskich. Świątynia Sybilli i Dom Gotycki”, „Broń w dawnej Polsce na tle uzbrojenia Europy i Bliskiego Wschodu”, „Muzea na świecie”, „Broń wschodnia”, „Sztuka turecka”, „Hetmani Rzeczypospolitej” – to tylko kilka z ważniejszych tytułów. Profesor Żygulski jest też między innymi twórcą koncepcji i współautorem wyjątkowej monografii „Muzeum Czartoryskich. Historia i zbiory”. Jako wybitny muzeolog Profesor Żygulski zasłynął również szeregiem znakomych wystaw urządzanych w kraju i promujących polską kulturę za granicą. Wymienić tu trzeba koniecznie wawelską ekspozycję poświęconą Odsieczy Wiedeńskiej, pokazywaną w Japonii jako wystawę „Złoty Wiek Polski”, oraz „Skarby z Polski”, które odwiedziły Stany Zjednoczone i Kanadę. Warto wspomnieć, że od prezentacji tej ostatniej w Chicago rozpoczęły się starania o odzyskanie nielegalnie wywiezionej z kraju kopii Szczerbca. Od 2003 roku w znacznej mierze dzięki profesorowi można podziwiać ją w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Profesor Żygulski, ekspert UNESCO, międzynarodowy ekspert w dziedzinie sztuki polskiej i orientalnej, Prezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Broni i Historii Wojskowej, brał udział w pracach wielu prestiżowych, krajowych i międzynarodowych organizacji, między innymi: Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Polskiej Akademii Nauk, Polskiego Narodowego Komitetu Międzynarodowej Rady Muzeów oraz Międzynarodowego Komitetu i Kongresu Sztuki Tureckiej. Nasz znamienity Laureat zdobył również uznanie jako wspaniały pedagog. Przez 30 lat wykładał w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, a od 1973 roku pozostaje związany z Uniwersytem Jagiellońskim, wykładał też między innymi w Nowym Jorku. Organizator i uczestnik licznych kongresów, konferencji naukowych, twórca scenariuszy filmów o sztuce polskiej, od wielu lat pozostaje

nieustrudzonym i niezrównanym popularyzatorem wiedzy o sztuce i historii sztuki.

Profesor Żygulski, wszechstronny humanista, należy do wąskiego i coraz mniej licznego grona uczonych o tak rozległej wiedzy. Szczęśliwie dla nas intensywnie pracuje, organizuje wystawy, uczestniczy w pracach gremiów doradczych, pisze i publikuje, sprawiając radość nie tylko specjalistom, ale i zainteresowanym przedmiotem amatorom. Imponujący dorobek Profesora Żygulskiego, osiągnięcia edukacyjne, popularyzatorskie i łączące się w dużej mierze z Krakowem, zasługują na szacunek i uznanie, które pragniemy dziś wyrazić honorując znakomitego uczonego Medalem „Cracoviae Merenti”.

Panie Profesorze! Proszę przyjąć go wraz z serdecznymi gratulacjami i życzeniami wielu kolejnych sukcesów w dalszej owocnej pracy, jakże cennej dla miasta i dla rozwoju kultury polskiej.

Wypowiedź profesora Zdzisława Żygulskiego

Szanowny Panie Przewodniczący i Senatorze! Szanowni Zebrani! Panie Rektorze! Panie Prezydencie! – szczególnie Panu chciałbym podziękować za piękne słowa, których słuchałem z niejakim zdziwieniem, gdyż w pewnym wieku człowiek jest zwrócony raczej do wewnątrz i to, co słyszy z zewnątrz, jest czasem zaskakujące. Czy to możliwe, żebym aż tyle spraw i rzeczy zrealizował?

Przede wszystkim dziękuję Krakowowi słowami Fredry: „Wielki splendor na mnie spływa, moja Pani Miłościwa”. Kraków w wersji polskiej jest męskim rzeczownikiem, ale po łacinie jest kobietą – Cracovia.

Proszę Państwa, moje życie podzieliło się na dwie, zresztą nierówne części, gdyż rostem i wychowałem się we Lwowie, życie zaś dojrzałe spędziłem w Krakowie, nigdy nie opuszczając tego miasta, mimo pokus i miraży czegoś wspanialszego. W Krakowie pozostałem, tu też były korzenie mojej rodziny, spokrewnionej nawet z prezydentem Juliuszem Leo. Czute słowa o Krakowie nie schodziły z ust mego ojca, Zdzisława seniora.

Tak się złożyło, że w roku 1936 miałem okazję po raz pierwszy zobaczyć to legen-

darne miasto. W czerwcu tego roku, z wycieczką uczniów III Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie, miałem się przyczynić do usypania Kopca Piłsudskiego. Pamiętam ten dzień, upalny i nieco duszny (może wiał halny wiatr), kiedy ujrzelśmy Planty i Barbakan wraz z Floriańską Bramą, ale od razu autobusem przewieziono nas na Sowiniec. Kopiec był dopiero w jednej trzeciej wysokości zbudowany i chodziło o to, aby nasypać jak najwięcej ziemi. Wszystko było świetnie zorganizowane, pomosty z desek i taczki. Udało mi się trzy taczki wyciągnąć na wierzch tego kopcowego płaskowyzu. Ale nasz program był bogaty – rozpisany na trzy dni. Rozpoczęliśmy zwiedzanie Krakowa od Wawelu. Wawel był zawsze najważniejszy, a więc katedra i groby królewskie, i Zamek. Pamiętam wystawę urządzoną przez kustosz Stanisława Świerza Zaleskiego, który potem skarby wawelskie ratował w czasie wojny, a więc arras, Szczerbiec i chorągwie tureckie zdobyte pod Wiedniem, i wiele innych pamiątek narodowych.

Przyszła mi wtedy do głowy niezwykła myśl, aby się odłączyć się od grupy wycieczkowej i zbiec do Wisły. Profesorowi, który się nami opiekował, powiedziałem, że muszę na chwilę opuścić kolegów. Ile sił w nogach pędziłem z góry ku Wiśle. Na wybrzeżu stały liczne ubogie domki żydowskie, ale rzeka była czystutka, niebieska i ciepła. Zanurzyłem w niej dłoń. Był to mój osobliwy, krakowski „chrzest”.

Potem odwiedziliśmy Sukiennice i długo staliśmy przed „Hołdem Pruskim”. Wydał się nam najwspanialszym w świecie obrazem, przewyższającym nawet „Pochodnie Nerona”, sławione też z tego powodu, że zapoczątkowały Muzeum Narodowe. W Muzeum Czartoryskich oprowadzał nas pan Leon Szyszka, w jednej osobie strażnik Pałacu, klucznik i przewodnik. Zatrzymywał się przed rozmaitymi obiektami i mówił tak dobitnie i przekonująco, że do dziś pamiętam jego słowa. Bardzo zastużył się podczas wojny, ukrywając przed Niemcami skarby.

Trzeciego dnia pojechaliśmy do Wieliczki, do tego solnego cudu świata. Kupiłem wtedy figurkę wyrzeźbioną w soli, w triumfie przywoziłem ją do Lwowa. Ku mojej rozpaczy została rozkruszona i wrzucona do garnka w czasie wojny, kiedy soli nie było.

Taki był Kraków w roku 1936. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że rychło wszystko się odmieni i przewróci i że właśnie w Muzeum Czartoryskich przepędzę całe swoje dojrzałe i zawodowe życie! Wojnę przetrwałem we Lwowie. Nigdzie nie chciałem uciekać, kierując się nieco złudnym przekonaniem, że dom rodzinny jest najtrwalszą fortecą. Dnia 4 września otrzymałem powołanie do wojska, do 19. pułku piechoty na Lwowskiej Cytadeli. Miałem tej fortalicji austriackiej bro-

nić przed hitlerowskim najazdem. Ponosiliśmy klęskę. Już 17 września nasz kapitan zawołał nas i powiedział: – Chłopcy, dla was się wojna skończyła, idźcie do domu, bolszewicy uderzyli na nas od wschodu... Do domu miałem niedaleko, zaledwie dwie ulice, ale wojna dla nas bynajmniej się nie skończyła. Podczas okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej próbowałem się uczyć, studiować, a nasz dom był miejscem wielkiej patriotycznej konspiracji. Moja matka kolportowała tajne biuletyny, a mój starszy brat, Kazimierz, był ważnym członkiem delegatury Rządu Polskiego na wychodźstwie, jako przewodniczący Sądu Kapturowego. W roku 1944 ożeniłem się z Ewą, córką wybitnego architekta, Romana Voelpla. Z Ewą wstąpiliśmy do Armii Krajowej. Przybrałem pseudonim „Nik”. Sytuacja była jednak beznadziejna. Zostaliśmy Stalinowi sprzedani przez naszych sojuszników. Z Londynu nadchodziły rozkazy, że należy się dekonspirować, wyjść na ulice z chorągwiemi, w pełnym rynsztunku i powiedzieć wkraczającym bolszewickim oddziałom, że my jesteśmy tutaj panami. Wszystko to przybrało obrót tragiczny. Mój brat został aresztowany wraz z innymi członkami Delegatury i skazany na piętnaście lat katongi. Byłem poszukiwany przez NKWD i przez trzy miesiące ukrywałem się u przyjaciół. Wreszcie z początkiem stycznia roku 1945 pan Andrzej Bruchnański ułatwił mi wyjazd wraz z Ewą na zachód, do Polski. Dotarliśmy do Rzeszowa, a front zimowy wciąż trwał na linii Dębicy. W połowie stycznia ruszyła kolejna ofensywa sowiecka, 18 stycznia bez walki opanowany został Kraków.

Niepowstrzymanym potokiem parła na zachód Czerwona Armia, tysiące samochodów, ogromne amerykańskie „studebakery” i przaśne odkryte sowieckie ciężarówki. Po-



stanowiliśmy skorzystać z tego transportu, gdyż innego nie było. Pozwolono nam usiąść na wierzchu auta przykrytego brezentem. Pod nim jechały miny talerzowe, służące do zwalczania czołgów. W darze dla Krakowa wieźliśmy ogromną, wędzoną na czarno wielkanocną szynkę, a dla naszego żołdaka-kierowcy – litr spirytusu. Był to czwarty dzień lutego roku 1945. Ustępował już siarczysty mróz i zaczynała się odwilż, lekkie chnienie przedwiośnia. Żołnierz kazał nam wysiąść na Dębnikach. Most był wysadzony, ale na grubym lodzie Wisły położono deski, po których przepawiliśmy się na lewy brzeg. W kamienicy przy ul. Dietla 11, na drugim piętrze, czekała na nas pani Irena Stebnicka, ciotka mojej żony, i jej córka Marta. Padliśmy sobie w objęcia. Z okien widać było Wawel. Z baszty senatorskiej powiewała długa, bardzo długa, biało-czerwona flaga.

Kronika

◆ Drugie z odznaczonych medalem „Cra-coviae Merenti” było Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie, wywodzące się, jak wiemy, z powstałego przed 140 laty TG we Lwowie. W imieniu krakowskiego „Sokoła” odznaczenie przyjął jego prezes, druh Konrad Firlej. Opis uroczystości jubileuszowych 140-lecia zamieszczamy w innym miejscu tego numeru CL.

Trzecim z odznaczonych był Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa.

◆ Z końcem października ub. roku Zwierzy-niecki Salon Artystyczny w Krakowie zorganizował wystawę malarstwa pt. *Portret własny na tle Krakowa*. Zarówno wystawa, jak i wernisaż, wzbogacony o własne recytacje wierszy autorów, **nie obył się bez istotnego udziału lwowian**. Oto współautorem koncepcji i twórcą malarsko-poetyckiego pamiętkowego prospektu był art. mal. Stefan Berdak (pisaliśmy już o nim), część poetycką prowadził zaś Wiesław Krawczyński (w poprzednim numerze CL były jego *Rozmyślenia*). Gośćmi krakowskiej wszak imprezy byli w dużej mierze lwowianie – zauważyliśmy m.in. p. Wandę Macedońską (patrz omówienie jej albumu w CL 3/07) z mężem, prof. Władysławem Zalewskim (ze słynnej rodziny lwowskiej). Na fortepianie grała i śpiewała

Barbara Brzezińska – m.in. lwowskie piosenki.

◆ W ostatniej dekadzie listopada '07 – jak co dwa lata – odbyła się w krakowskiej Akademii Pedagogicznej IX Międzynarodowa Konferencja Naukowa pt. *Kraków–Lwów. Książki, czasopisma, biblioteki XIX i XX wieku*. Imprezy te, a potem ukazujące się tomy prezentujące całość dorobku sesji, regularnie opisujemy.

Na tegoroczne obrady złożyło się 78 referatów, przy czym Lwowa dotyczyło 29 (w tym 1 odnosił się do Stanisławowa); Lwowa i Krakowa łącznie (bądź *Galicji*) – 13, a samego Krakowa 27. Pozostałych 9 przedstawiało problematykę ogólnopolską lub niepolską. Zauważamy więc z satysfakcją, że polski Lwów nadal budzi największe zainteresowanie wśród uczestników konferencji. Streszczenia najważniejszych i najciekawszych referatów przedstawimy naszym Czytelnikom w najbliższych numerach CL.

Konferencji towarzyszyła wystawa *Prasa polska we Lwowie ze zbiorów Lecha Kokocińskiego z Warszawy*. Zwracały uwagę bogactwo i różnorodność ekspozycji, tym bardziej że stanowiła ona podobno niewielką część kolekcji jej właściciela. Poniżej podajemy streszczenie wypowiedzi dr. Grzegorza Niecia.

LEOPOLITANA W ZBIORACH LECHA KOKOCIŃSKIEGO WARSZAWSKIEGO BIBLIOFILA I KOLEKCJONERA

Lech Kokociński (ur. 1944) jest jednym z bardziej znanych i aktywnych współczesnych bibliofilii i kolekcjonerów polskich. Przez wiele lat głównym przedmiotem jego naukowych i zbierackich zainteresowań była numizmatyka, jednakże ostatnie dwudziestolecie jego działalności to przede wszystkim tematy lwowskie. Powstała kolekcja pokaźnych rozmiarów, zróżnicowana tematycznie i chronologicznie. Obejmuje ona książkę i różnego rodzaju wydawnictwa lwowskie i Lwowa dotyczące – archiwalia i dokumenty życia społecznego, numizmatykę i falerystykę oraz ekslibris, żmudnie i wytrwale gromadzone przez lata, kompletowane i nierzadko poddawane kompleksowej renowacji. Szczególną wartość, także naukową, stanowią zespoły eksponatów dotyczące konkretnej instytucji (np. Towarzystwa Strzeleckiego, Lwowskiego Towarzystwa Miłośników Książki) bądź znanych bibliofilii lwowskich, m.in. Aleksandra Czołowskiego, Rudolfa Mękickiego, Mieczysława Opałka. Nie ma tu oryginalnych druków i medali, rzadkich książek, rękopisów i interesujących a nieznanych dokumentów, ukazujących bogactwo polskiego życia umysłowego, kulturalnego i towarzyskiego Lwowa XIX i XX wieku.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Nasi Czytelnicy na pewno z dużym zainteresowaniem i satysfakcją przeczytali w CL 4/06 wywiad Janusza M. Palucha z **dr Karoliną Grodziską**. Rozmowa w większości była poświęcona przygotowywanej wtedy *Księżce cytatów o Lwowie* (wcześniej Autorka wydała podobną o Krakowie). Oczekiwaną książkę wysłała wreszcie z druku z końcem roku 2007. Wreszcie, bo trudności – całkiem formalnych – miała Autorka i Wydawnictwo „Universitas” niemało, mowa była o nich we wspomnianym wywiadzie. Szczęśliwie wszystkie problemy zostały pokonane, a gruby tom zatytułowany ***Miasto jak brylant*** z ponad 500 stronami tekstu (nie licząc wyjaśniającego wstępu, indeksów i ilustracji) znalazł się w końcu w naszych rękach. W książce jest ponad tysiąc cytatów, krótszych i dłuższych, autorstwa około 600 osób, lub z tekstów z różnych epok – od średniowiecza po czasy nam współczesne. Dla nas szczególnym powodem do dumy jest parokrotne przytoczenie fragmentów z artykułów zamieszczonych w ciągu paru-nastu lat w „Cracovia-Leopolis”.

Całość księgi została podzielona na 25 rozdziałów ujętych w dwóch częściach: I. Lwów, II. We Lwowie. Pierwsza ujmuje dzieje miasta i jego polskiej społeczności, zamykając się między rozdziałami: *Tarcza i mur przeciw wrogim poganom*, a *Przed zatrzaśniętą bramą mego miasta*. Druga część to kultura miasta poprzez wieki rozwoju, jego położenie, zażytki, instytucje. Czytamy o Wysokim Zamku, o Rynku Lwow-



skim, o kościołach, murach i bramach, o pomnikach i cmentarzach. Osobne rozdziały traktują o Uniwersytecie, Ossolineum i lwowskim teatrze.

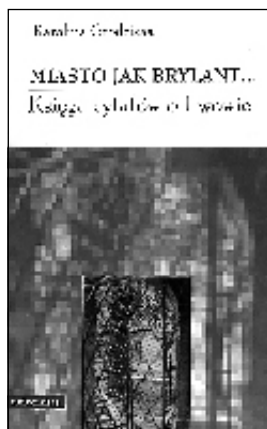
Książka Karoliny Grodziskiej jest znakomitym dokumentem polskiej historii i kultury Lwowa, jego ludzi i tradycji miasta, którego rolę w dziejach naszego kraju i państwa – obok Krakowa, Warszawy, Wilna czy Poznania – trudno przecenić. Dr Grodziska oddała do rąk profesjonalistów i zwykłych (lecz kulturalnych) czytelników dzieło niezwykłe.

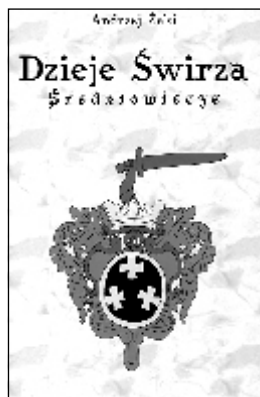
Na stronie 1. niniejszego numeru zamieszczamy kilka cytatów, które na pewno zachęcą Czytelników do poznania wypowiedzi ludzi wielkich, średnich i małych o naszym mieście.

📖 I druga książka **Karoliny Grodziskiej**, tym razem mniejszego (wymiarowo) formatu. Autorka artykułu o lwowskiej rzeźbiarce J. Reichert, opublikowanego niedawno w CL (3/07), ofiarowała nam swoją pracę pt. ***Jani-na Reichert-Toth (1895–1986). Początek drogi artystycznej***. K. Grodziska rozwija w książce wątki znane nam w części z wymienionego artykułu, dowiadujemy się wielu nowych szczegółów z życia artystycznego i osobistego artystki. Jeśli chodzi o czas, treść książki dochodzi do połowy lat trzydziestych minionego wieku.

Dodatkową wartością książki są liczne zdjęcia rzeźb i samej twórczyni – tych ostatnich zabrakło nam w artykule. Jedno z nich wykorzystujemy powyżej.

Pani dr Karolinie serdecznie dziękujemy.





📖 O związkach znanego archeologa **prof. Andrzeja Żakiego** ze Świrzem pisaliśmy niejednokrotnie na tych łamach w ubiegłych latach. Teraz ukazała się napisana przezeń historyczna monografia jego rodzinnej miejscowości: **Dzieje Świrza. Średniowiecze** (Wydawnictwo „Edytor”, Legnica, zapewne 2007). Autor już na wstępie zapowiada,

że po tym tomie nastąpią dalsze części monografii.

Przypomnijmy, że Świrz leży w odległości około 40 km na pd. wschód od Lwowa, nad rzeczką tak samo się zwołującą, dopływem Dniestru (o Świrzu pisaliśmy w *Słowniku* w CL 2/2000). Ciekawe jest pochodzenie owej nazwy. Spotyka się ją (lub o podobnym brzmieniu) na znacznym obszarze – od środkowej Wisły i Bugu po Pokucie. Można przeto na tej podstawie wnosić, że mamy tu do czynienia z nazwą lechicką – lędziańską, jednak jej źródłosłów nie został rozpoznany.

Kwestia zamieszkania Świrza i jego okolic w średniowieczu – za czasów panowania ruskiego i po powrocie tych ziem do Polski w XIV wieku – jest dość zawiła. Prof. Żaki rozważa na podstawie nader ubogich źródeł kilka możliwości. W każdym razie ok. połowy XV w. na rzadko zamieszkałe, lesiste tereny napływali Wołosi, którzy należeli do przybywających z południa pasterzy wołoskich, osiedlających się głównie w Karpatach i u ich stóp, a także miejscami bardziej na północ. Do takich miejsc należał właśnie Świrz. Prócz Wołochów była tu ludność polska – katolicka. O ludności ruskiej nie wspominają ówczesne źródła zupełnie. Ta zaczęła napływać w XV wieku, łącząc się z Wołochami na gruncie prawosławia.

Z końcem XIV wieku Świrz należał do dóbr, których centrum stanowił pobliski Romanów, własność rodu Saławitów (od herbu Saława). Ród ten przybrał z czasem nazwisko Świrskich. W ostatniej ćwierci XV w. Andrzej i Marcin Świrscy dokonali fundacji kościoła katolickiego w Świrzu.

Dalej autor przechodzi do spraw bardziej szczegółowych, dotyczących Świrza:

topografii, stosunków społecznych i gospodarczych, obrony przed wrogami.

Monografia historyczna Świrza – zwłaszcza gdy ukaże się następny tom (czy tomy) – niezwykle wzbogaca zakres opracowań o miastach i miasteczkach oraz ważniejszych wsiach Małopolski Wschodniej. Mamy ich niewiele. W tej dziedzinie liczyliśmy – i nadal liczymy – na planową akcję w ramach Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Opracowania, o jakich tu mówimy, powstają dotąd „z dobrej woli” osób zaangażowanych emocjonalnie w historię bliskich im miejscowości, a tworzone są w dużej mierze i wydawane własnym sumptem. Należą się za to – zarówno historykom profesjonalnym (jak w wypadku omawianej pracy), a także nieprofesjonalnym – gorące podziękowanie. Pozostaje jednak pytanie: czy to jest jedyna droga do pozyskania obrazu wielowiekowej historii i kultury ogromnej części naszego kraju tylko dlatego, że przed sześćdziesięciu paru laty z woli agresorów zostały one nam zabrane?

📖 Książka, o której tu piszemy, nosi tytuł **Zbrojne ramię Miasta Lwowa** i podtytuł **Oddziały lwowskie walczące na Zachodzie podczas drugiej wojny światowej**. Autorem jest **Kazimierz Piotr Kapuściński**, ale nie podano, gdzie i kiedy tomik się ukazał. Domyślamy się, że to wydawnictwo londyńskie, bo przedmowę napisał Józef Baraniecki, nieżyjący już prezes londyńskiego Koła Lwówian. Zmarł w latach 80. minionego wieku, pozycja zatem ukazała się wcześniej (ale dostaliśmy ją całkiem świeżo).

Autor poświęca swoją książeczkę pamięci Józefa Kapuścińskiego, który – jak dobrze pamiętamy z historii Lwowa – wraz z Teofilem Wiśniowskim został stracony przez Austriaków w 1848 r. Obaj byli przywódcami powstania narodowego w Galicji w czasie „Wiosny Ludów”, a wzniesienie na Kleparowie, gdzie ich powieszono, nazwano **Górą Stracenia**, a nazwę tę – my Polacy – używamy po dziś dzień. Stoi tam pomnik, niszczone przez sowietów, lecz w części przywrócony do dawnego stanu.

Whosimy przeto, że autor jest potomkiem Józefa Kapuścińskiego, bohatera lwowskiego sprzed ponad półtora wieku.

Książeczka (formatu A5, 120 stron) zawiera opisy polskich oddziałów, które wyszły na Zachód ze Lwowa lub kontynuowo-

wały tradycje lwowskich i wschodniomałopolskich formacji wojskowych, opisuje ich bitwy. Teksty przeplatają się z wierszami różnych autorów, z opowieścią o Chórze WP i o wojennej działalności „Wesołej Lwowskiej Fali”. Wszystko bardzo ciekawe.

📖 Słyszeliśmy już od pewnego czasu o pracy poświęconej polskiej społeczności Buczcza i Ziemi Buczackiej, w skład której wchodzi – poza samym Buczaczem – tak ważne dla naszej historii i kultury miejscowości, jak Monasterzyska, Potok Złoty, Koropiec, a przede wszystkim Jazłowiec i jeszcze wiele innych miasteczek, wsi, majątków ziemiańskich. I oto doczekaliśmy się: ukazała się gruba księga (660 stron), zawierająca ponad 10 200 haseł – nazwisk ludzi, którzy tu spędzili całe życie czy część swego życia. Książka nosi tytuł: **Życiorysy Buczaczan**, a jej autorem jest rodowity buczaczanin, **Władysław Szklarz**, zamieszkały dziś we Wrocławiu. Wydawcą i fundatorem pracy jest Oddział Buczacz przy Tow. Miłośników Lwowa i Kresów Płd. Wschodnich (Wrocław 2007).

Trzeba podziwiać nie tylko ogrom pracy autora, ale jego determinację. Dr Szklarz zrobił to, co powinni uczynić ekspatrianci ze wszystkich miast i powiatów zabranych nam Ziemi Wschodnich: utrwalić nazwiska i żywoty rodzin i ludzi, które i którzy tam żyli, rozradzali się, budowali polską kulturę i tradycję, bronili nie tylko swojej najbliższej ziemi, ale całego kraju, a w końcu – w wieku totalitaryzmu – zostali stamtąd wypędzeni w imię wyższych racji politycznych, rozpraszając się po nowej Polsce i całym świecie.

W ostatnich latach wydano w kraju sporo podobnych materiałów, głównie w formie serii zeszytów, dotyczą one jednak pewnych grup społecznych. Tak uczyniono w Lublinie, w Poznaniu – chwała im za to, jednak praca dra Szklarza przerasta wszystkie nie tylko ilościowo, także wkładem pracy. Autor zbadał wiele dokumentów, objechał cmentarze, odczytując zachowane napisy na nagrobkach, zbierał informacje od ludzi, np. o nieżyjących, zaginionych w wojnach, deportacjach, emigrantach itd.

Jest to więc praca nadludzka, dlatego na dalszy plan schodzą pewne błędy, braki i nieścisłości, których na pewno nie dało się uniknąć.

Z błędów merytorycznych rzuciły mi się w oczy hasła dotyczące dobrze mi znanej rodziny Horodyskich z Trybuchowic – nastąpiło tam pomieszanie kilku informacji dotyczących różnych osób. Myślę, że w innych miejscach są one mniej dotkliwe.

Wymienione (i inne) braki nie zmieniają mojego uznania dla dzieła dra Szklarza. Trzeba mu wyrazić podziękowanie, a innym postawić jako przykład do naśladowania.

Prosiłby się – co pewnie w naszym czasie już mało możliwe – drugi tom, oparty na żmudnych badaniach naukowych, dotyczący dawnych wieków (mały lapsus stylistyczny w przedmowie w zdaniu na str. 10: ...*staram się udowodnić na podstawie dokumentacji ich obecność na tych ziemiach już od roku 1872*. Prawdziwiej i bardziej zrozumiale byłoby: ... *d o p i e r o* *o d r o k u 1872*, ponieważ Polacy byli tam obecni – o czym autor pisze wcześniej – od wielu wieków). (AC)

📖 Wielką zasługę ma p. **Marek Gierczak**, autor świeżo wydanej monografii jego rodzinnej miejscowości pod Samborem, pt. **Dzieje wsi Strzałkowice**. Książkę – dzięki świadomym działaczom ze Stowarzyszenia Pomocy Polakom ze Wschodu w Koszalinie i kilku innym darczyńcom – wydała Dyrekcja Zespołu Szkół Niepublicznych „Czapłówka” w Koszalinie (2007).

Autor porusza wiele wątków historii i kultury tej prapolskiej wsi, od prehistorii poczynając. Szczególnie ważne są uwagi o mieszkańcach tamtej Ziemi z czasów przed najazdem ruskim w 981 r. – są podstawy do przypuszczeń, że Samborszczyznę, tak jak wszystkie ziemie w górnych biegach Dniestru, Sanu i Bugu zamieszkiwali Lędzianie, lud zachodniosłowiański.


W tym miejscu mielibyśmy uwagę: autor pisze o ludności ruskiej, zamieszkującej Karpaty, która pod względem antropologicznym przedstawia ciekawy typ, wyróżniający go cechami fizycznymi i duchowymi od reszty ludności ruskiej w dolinach. Chodzi tu oczywiście o Bojków i Łemków.



Odpowiedź jest oczywista: Huculi, Bojkowie i Łemkowie nie są Rusinami z pochodzenia, lecz Wołochami z południowych Karpat (z domieszką krwi węgierskiej), którzy przez wieki wędrowali górami ze swymi stadami w poszukiwaniu dogodnych pastwisk. Doszli, jak wiemy, w rejony sądeckie, a będąc prawosławnymi, związali się z konieczności z prawosławnymi Rusinami (jeszcze przed unią). Doprowadziło to do daleko idącej rutenizacji owych przybyszów z południa. O ich odmiennym pochodzeniu świadczą także ich stroje i muzyka, inne niż „ukraińskie”, nazwy wielu szczytów górskich itd.

Wracając do książki: M. Gierczak porusza kolejno różne aspekty historii i kultury Strzałkowic: dzieje rzymskokatolickiej parafii, architekturę i dzisiejsze wyposażenie kościoła parafialnego oraz kościółka św. Barbary, zachowane zabytki wiary i polskości oraz polski folklor i obyczaje, życie organizacyjne współczesnej polskiej społeczności. A w ramach tych tematów mnóstwo szczegółów zebranych od ludzi i szczęśliwie utrwalonych dla następnych pokoleń.

W naszym piśmie z satysfakcją notujemy inicjatywy działań wspomnieniowo-dokumentacyjnych, zarówno ze strony pozostałych w rodzinnych stronach, jak i ekspatriantów rozproszonych po całej RP, lecz zachowujących więź z Ziemią Ojców – zwłaszcza jeśli chodzi o mniejsze miejscowości. Prace, jakie powstają na temat Strzałkowic czy Bukaczowiec – to są przykłady do naśladowania, nie tylko dla profesjonalistów.

 *Pozwalamy sobie przedrukować z „Gazety Krakowskiej” z 29 IX '06 omówienie bardzo ważnej i potrzebnej książki*, której przeczytanie dla wielu osób – zwłaszcza dla tych, którzy wydarzenia w niej opisane przeżyli osobiście lub byli nich blisko – przekracza możliwości psychiczne. Ta książka, czy się to komu podoba, czy nie, powinna zostać przetłumaczona na język ukraiński i za jałtańskim kordonem rozpowszechniona (oczywiście nie przez tamtejsze księgarnie).*

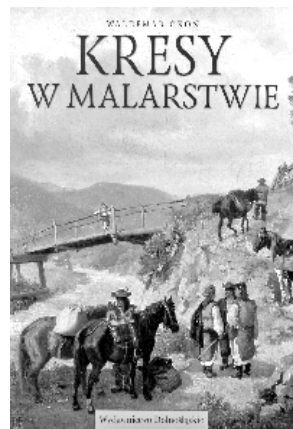
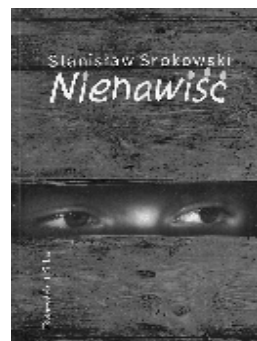
Nienawiść, książka **Stanisława Srokowskiego**** to literatura nietatwa. I to bynajmniej nie z powodu komplikacji formalnych. Przeciwnie, zawarte w tym tomie opowiadania mogłyby posłużyć za wzór przejrzystości stylu. Gdyby nie ich treść,

można by powiedzieć, że dobrze się je czyta. Jednak chwilami aż chciałoby się rzucić tą książką w odruchu sprzeciwu. Współczesny czytelnik odwykły od takiej lektury. Wojenna rzeczywistość na dawnych polskich Kresach, jak ją opisuje Srokowski, w każdym normalnym odbiorcy musi obudzić przerażenie. Autor nie ucieka od okrucieństwa, choć go też specjalnie nie szuka. Ono po prostu w tych opowieściach jest, naturalne jak jedzenie i codzienna krzątania wołyńskich czy podolskich wieśniaków. Tą samą siekierą w dzień ukraiński chłop rąbie drewno na opał, a w nocy swych polskich sąsiadów.

Mimo wszystko mamy do czynienia z książką, którą powinno się przeczytać. Jej autor próbuje ocalić tę część naszej zbiorowej świadomości, której nie możemy amputować ani w imię pojednania, ani tym bardziej – doraźnej politycznej poprawności. Srokowski zresztą najdalszy jest od jątżenia, rozpalania na nowo ognia pod kółkiem narodowej nienawiści. On jedynie nie pozwala o tej nienawiści zapomnieć, aby pogrzebana była jak, nie odżyła na nowo.

Nie można też Srokowskiemu zarzucić oceny rzeczywistości według nacjonalistycznego szablonu. Oprócz niemieszczących się w głowie ukraińskich okrucieństw mamy tu więc także piękne, a nawet heroiczne postaci Ukraińców, jak choćby bohaterka opowiadania „Olena”, która woli śmierć niż wyparcie się swego polskiego męża. Obok polskich ofiar i cierpień znajdziemy też porażający opis bezmyślnej polskiej zemsty w opowiadaniu „Odwet”.

Autor, który dzieciństwo przeżył na Wołyniu, zdawał sobie sprawę z siły rażenia swych kresowych opowieści, bo uznał za konieczne opatrzyć je postłowiem o pojednawczej wymowie. Czytamy w nim: Są



to wydarzenia i sytuacje prawdziwe. One na pewno się zdarzyły... Nie mamy powodu, by w to nie wierzyć. Jednak boję się, że tak zwane kręgi opiniotwórcze będą udawać, że nie zdarzyło się nic takiego, jak „Nienawiść” Stanisława Srokowskiego. Świadczyłaby o tym głucha cisza, jaka przywitała jej ukazanie się przed ponad miesiącem***. To może martwić. Jeśli umiarkowani zwolennicy pojednania i politycznej poprawności spróbują tę książkę przemilczeć, może ona posłużyć za argument fanatykom. A tych wciąż nie brakuje ani po polskiej****, ani po ukraińskiej stronie.

* *Ukraińskie widma*, autor recenzji Marek Lubaś Harny.

** Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Kraków 2006.

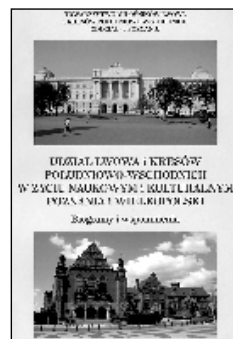
*** Powyższy tekst ukazał się w GK przed rokiem.

**** Tu nie zgadzamy się z Autorem. Kim mają być ci „polscy fanatycy”? Nietrudno natomiast zauważyć przedstawicieli owych „kręgów opiniotwórczych”, o których mowa nieco wyżej. Przykład pierwszy z brzegu: M. Wojciechowski z „Gazety Wyborczej”, którego wypowiedzi cytowaliśmy w CL 4.07, w ramce „Naszym zdaniem” na str. 5.

📖 Wydawnictwo Dolnośląskie (Wrocław 2006) przygotowało piękną i ważną książkę – album autorstwa **Waldemara Okonia** pt. **Kresy w malarstwie**. Chodzi tu oczywiście o całe wschodnie Kresy, na które składają się w dzisiejszym rozumieniu ziemie najbliższe – s w o j e – od Wileńskiego z przodu po Karpaty, a dalej ziemie ukraińskie sięgające po Dniepr. Na tym geograficzno-historycznym tle powstał szeroki wachlarz rzeczowy, ujęty w 7 rozdziałów, w których wątki tematyczne podporządkowano historii i historii sztuki, np. *Kresy i malarstwo historyczne*, „*Matka Ukraina*”, *Kresy, typy i bohaterowie*, *Wernyhora i inni*, *Kresy i Monachium* (chodzi o tzw. szkołę monachijską), *Kresy i modernizm polski*.

W książce zamieszczono ponad półtorej setki reprodukcji dzieł malarstwa polskiego, poświęconych Kresom, m.in. E. Andriollego, Napoleona Ordy, J.P. Norblina, L. Wyczółkowskiego, W. Leopolskiego, P. Michałowskiego, M. Gierymskiego, J. Brandta, J. i W. Kossaków, J. Chełmońskiego (*Czwórka!*), A. Orłowskiego, M. Maszkowskiego,

W. Gersona, K. Pochwalskiego, S. Wyspiańskiego, J. Styki, J. Stanisławskiego, F. Ruszczyca, T. Axentowicza, W. Jarockiego, K. Sichulskiego, F. Pautscha, a także kilkanaście reprodukcji J. Matejki, związanych raczej z wydarzeniami historycznymi dotyczącymi Kresów niż z samymi Kresami. Ogólnie więc – kwiat malarstwa polskiego XIX i połowy XX wieku



* Autor cytuje znaczenie słowa „Ukraina” wg *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*: Ukraina to nazwa nie tyle historyczna, ile zwyczajowa, nadawana obszarowi stepowemu Rusi południowej, ogarniającemu dolne dorzecza Dniepru i Bohu. Nazwa to ruska, wszakże bardzo późnego względu pochodzenia. Ukraina to ziemia krańcowa, graniczna, z powodu większego stałe wyężenia czujności obronnej od granicy południowej, uważana wcześniej za wyłącznie ukraińską, a w sensie etymologicznym pierwsi znani byli ludzie ukraińscy, swawola ukraińska niż nazwa Ukraina, która nigdy nie stała się urzędowa jak Wołyń czy Podole. Ukraina to raczej połacie stepowe niż województwa kijowskie i braclawskie, ziemia niczyja, pas oddzielający Europę od Azji, sfera graniczna między cywilizacją opartą na wolności i postępie a tą, którą rządzi zniewolenie człowieka i bezwład raz ustalonych, niezmiennych praw.

📖 Pisaliśmy już wcześniej o kolejnych zeszytach biograficznych, opracowywanych i wydawanych przez Poznański Oddział TMLiKPW. Obecnie ich hasła zostały skomasowane w formie książki zatytułowanej **Udział Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w życiu naukowym i kulturalnym Poznania i Wielkopolski**. Są to biogramy i wspomnienia, zredagowane przez **Juliusza Rozmiłowskiego** (Poznań 2007).

W książce o ponad 200 stronach zamieszczono prawie 90 życiorysów wybitnych osób, które w różnych okresach XX wieku (lata międzywojenne i po ekspatriacji) osiadły w Poznaniu i tam odcisnęły swoje pozytywne piętno. Są to głównie naukowcy, ludzie literatury i sztuki, ale i wybitny generał. Z nazwisk powszechnie znanych: filozof K. Ajdukiewicz, aktorka Krystyna Feldman

(Nikifor!), malarze F. Pautsch (choć w końcu osiadł i zmarł w Krakowie) i S. Teisseyre, pisarz S. Wasylewski, generał Roman Abraham.

Uwzględniono na pewno wszystkie największe nazwiska. Moglibyśmy jednak zasugerować innych jeszcze ludzi kultury, np. profesorów gimnazjalnych Sochaniewicza i Skarbińskiego. W jakimś okresie swego życia działał w Lwowie Roman Wegner (nie Wagner!), wydawca (już głównie w Poznaniu) znakomitych tomów „Cudów Polski”. To on podobno ściągnął do Poznania Stanisława Wasylewskiego.

* * *

Książka o Lwowianach w Poznaniu jest kolejnym przykładem dobrej i ważnej roboty dla utrwalenia pamięci, czym był w Polsce Lwów. My niestety nie zdobyliśmy się na to, choć w naszym kwartalniku omawiamy często (niestety nie planowo) wybitnych Lwówian w Krakowie (było ich ogromnie dużo na wszystkich uczelniach krakowskich, na wysokich stanowiskach miejskich i kościelnych). Wielkie zasługi miał zmarły niedawno dr Zbysław Popławski, pisząc o inżynierach lwowskich w Krakowie. Ale to kropla w morzu. Szkoda.

Ukazała się niewielka rozmiarami, ładnie wydana broszurka pt. **Święć się imię Twoje. Tryptyk Kresowy**. Rzecz napisana przez **Janusza Jaśniaka** (wyd. staraniem Oddziału Śląskiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Katowicach) dotyczy trzech parafii i kościołów, w których duszpasterzuje dobrze nam znany ks. Krzysztof Panasowiec: w Dolinie, Bolechowie i Kałuszu. Pierwszy jest czynny – po czasach sowieckich – od 1991 r., drugi zwrócono rok później, trzeci natomiast, najbardziej

ze wszystkich zdewastowany, oddano w 1999 r., ale daleko idące roboty renowacyjne potrwały aż do przedubiegłego roku. We wrześniu '05 wierni z nowym krzyżem przeszli pieszo 30 km trasą z Doliny do Kałusza, by z powrotem uroczystie wystawić go na kościelnej wieży.



Książeczka o trzech kościołach przynosi ogromną ilość ciekawych informacji z historii dawnej i całkiem współczesnej, które unaczyniają dramat naszego Kościoła na Ziemiach Wschodnich. Kościoła, który przetrwał w sercach Polaków.

Książka **Żołnierze Wołynia**, wydana przed paru laty (wydawca: Światowy Związek Żołnierzy AK – Okręg Wołyński, Warszawa 2002) omawia powojenną działalność żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Dzieli się na pięć części: 1. *Lata 1944–1990*; 2. *1991–2000*; 3. *Przechować pamięć*; 4. *Wezwani do apelu*; 5. *Spis żołnierzy*. Jest to historia przywracania do pamięci tragicznych losów Wołynia i Polaków na Wołyniu w okresie II wojny światowej, widziana poprzez losy i działalność powojenną żołnierzy 27. WDP AK. Dywizja ta posiada w swej historii niezwykle zróżnicowane etapy: walki z Niemcami, prowadzone częściowo we współpracy z armią sowiecką i sowiecką partyzantką; walki z UPA w obronie polskiej ludności; rozbrojenie przez wojska sowieckie w lipcu 1944 pod Lubartowem, z częściowym wcieleniem do armii Berlinga, częściowo z poddaniem represjom NKWD (z wywózkami na Sybir), a później z represjami Urzędu Bezpieczeństwa PRL, aż do procesów z wyrokami śmierci i długoletniego więzienia. Sprawy te oglądamy na tle podejmowanych starań o ujawnienie i odkłamanie historii, o przywrócenie pamięci wydarzeń i ludzi, skazywanych przez dziesiątki lat na zapomnienie. W tym aspekcie jest to pozycja niezwykle cenna, godna szerokiego rozpowszechnienia w środowiskach patriotycznych i przekazywania młodemu pokoleniu, które wciąż jeszcze w podręcznikach historii nie znajduje pełnej informacji o wydarzeniach wojny i okresu powojennego. (DTS)

Wymienione niżej książki jedynie ogłędaliśmy w księgarni, bez możliwości ich przeczytania. Może ktoś z Czytelników, znających te ciekawe wydawnictwa, nadesłałby ich omówienia?

Towarzystwo Straży Kresowej 1918–1927, autorka **Nina Zielińska** (Oficina Wydawnicza „Verba”, Lublin 2006).

📖 **Kresy. Przewodnik**, autorstwa **Aleksandry Górskiej** (wyd. Kluszczyński, Kraków – roku nie podano). Jest to duże album, obejmujący Małopolskę Wschodnią, Podole i Wołyń.

📖 **Tylko we Lwowie**. Słowo wstępne napisał **Zdzisław Żygulski jun.** (wyd. Kluszczyński, Kraków – roku nie podano).

Andrzej Chlipalski (AC)

Danuta Trylska-Siekańska (DTS)

Elżbieta Mokrzyńska

Wertując wydawnictwa

➔ Dzięki uprzejmości dr. Adama Redzika z Warszawy otrzymaliśmy jeden z tomów wydawanego *Słownika biograficznego adwokatów polskich* (tom II, zeszyt 3–4, M–Ż, 2007). Słownik wydawany jest przez Naczelną Radę Adwokacką w Warszawie, redaktorem zeszytu jest dr Leszek Kania przy współpracy dra Adama Redzika. Zawiera 492 hasła, a wśród nich 24 adwokatów było związanych (bodaj urodzeniem, studiami, ale głównie działalnością zawodową) ze Lwowem do 1945 roku. Wydaje się, że proporcjonalnie byłoby ich o wiele więcej, gdyby udało się uwzględnić adwokatów działających w innych jeszcze większych i mniejszych miastach tamtego regionu (przede wszystkim Stanisławów, Tarnopol, Drohobycz, ale również Brody, Brzeżany, Sambor, Stryj, Żółkiew i sporo dalszych). Braki te – zakładając oczywiście, że kolejne nazwiska figurują także w innych tomach Słownika – kładziemy na karb utrudnionego zapewne dostępu do odnośnych materiałów z terenów za wschodnim kordonem. Dlatego właśnie wydawcy **apelują o informacje i materiały, by w dalszym ciągu słownik uzupełniać.**

Wśród wybitnych postaci lwowskiej palectry spotykamy takie nazwiska, jak legendarna postać ze świata kultury Ostap Ortwin, wiceprezydenci Lwowa Filip Schleicher i Leonard Stahl, profesor Ernest Till, burmistrz Starego Sącza Edward Szayer (ur. we Lwowie, ojciec słynnej śpiewaczki Ady Sari).

➔ Krakowska Lwowianka pani Ewa Brodzisz-Śliwicka napisała książkę, niezbyt dużą wymiarami, taką właśnie, jaką powinien

być zbiór opowiadań, pełen ciepła i liryzmu. Książeczka nosi tytuł *Tryptyk starszej pani i inne opowiadania* (Kraków 2007, nakładem własnym w 150 egzemplarzach).

Zbiorek zawiera 15 opowiadań, osnutych na tle własnego życia autorki, na które złożyło się 18 lat we Lwowie, reszta, do dziś, w Krakowie. Z liczby 15 opowiadań, **pięć jest związanych ze Lwowem**, ale z treści pozostałych i ich nastroju

nietrudno wyczuć, iż owe pierwsze 18 lat zaważyły mocno na całym życiu Pani Ewy. Autorka wyznaje, że do napisania książki skłoniły ją wnuki, którym opowiadała to, co później znalazło się w tomiku.

Trzeba od razu powiedzieć, że zawarte w książeczce teksty nie mają charakteru wspomnień *sensu stricto*. Owszem, są fakty, informacje, ale nie ma żadnej chronologii. Autorka opowiada o wakacjach na Huculszczyźnie, o swoim podwórkę, potem o repatriacji (która nie była repatriacją, lecz ekspatriacją, ale tak po wojnie mówiono). Nad wszystkim góruje obserwacja, refleksja i dobra forma literacka, co dotyczy jeszcze bardziej dwóch ostatnich (w cyklu *lwowskim*) opowiadań – *Wspomnienia lwowskie* i *Mój sen o Lwowie*.

EWA ŚLIWICKA, z domu Brodzisz, ur. 1927 we Lwowie. Tamże do 1939 ukończyła I klasę w Gimnazjum im. A. Asnyka. W czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej była łączniczką AK we Lwowie (pseudonim „Irka”). Po ekspatriacji w XII 1945 zamieszkała w Krakowie. Studiowała architekturę na Politechnice Krakowskiej. W 1946 wyszła za mąż, w 1948 urodziła się córka. Od 1976 na rencie inwalidzkiej. Z zamiłowania humanistka, ukończyła Uniwersytet Trzeciego Wieku na UJ, pracę w Kole Literackim kontynuuje nadal. Jako kombatantka II wojny pracuje w Związku Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego.

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 18 X '07 ukazał się obszerny artykuł Pawła Stachnika pt. *Sześć lat w Kazachstanie*, którego bohaterką jest nasza redakcyjna koleżanka **Danuta Trylska-Siekańska**.





Urodziła się w Białokrynicy koło Krzemieńca, gdzie istniała jedna ze szkół wchodzących w skład Fundacji Liceum Krzemienieckiego, wybitnego ośrodka nauki i kultury na terenie Wołynia. Oboje rodzice Pani Danuty byli nauczycielami w szkole rolniczej, ale też działaczami harcerskimi;

ojciec został przed II wojną naczelnikiem Głównej Kwatery Harcerzy, dzieląc życie między Białokrynicy i Warszawę.

Po wybuchu wojny ojciec został zmobilizowany, jednak cały okres wojenny spędził poza krajem, zmarł w Polsce po wojnie. Natomiast matka z czworgiem dzieci została wywieziona do Kazachstanu. Wrócili do Polski w 1946 roku. Danuta skończyła studia w Krakowie, jest inżynierem budownictwa wodnego, przez prawie 40 lat pracowała w dziedzinie meteorologiczno-hydrologicznej.

I przez całe niemal życie – harcerstwo – z przerwą na lata stalinowskie. I zarazem działalność w organizacjach takich jak Związek Sybiraków, Towarzystwo Miłośników Krzemieńca i Ziemi Krzemienieckiej, gdzie przewodniczy kołu krakowskiemu, a wreszcie TMLiKPW i udział w Radzie Redakcyjnej „Cracovia-Leopolis”. W sumie życie bogate i owocne.

➔ W „Niezależnej Gazecie Polskiej” (Warszawa, red. nac. Tomasz Sakiewicz) mieści się zawsze bardzo interesujący *Dodatek specjalny IPN*, zaś w nim, w numerach z 6 VII i 3 VIII '07 znalazły się m.in. **artykuły o lwowskich cmentarzach**: Obrońców Lwowa (autor Marcin Hałaś) i Łyczakowskim (Bohdan Urbankowski), oba ze świetnymi zdjęciami Krzysztofa Hejkego.

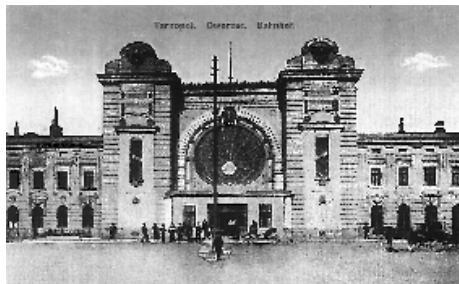
Spośród licznych artykułów, jakie czytamy w gazetach i czasopismach o tych niezwykłych – każdej w swoim rodzaju – nekropoliach, wymienione wyróżniają się szczególnymi walorami merytorycznymi, a zarazem ciepłem. Niestety są zbyt obszerne, byśmy je mogli przedrukować w CL.

Wspomniane artykuły opatrzone są nadtytułem *Cmentarze kresowe*, można się więc

domyślać, że nastąpi seria dalszych opisów. Zachęcamy więc do kupna przytoczonej gazety.

➔ W Katowicach ukazuje się **magazyn poświęcony kolei i modelarstwu kolejowemu**, zatytułowany „Koleje małe i duże”. W numerze 2/05, który niedawno nam udostępniono, znajdujemy artykuł autorstwa Ryszarda Stankiewicza o nieprostym tytule: *Lwów–Krasne–Brody / Tarnopol–Podwoleczyska*. Obszerny i bogato ilustrowany cennymi zdjęciami, starymi rozkładami jazdy oraz mapami tekst omawia rozdwajającą się linię kolejową ze Lwowa do granicy Rosji, potem ZSRR. Obie gałęzie budowano w latach 60. i 70. XIX wieku: linię przez Tarnopol do granicy w Podwoleczyskach / Wołoczyskach oddano w r. 1867, zaś do Radziwiłłowa przez Brody w 1873 r. Linie rozgałęziały się w Krasnem (blisko za Zadwórzem).

Przypomnijmy na koniec, że *CK Uprzywilejowana Kolej Galicyjska Karola Ludwika* dotarła do Lwowa od strony Przemyśla w roku 1861. W następnych latach budowano liczne rozgałęzienia na wschód, północ i południe – razem było ich 10, w tym 8 rozchodziło się z samego Lwowa, dwie w niedalekiej okolicy. Łącznie więc ze Lwowa wybiegały linie w 11 kierunkach. Czy na przełomie XIX i XX wieku znaleźmy na ziemiach polskich inne takie miasto?



Dworzec w Tarnopolu



Dworzec w Podwoleczyskach

➔ Ukazały się dwa **ścienne kalendarze lwowskie na rok 2008**, oba we Wrocławiu.

Pierwszy został wydany jako numer specjalny miesięcznika „Semper Fidelis” z okazji XX-lecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, które przypada w bieżącym roku. Jego autorami są Danuta Śliwińska, Anna Oliwa, Zbigniew Umański, redaktorem Andrzej Kamiński, wydawcą ZG TMLiKPW.

Kalendarz poświęcono wybitnym lwowianom, którzy odeszli w ciągu ubiegłego dwudziestolecia. Zamieszczono ich zdjęcia i życiorysy. Były to osoby ogólnie znane, cenione i lubiane: ksiądz Janusz Popławski (1922–2002), poeta dr Jerzy Masiór (1924–2003), aktorka Krystyna Feldman (1920–2007), prof. Alfred Jahn (1915–1999), trener Kazimierz Górski (1921–2006), arch. i pisarz Witold Szolginia (1923–1996), poeta i muzyk Jerzy Michotek (1921–1995), red. Jerzy Janicki (1928–2007), literat Adam Hollanek (1922–1998), inż. Zbigniew Schneigert (1910–1998), prof. Bolesław Broś (1921–2006), śpiewak Andrzej Hiolski (1922–2000).

Drugi z wydanych ma podtytuł *Dziewczęta z polskiej Florencji*. Na kolejnych planach pokazano zarówno lwowianki z przedwojennej generacji, osiadłe po ekspatriacji (jeszcze jako całkiem młode) we Wrocławiu, a także ich córki i wnuczki. Obok zdjęć znalazły się informacje o ich losach (poczynając od lwowskich adresów), zawody, osiągnięcia. Całości patronuje Zofia Batycka (1907 Lwów – 1989 Los Angeles), słynna niegdyś Miss Polonia 1930.

Kalendarz wydała Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” we Wrocławiu (red. M. Orzeł i B. Stragierowicz), materiały opracowała dr Danuta Nespiak.

Mamy swoje „ale”: kalendarz będzie zapewne poszukiwany przede wszystkim we Wrocławiu, bo osoby w nim prezentowane są w większości tam znane i popularne. Pozostaje jednak pytanie: czy nie dałoby się w przyszłości opracować analogicznego, pod takim samym tytułem, jednak obejmującego więcej niż Wrocław, może nawet więcej niż dzisiejszą Polskę. W kraju znalazłoby się oczywiście sporo godnych Pań, podobnie we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Drohobyczu. A w Londynie – Panie Włada Majewska, Renata Bogdańska-Andersowa. I jakie niezwykle losy do opowiedzenia!

Jest co czytać (40)

KURIER GALICYJSKI

W przedostatnim numerze (CL 3/07) poświadczaliśmy o nowym czasopiśmie – dwutygodniku, jaki zajął miejsce „Gazety Lwowskiej”. Numer 1. „Kuriera Galicyjskiego” ukazał się z datą 15 sierpnia '07. Format taki sam jak GL, stron 24, na pierwszej i ostatniej ilustracje kolorowe. Redakcja mieści się w Stanisławowie.

Tytuł *Kurier Galicyjski* okazuje się niezbyt ścisły (to nie zarzut!), bo obok nagłówka wymieniono nazwy 9 miast, jakie zapewne będą w piśmie reprezentowane. Obok miast rzeczywiście „galicyjskich” (po naszymu *wschodniomałopolskich*), jak Lwów, Tarnopol, Stanisławów i Kołomyja, znajdziemy najbliższy nam wołyński Kowel, a dalej położony tuż za miedzą (czyli za Zbruczem) Kamieniec Podolski oraz bukowińskie Czerniowce. Ponadto z terenu Ukrainy: Płoskirów i Winnica.

Po siedmiu numerach, jakie dotąd dotarły do naszych rąk, nowe czasopismo budzi optymizm. Zawartość jest bogata: porusza się problemy aktualne, sprawy polityczne związane z życiem społeczności polskiej i wielowiekową polsnością, pisze się o polskiej kulturze tamtych regionów, wydarzeniach i ludziach, o obyczajach dawniejszych i obecnych. Chyba nieco mniej niż w GL omawia się problematykę RP, łatwo dostępną innymi drogami (radio i TV, coraz częstsza wymiana wizyt), a za to szerzej o współżyciu z ukraińskimi współobywatelami, jednak z poczuciem własnej wartości narodowej, własnej historii i kultury, wszechobecnej na tamtym terenie.

Warto wspomnieć, że w numerze 7. KG Redakcja przedrukowała tłumaczenie krętackiego artykułu rosyjskiej gadzinówki „Komunist” z listopada '07, z napaścią na polską gazetę, albo i szerzej – na polską społeczność i w miarę poprawne stosunki ukraińsko-polskie. Redakcja odpowiedziała autorowi w sposób wyważony, ale dosadny.

Wydaje się, że „Kurier Galicyjski” znalazł się w dobrych rękach. Nowy redaktor naczelny, Marcin Romer, potrafi prawdopodobnie właściwie i owocnie pokierować członków zespołu dziennikarskiego w pra-

cach redakcyjnych, zgodnych z oczekiwaniami społeczności polskiej.

Na marginesie: w bardzo ciekawym artykule o Brzeżanach w nr. 2 (s. 17) omyłkowo zamieszczono zdjęcie zrujnowanego zamku w Pomorzanach. Niestety piękny niegdyś dziedziniec zamkowy w Brzeżanach wygląda jeszcze o wiele, wiele gorzej!

Byłoby pożyteczne, gdyby służby konserwatorskie RP zechciały się zająć nie tylko kościołem zamkowym w Brzeżanach, ale także głównym pawilonem zamkowym w Pomorzanach – on jest jeszcze do uratowania!

Elżbieta Mokrzyńska



LISTY

DO REDAKCJI



Napisła do nas ze Lwowa p. Jadwiga Jamroz. Jej list odnosi się do artykułu p. A.J. Chowańca zamieszczonego w CL 3/07, pt. „Czy UPA walczyła o niepodległość”, gdzie autor określa Tadeusza Hołówkę, zamordowanego w 1931 r. przez nacjonalistów ukraińskich, jako Rusina. Pani Jadwiga traktuje to jako poważny błąd i wyjaśnia w oparciu o przedwojenne źródła. Cytujemy odnośne fragmenty listu:

[...] Tadeusz Hołówko nie był ani Rusinem, ani Ukraińcem, ponieważ był Polakiem, urodzonym z rodziców Polaków, zesłanych na Sybir. Ojciec Tadeusza, Wacław Hołówko, pochodził z Nowogródzczyzny, ze szlachty ziemiańskiej, a za udział w powstaniu 1863 roku został zesłany na Sybir. Ponieważ zesłańcy (nie katorżnicy) mogli przemieszczać się na azjatyckich terenach Rosji stosunkowo swobodnie, po pewnym czasie Wacław Hołówko przeniósł się na południe, do Semipałatyńska (dziś republika Kazachstan), gdzie ożenił się z Polką i gdzie w 1889 roku przyszedł na świat syn Tadeusz. Po paru latach rodzice wraz z dwuletnim Tadeuszem przenieśli się do Dżarkentu nad granicą chińską, u stóp Tiań-Szaniu. Tadeusz skończył gimnazjum, pojechał do Petersburga, gdzie zapisał się na uniwersytet.

Nie mam zamiaru pisać życiorysu Tadeusza Hołówki, pisano o nim przede mną. W każdym razie był to w międzywojennym dwudziestoleciu znany działacz i publicysta, autor dwóch autobiograficznych książek: *Przez kraj czerwonego caratu* i *Przez dwa fronty*, a także innych. Chcę tylko podkreślić paradoksalny związek między jego postawą polityczną i śmiercią z rąk OUN-owców. Hołówko był zwolennikiem i rzecznikiem porozumienia władz polskich z Ukraińcami, w każdym razie z nacjonalistami. A Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) nie chciała tego porozumienia, chciała walki zbrojnej. Hołówko [...] był działaczem, znanym w kołach zarówno polskich, jak i ukraińskich, był posłem na Sejm [...]. Gdy wyjechał na kurację do Truskawca dla poratowania nadwężonego zdrowia (cierpiał na myocarditis), dosięgła go kula z rąk, z których najmniej mógł się jej spodziewać. Pisał o tym obszerniej Wincenty Rzymowski w swej książce *W walce i burzy – Tadeusz Hołówko na tle epoki* (W-wa 1933). [...]

Bardzo za to dziękujemy, Pani Jadwigo. Oczywiście poruszonych spraw nie znamy tak dalece, by zabierać głos w kwestii poruszonej przez p. A.J. Chowańca oraz przez Panią.

W CL 4/07 zwierzyliśmy się z naszych rozterek co do dalszego wydawania kwartalnika. I oto w odpowiedzi dostaliśmy między innymi (dość licznymi) taki piękny list z Dolnego Śląska:

Szanowny Panie ... Mam przed sobą 52. numer „Cracovia-Leopolis”. Jako lwowiak i wierny Wasz czytelnik każdy numer czytam od deski do deski, a zebrało się tego od 13 lat już ponad pół setki. Gratuluję i gorąco życzę Panu i Redakcji zdrowia i dalszych sukcesów. Tak trzymać!

Z niepokojem jednak dwukrotnie przeczytałem artykuł „Jedziemy dalej” na 2 str. okładki. Ileż tam niepokojów i... sprzeczności! To dobrze, że czytelnicy z różnych stron Polski też się niepokoją i piszą do Redakcji. Na Boga! Nie redukujcie pisma, jak zapowiadacie „do odchudzonej” wersji. Przecież i tak jesteście tylko kwartalnikiem i trzy długie miesiące trzeba czekać na kolejny numer. Sami piszecie przecież... „nasze redakcyjne teczki pękają od nowych materiałów do publikacji różnego typu...” Historia dawna i bliska, biografie, artykuły wspomnieniowe, krajoznawcze, recenzje książek i wydawnictw o Lwowie i Kresach (wspaniałe!), a tu apel do Czytelników... „prosimy autorów tekstów, by pisali jak najzwięźlejš. Coś na tym stracimy, ale i zyskamy, bo artykuły szybciej trafią na łamy...” itd. Panowie! Nie tędy droga! Nie róbcie nam tego, bo Wasze kochane, wspaniałe pismo to dla wielu wypędzonych z rodzinnej ziemi i kochanego Lwowa rodaków najlepsza strawa duchowa i bez niej nie możemy żyć! To ważniejsze niż najlepsze jedzenie, którego mamy już w sklepach strasznie dużo. To możemy śmiało zredukować i być nawet zdrowszymi. Natomiast ta najlepsza pod słońcem lektura „Cracovia–Leopolis” musi się nawet powiększyć! Moim zdaniem powinien to być co najmniej dwumiesięcznik i wówczas dopiero spełnicie własne zamierzenia, o których piszecie. Jeśli jednak zostanie kwartalnik, to musi być co najmniej książka, tj. ponad 120 stron. Takie są przecież liczne periodyki wychodzące w Polsce. Błagam, nie wywieszajcie „białej flagi”! W dzisiejszych złych czasach dla Kresów Wschodnich (układ z Schengen działa na zachód, a straszna linia „Rib.-Mot.” czy „stalinowska” granica wschodnia jeszcze bardziej jest umacniana!).

Przepraszam, że piszę tak emocjonalnie, ale tak dyktuje mi lwowskie serce!

Dlaczego ma mi życia zamierać połowa...

Może się poza Lwowem jakiś świat rozrasta,

Ale cóż mi po świecie, w którym nie ma

Lwowa...

Te słowa poety dedykuję Panu i Waszej kochanej Redakcji „Cracovia-Leopolis”, bo jesteście dla mnie jak Kamieniec Podolski, jak Zbaraż, Chocim, Tarnopol i Lwów! Będę się za Was modlił, bo na wschód od Krakowa został już tylko stary

gród Przemysł ze swoim Zamkiem Kazimierzowskim, Tatarską Górą i pięknym Sanem, na którym dwaj zbrodniarze w 1939 roku postawili granicę na trupie Polski! Dzięki Bogu i Narodowi znów Polska żyje, ale tę granicę udało się przesunąć tylko kilkanaście km do Medyki. Historia toczy się jednak dalej, a „Cracovia-Leopolis” spełnia dzięki Wam swoją ważną rolę w tej historii. Świadczy to o tym, że Kraków ze swoją wspaniałą tradycją i potęgą intelektualną i kulturalną należy do najpotężniejszych twierdz Rzeczypospolitej, choć o innym już charakterze, bo teraz myśl oraz pamięć są naszą największą bronią.

Wierzę głęboko, że Kraków się nie podda i nie pozwoli, by znikło lub zmarniało do kilkunastu stron tak znakomite kulturalne czasopismo, jakim jest „Cracovia-Leopolis”. To jest duma nie tylko tych dwóch miast tytułowych. To jest duma całych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej! By Wasze redakcyjne teczki nadal pęczniały i dostarczały czytelnikom dużo wspaniałych publikacji i tej, jakże nam teraz potrzebnej duchowej sytony, załączam kilka kserokopii z różnych gazet i czasopism. [...]

Kończę lwowskim pozdrowieniem – Ta daj Wam Boże zdrowia!

Wielkie podziękowanie naszemu Czytelnikowi i Przyjacielowi za tak serdeczne słowa. Także za kserokopie, które na pewno wykorzystamy.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku otrzymaliśmy sporo życzeń, przekazanych nam tradycyjnie – listownie, pocztą elektroniczną i telefonicznie. Za wszystkie serdecznie dziękujemy, chętnie byśmy je przedrukowali, ale to oczywiście niemożliwe. Wyjątek czynimy dla Pani Prezes Federacji Organizacji Polskich nU. Emilii Chmielowej, która napisała:

Drogi Panie Redaktorze, Szanowna Redakcjo „Cracovia-Leopolis”,

w imieniu odbiorców, czytelników, którzy systematycznie otrzymują Państwa kwartalniki na naszym terenie za pośrednictwem FOPnU, dziękuję serdecznie za ciekawe i bogate materiały, zawarte w ulubionym przez nas wszystkich czasopiśmie. Dziękuję również za miłą i owocną współpracę w roku 2007.

Niech pod świąteczną choinką znajdzie się radość, szczęście, zdrowie, życzliwość i wzajemne zrozumienie. A w Nowym Roku życzę:

STRZELNICA

Dokończenie ze s. 29

w r. 1844 odbyło się w ogrodzie Jabłonowskich z niesłychaną paradą urzędową poświęcenie nowego sztandaru, do którego wstęgę darowała sama cesarzowa Maria Anna.

Cały ten *privilegierter Schützen Corps* znalazł się jednak, razem ze swoim sztandarem, prawdziwie między młotem a kowadłem, gdy w r. 1848 nastały inne czasy, a milicja miejska, której część jak wiadomo ten korpus stanowił, wcielona została do świeżo zorganizowanej gwardii narodowej. W czarno-żółtych mózgach starszyny strzeleckiej nie mógł się pomieścić nowy porządek rzeczy, aż dopiero gromadne wystąpienie 150 członków do komendanta gwardii, generała Załuskiego, zmusiło po prostu strzelców do zajęcia stanowiska pierwszego batalionu gwardii honorowej.

Od kwietnia przeto do 2 listopada 1848, tj. do bombardacji Lwowa, stanowili strzelcy część gwardii narodowej i z nią też razem zostali rozwiązani. Powrót do dawnych stosunków był już niemożliwy, a wreszcie z przeobrażeniem się Austrii w państwo konstytucyjne Strzelnica poczęła przybierać dzisiejsze formy „towarzystwa strzeleckiego” z wprowadzeniem na powrót ceremoniału i zwyczajów dawnego, staropolskiego Bractwa Strzeleckiego.

Park strzelnicowy, odnowiony, urządzony na nowo i oddany na użytek publiczny, nie ściągają jednak tłumów publiczności jak inne

miejsca spacerowe lwowskie i dlatego jest bardzo miłym zaciszem dla tych, którzy uniknąć chcą gwaru wielkomięjskiego, szastania modnymi sukniami dam i powstających stąd tumanów kurzu. Starsze tam tylko drzewa pamiętają i wspomną zapewne czasami ów gwar rozbawionego towarzystwa lwowskiego w ten czas, kiedy strzelnicowy ogród był w modzie. W czasie Zielonych Świąt na przykład dosłownie cały Lwów „z nadziejami wiosny zielonymi, jak wieńce na ratuszu porozwieszane”, emigrował na strzelnicę, a ulica Dominikańska już od godziny 4 po południu roiła się od barwnego tłumu krynolin, małych parasolków, wciętych surdutów, wysokich w kształcie uciętego stożka cylindrów i czarnych halsztuchów. Gromady pauprów ulicznych naprzykrzały się w tym miejscu z wianuszkami bławatków, które chętnie nabywały piękności lwowskie ówczesne i natychmiast zaraz na ulicy przystrajały ramiona swoje girlandami tych niebieskich ślicznych kwiatusków.

Na samej Strzelnicy tłum zebranego ludu płynął jak wzburzone bałwany. Modnisie lwowscy, lowelasy, wielbiciele płci pięknej i inne ananasy, których nigdy nie brakło we Lwowie, uprawiali flirt towarzyski w nieco innej formie aniżeli dzisiaj. Do dobrego tonu należało wówczas kupić masę pierników, sprzedawanych zawsze na Strzelnicy, i rzucić je nieznacznie damom z tyłu, pomiędzy ramiona. Damy i śliczniuchne lwowskie dziewczątka łapały pierniki, jadły i śmiały się i była wielka zabawa „na migi i mrógi”, o której stare drzewa strzelnicowe wiele by mogły powiedzieć, gdyby tylko... chciały.

► *Marzeń, o które warto walczyć,
Radości, którymi warto się dzielić,
Przyjaciół, z którymi warto być
i Nadziei, bez której nie da się żyć.*

Serdecznie za to dziękujemy. Cieszymy się z uznania dla naszego pisma, jego wysyłka do Was zawsze sprawia nam satysfakcję. Niestety dwa jesienno-zimowe numery (czwarty i pierwszy) dochodzą do Was z dużym opóźnieniem – to problem transportu. Nie ma wycieczek autokarowych, a znalezienie innych sposobów przesłania ciężkich paczek spędza nam sen z powiek. Prosimy więc o wyrozumiałość.

I jeszcze jeden szczególny list – z Lasek pod Warszawą:

Drogiej Redakcji i wszystkim, którzy przyczyniają się do tworzenia tego wzruszającego pisma, pełnego wspomnień z dzieciństwa i przestrogi na przyszłość

– życzy szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia

Ewa Cieńska-Fedorowicz.

*Gorące podziękowanie i wzajemnie –
szczęśliwego Nowego Roku od Redakcji
i całej rodziny wiernych Czytelników.*

POECI STAROPOLSCY O WSCHODNIOMAŁOPOLSKIM RODOWODZIE

Portrety na I stronie okładki niniejszego numeru:

1. MIKOŁAJ REJ (1505–1569), ur. w Żurawnie, pierwszy, który używał w twórczości języka polskiego (a nie łaciny), nazwany „ojcem literatury polskiej”. Wśród wielu jego dzieł najważniejszy jest „Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego”.
2. MIKOŁAJ SĘP-SZARZYŃSKI (1550–1581), ur. w Zimnej Wodzie k. Lwowa. Autor wierszy lirycznych, jego zbiór „Rytmy albo Wiersze polskie” zapoczątkował epokę baroku w poezji polskiej [podobna prawdopodobnie się nie zachowała].
3. SZYMON SZYMONOWIC (1558–1629), ur. we Lwowie. Największym jego dziełem są „Sielanki”. Pisał po polsku i po łacinie.
4. BARTŁOMIEJ ZIMOROWIC (1597–1677), ur. we Lwowie, burmistrz Lwowa. Główne dzieło: „Sielanki nowe ruskie”. Pisał po polsku i po łacinie [podobna prawdopodobnie się nie zachowała].
5. SZYMON ZIMOROWIC (1608–1629), ur. we Lwowie. Napisał 70 liryków pt. „Roksolanki”, uznanych za najpiękniejszy zbiór erotyków staropolskich.
6. FRANCISZEK KARPIŃSKI (1741–1825), ur. w Hołoskowie k. Stanisławowa. Najwybitniejszy poeta polski epoki oświeceniowej i wczesnego romantyzmu, twórca wielu zbiorów poezji, w tym „Pieśni nabożnych”, do dziś śpiewanych w kościołach.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

		Słownik geograficzno- -historyczny	37
		Maria Taszycka HORODYSŁAWICE ♦ KAMIENOBRÓD ♦ MACOSZYN ♦ MIKOŁAJÓW ♦ RAKOWIEC	
Słowo od Redakcji APEL DO HISTORYKÓW	II		
Cytaty MIASTO JAK BRYLANT	1	Przeczytane POTRZEBA STANOWCZOŚCI	42
Leszek Goliński NAD ZAGASŁĄ „ŻAGWIĄ”	2	Archiwum OTWARCIE SKRZYŃ Z PANORAMĄ RACŁAWICKĄ	42
Naszym zdaniem WYSIEDLENIA	5	Adam Trojanowski TA DZIE CI TA PEŁTEW PŁYNI?	43
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z PROF. J. WĘGIERSKIM	6	Wspomnienie Teresa Konopka HISTORIA JEDNEJ CEGŁY	47
Agnieszka Madej I ZNOWU NA KRESACH	9	Wspomnienie Walenty Świtniewski MOJE WSPOMNIENIE O HENRYKU ZBIERZCHOWSKIM POECIE LWOWSKIM	48
Zbigniew Wąwłaszak JAK PRZEMYSŁ I INNE GRODY CZERWIENSKIE ODEBRALI POLAKOM KSIĄŻĘTA KIJOWSCY...	15	Sylwetki Z ORLEANU DO LWOWA EDWARD WEBERSFELD	49 49
Joanna Karpacka-Nasiek PODRÓŻ NA ZIEMIĘ BRODZKĄ	16	Z żałobnej karty MAREK ROGALSKI	51
Juliusz Ross LIST Z RADZIECHOWA, 1941	19	Lwowianie RODZINA CZERNECKICH	52
Wiersze Stefi Stojałowska GDYBYM CIĘ MIAŁA ZAPOMNIEĆ WIOSNA NA PODOLU Alicja Wierzbicka MIASTO MOJE!	22 23 22	Z tamtej strony Marta Walczewska KULT BŁ. M. ANTONINY KRATOCHWIL WYDARZENIA UCRAINICA	53 53 53
Proza Franciszek Jaworski STRZELNICA	24	W Krakowie i dalej JAK CO ROKU W LISTOPADZIE 140-LECIE POLSKIEGO „SOKOŁA” NOTATKI	54 55 56
Historia Jerzy Wolański Z DZIEJÓW GRZYMAŁOWA (1)	28	Kultura ♦ Nauka CRACOVIAE MERENTI 2007 KRONIKA	57 60
Archiwum OGŁOSZENIE SPRZED STU LATY	34	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	61 67
Wspomnienie Teresa Rodziewicz-Szepietowska WSPOMNIENIA Z TRZÉCH OKUPACJI	35	Jest co czytać (40) KURIER GALICYJSKI LISTY	69 70